

Wartość kontra chciwość

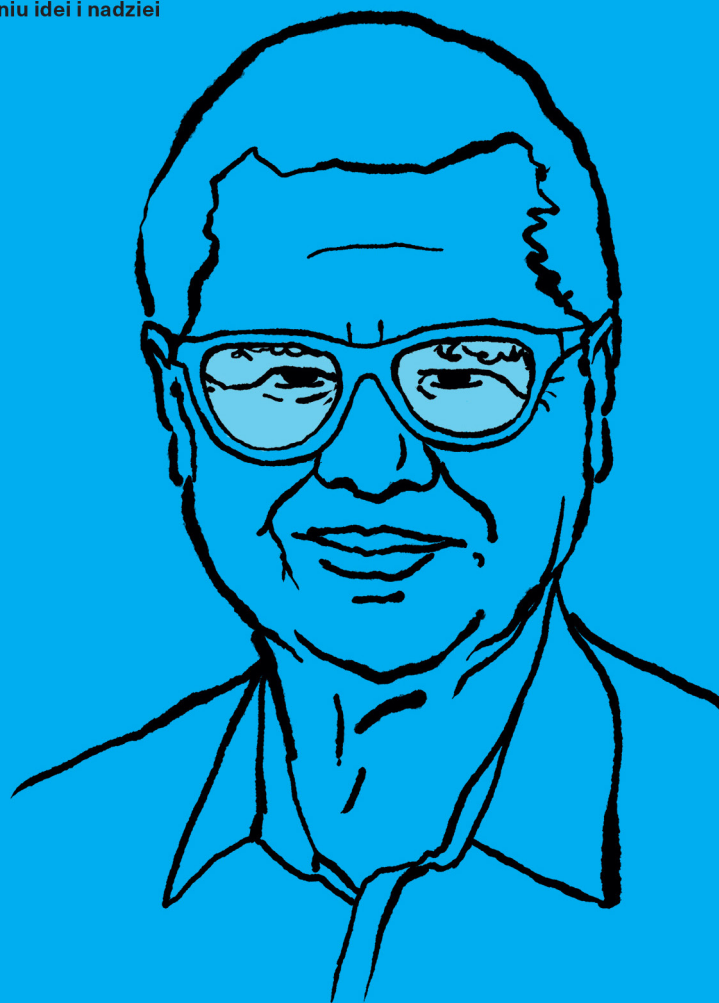
10 opowieści o ekonomii otwartych oczu

Z Jerzym Hausnerem rozmawia Zbigniew Bartuś

**Od ekonomii chciwości do ekonomii
wartości – w poszukiwaniu idei i nadziei**

Jerzy Hausner

**10 lat Open Eyes
Economy Summit**



Wartość
kontra
chciwość

Wartość kontra chciwość

10 opowieści o ekonomii otwartych oczu

Z Jerzym Hausnerem rozmawia Zbigniew Bartuś

Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości

– w poszukiwaniu idei i nadziei

Jerzy Hausner





Wydawca:
Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej

ul. ks. I. J. Skorupki 22 31-519 Kraków
tel.: 12 423 76 05
www.fundacjagap.pl
wydawnictwo@fundacjagap.pl

©Fundacja GAP, Kraków 2025
www.sklep.oes.pl

Korekta językowa: Agnieszka Sabak, Kamila Kowalczyk
Redakcja: Marcin Kukiełka
Projekt graficzny, ilustracje i skład: Jan Tuszewski
Koordynacja wydania: Monika Woźniak
ISBN: 978-83-67140-46-1

Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za sposób wykorzystania informacji zawartych w opracowaniu.

Publikacja powstała przy współpracy
z Małopolską Szkołą Administracji Publicznej



Spis treści

11	Od Wydawcy
----	------------

10 opowieści o ekonomii otwartych oczu

17	Kapitalizm a ekonomia wartości
37	Trumpizm kontra ekonomia wartości
53	Firma-idea w epoce ekspansji zła
73	Marka-kultura, czyli marketing wartości
91	Człowiek-praca w dobie sztucznej inteligencji
101	Państwo-idea w świecie VUCA
125	Miasto-idea w okowach centralizacji
137	Europa – idea atakowana z zewnątrz i od środka
157	Suwerenność, czyli korzystna współzależność
177	Dobry klimat dla wartości

Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości

– w poszukiwaniu idei i nadziei

197	O naturze wartości
217	Zlekceważone ostrzeżenie
221	Do czego doprowadziła ekonomia chciwości
235	Wiarygodność państwa jako fundament ekonomii wartości
243	Jakiej globalizacji (internacjonalizacji gospodarowania) potrzebujemy
245	Nexus jako składowa podejścia regeneracyjnego
257	Regeneracja i lokalność
265	Wolność, jednostka, wyobrażenia i społeczne imaginarium
276	Bibliografia

Od Wydawcy

Naszą społeczność nazwaliśmy Open Eyes Economy. Dzięki otwartym oczom widzimy, gdzie jesteśmy, jakie jest nasze otoczenie, czy coś nam zagraża, w którą stronę możemy pójść, ale też, gdzie powinniśmy się zatrzymać, bo dalej jest niebezpiecznie. Warto otworzyć oczy i zauważyć zjawiska, których dotąd nie zauważyliśmy, albo pomijaliśmy je jako nieistotne.



Ekonomia wartości to styl życia,
sposób działania w biznesie,
reagowania na polityczne
i gospodarcze zjawiska,
konflikty i kryzysy.

Każdy z nas uważa się za osobę rozsądną. Gdyby zapytać, dlaczego, bez wahania podajemy przykłady. Odpowiadamy: jestem oszczędny lub oszczędna, nie wyrzucam jedzenia, nie ulegam modzie i nie kupuję co sezon najnowszych ubrań. Gasimy za sobą światło i zakręcamy wodę przy myciu zębów, by nie lała się przez dwie minuty. Inne odpowiedzi i zachowania będą charakterystyczne dla młodzieży, nauczycieli, lekarzy czy przedsiębiorców. Inaczej pytanie potraktują politycy, samorządowcy czy działacze organizacji pozarządowych. Przykładów naszej racjonalności jest dokładnie tyle samo, ile możliwości niefrasobliwości. Rozsądek na pewno jest zaletą, ale czy nie jest nudny? Nie kwalifikuje nas jako ludzi bez wyobraźni, bez polotu? Czym on jest: powinnością lub przyzwyczajeniem? Jeśli to ostatnie, to dotyczy tylko zwyczajów osobistych, codziennych? Czy możemy pomyśleć o tym szerzej: o mieszkaniu, pracy, o miasteczku czy wiosce. A może jeszcze szerzej: o kraju, kontynencie czy o świecie? A może uda się również spojrzeć na to przez pryzmat wartości? Czy w ekonomii, która dla wielu osób przywołuje skojarzenia z zyskiem, zarobkiem, powodzeniem finansowym, ale też z biedą, jest miejsce dla wartości? Czy oznaczają one działalność charytatywną, umiejętność dzielenia się z innymi? Od dziesięciu lat rozmawiamy najpierw ze sobą w krakowskiej społeczności ekonomistów, a potem ze wszystkimi, którzy chcą rozpocząć z nami dyskurs, na temat ekonomii wartości.

Z tych rozmów narodził się ruch społeczny Open Eyes Economy. To wspólnota ludzi, którzy chcą patrzeć na świat świadomie. Dzięki otwartym oczom widzimy, gdzie jesteśmy, jakie jest nasze otoczenie, czy coś nam zagraża, w którą stronę możemy pójść, ale też gdzie powinniśmy się zatrzymać, bo dalej jest niebezpiecznie. Warto otworzyć oczy i zauważyć zjawiska, których dotąd nie zauważyliśmy albo pomijaliśmy je jako nieistotne. Kiedy otwieramy oczy, to nie poruszamy się po omacku.

To, że w naszym ruchu rozmawiamy i propagujemy ekonomię wartości, nie oznacza, że ją wymyśliliśmy. Istnieje od wieków, od czasu, w którym ludzie obserwują i analizują swoje zachowanie i otaczający świat.

Przez ostatnie dziesięć lat znacząco poszerzył się krąg naszych zainteresowań oraz osób, z którymi rozmawiamy i współpracujemy. Wciąż zastanawiamy się nad tym, czym jest przedsiębiorczość i jak funkcjonują firmy. Interesują nas także miasta, lokalne społeczności i zaangażowanie obywateli. Szukamy zasad, które budują sprawne państwo oraz sposobów na lepszą współpracę między administracją a mieszkańcami. Pokazujemy, jak w jednym kręgu znajdują się gospodarka i kultura oraz jakie są powiązania pomiędzy decyzjami samorządów lokalnych a dobrostanem mieszkańców i stanem środowiska naturalnego.

Wartość kontra chciwość – publikacja, którą trzymacie Państwo w ręku, służy temu, byśmy wspólnie zastanowili się, czym jest ekonomia wartości. W pierwszej części książki zapraszamy do uczestnictwa w rozmowie pomiędzy Zbigniewem Bartusiem i Jerzym Hausnerem, ekonomistą, który zainicjował ruch OEES. Choć rozmowa ta już się odbyła i czytelnik nie może do niej dodać swojego pytania, komentarza, anegdoty, to jednak – mamy nadzieję – pobudzi do refleksji. A jeśli tak, jeśli sprowokuje czytelnika do przypomnienia sobie jakiejś opowieści, zdarzenia, przywoła skojarzenie lub wywoła grymas braku zgody na przedstawioną treść, to znaczy, że czytelnik także w niej uczestniczy.

Druga część zatytułowana *Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości* – w poszukiwaniu idei i nadziei to autorski esej, w którym

Jerzy Hausner pokazuje jak ekonomia wartości ma wpływ na poszczególne sfery naszego życia.

Gdy patrzymy daleko, to widzimy horyzont, tylko jego część. Gdy się nieco przesuniemy – horyzont przesuwają się razem z nami. Część, którą widzieliśmy z poprzedniego miejsca zanika, a pojawia się inna. Myśl, że horyzont nie ma początku ani końca, wymaga chwili zastanowienia, refleksji. Widzimy fragment, myślimy o konkretnej sprawie, wydarzeniu czy procesie. Esej profesora Hausnera pokazuje, jak poszczególne, wydawałoby się, że odległe od siebie i nie mające ze sobą wspólnych elementów zjawiska czy procesy, na siebie oddziałują. Dlaczego tradycyjne, uznane powszechnie od lat pojęcia nie tylko tracą na ważności, ale są także niebezpieczne? A inne, niezauważone, powinny stać się przedmiotem indywidualnego czy grupowego zainteresowania i zaangażowania? Osią rozwoju ma być bogacenie się, innowacje, posiadanie coraz więcej dóbr czy zdrowie i dobrostan? Co dla polityków powinno być ważniejsze: bogacenie się obywateli bez względu na następstwa czy wiarygodność ekonomiczną państwa? Jerzy Hausner zachęca, by określenie *regeneracja* traktować nie tylko oświadczenie, ale także by zastanowić się, czy i w jaki sposób możemy regenerować klimat, warunki naturalne oraz gospodarkę. Ekonomia wartości to bowiem styl życia, sposób działania w biznesie, reagowania na polityczne i gospodarcze zjawiska, konflikty i kryzysy.

Część 1. Rozmowa

10 opowieści o ekonomii otwartych oczu

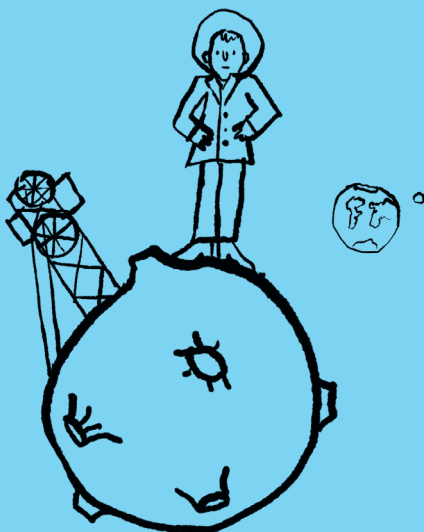
Z Jerzym Hausnerem
rozmawia Zbigniew Bartuś



Kapitalizm a ekonomia wartości

Opowieść pierwsza

O wolnym rynku, który jest dobry,
jeśli jest demokratyczny oraz o tym,
czy jesteśmy skazani na wieczne
kluczenie między niedostatkim
a nienasyceniem



- Jak wytworzyliśmy najwięcej dóbr w historii i czy da się to podtrzymać?
- Czy żyjemy na „Titanicu” i czy da się zmienić kurs?
- Zbudujemy kopalnie w kosmosie i zamieszkamy obok nich?
- Kolejny nierówności: biedni będą biednymi, a bogaci staną się jeszcze bogatsi?
- Siódme Porsche, trzecia żona, dziewiąty terapeuta – czym dobrostan różni się od stanu konta?
- Praca 15 godzin tygodniowo, dom 15 godzin tygodniowo, reszta czasu na szczęście
- Powiemy Ci, jak żyć, w piętnastu slajdach
- Bill Gates, Elon Musk i... Maksymilian Kolbe

Takie czasy, że zacznę od pytania – trumpowskiego, czyli brutalnego: jakie pan ma w ręku karty, panie profesorze, promując od dziesięciu lat ideę ekonomii wartości?

Nie jestem graczem, a skoro tak, to – wedle mojego rozumienia świata – nie muszę mieć atutów czy kart przebijających inne atuty. Co więcej, nie koncentruję swojej uwagi na tym, żeby te atuty pozyskiwać. To, w czym uczestniczę i co staram się animować, to jest możliwie otwarta rozmowa o rozwoju. Chodzi w niej o dotarcie do ludzi z pewnymi treściami, ideami, ale w równym stopniu o oddziaływanie tych treści. W tej dyskusji nie traktuję ludzi z góry – w tym przedsiębiorców – jako przeciwników ani jako sojuszników, tylko jako potencjalnych uczestników pewnej przestrzeni, w której rozmawia się o ideach i wartościach.

Nawet jeśli na dzień dobry nie utożsamiają się z tymi wartościami i ideami albo nawet się z nimi nie zgadzają?

Zwłaszcza wtedy. Nie zakładam, że wszyscy te idee zaraz zaczną wcielać w życie, ale twierdzę, że warto otworzyć oczy i dostrzec rzeczy na co dzień niedostrzegalne. Już sama rozmowa potrafi wprowadzić całkiem inną perspektywę poznawczą. Kiedy otwieramy oczy, nie musimy się poruszać po omacku.

To spróbujmy już na wstępie się odnieść do takiej, zyskującej dziś popularność, perspektywy: jak dowodzi Rainer Zitelmann w przetłumaczonej na 30 języków książce *W obronie kapitalizmu*, kapitalizm przyniósł światu „niespotykany dotąd poziom dostatku i dostępności dóbr”. Przytacza dane: wedle Banku Światowego spośród 8 miliardów ludzi na Ziemi 659 milionów żyje w ekstremalnym ubóstwie, a 1,8 miliarda w biedzie, przy czym odsetek skrajnie ubogich – jak wynika z wszelkich danych (w tym ONZ) – od dekad maleje. W 1820 r. – u zarania kapitalizmu – w skrajnym ubóstwie żyło ok. 90 proc. mieszkańców naszej planety, w 1981 – 42,7 proc., w 2000 r. – 27,8 proc., a obecnie 8,5 proc. Spadek ubóstwa nabrał więc nieznanego w dziejach przyspieszenia – komentuje Zitelmann. Jak te przedstawiane przez niego dane mają się do twierdzeń o wielkim kryzysie kapitalizmu, o konieczności gruntownych zmian, a także do wszystkiego, o czym rozmawialiśmy podczas dziewięciu edycji OEEŚ?

Nie ma wątpliwości, że ludzkość produkuje najwięcej dóbr materialnych w swojej historii. Najwięcej żywności. Najwięcej ubrań. Najwięcej mebli. Najwięcej sprzętu elektronicznego i AGD. Najwięcej nośników energii. Jeśli mielibyśmy mierzyć postęp cywilizacyjny takim wskaźnikiem, jak ilość konsumowanych dóbr czy też wielkość PKB, również w przeliczeniu na głowę, to wyjdzie nam, że stworzyliśmy najsprawniejszy system w historii. Więc nie zamierzam polemizować z tezami zawartymi w tej książce ani

(...) czy sprawność
w wytwarzaniu
ogromnej ilości różno-
rodnych dóbr to jest
wszystko, czego jako
ludzie potrzebujemy?

kwestionować przytoczonych liczb. Natomiast chętnie spytam czy sprawność w wytwarzaniu ogromnej ilości różnorodnych dóbr to jest wszystko, czego jako ludzie potrzebujemy. Z tą kwestią wiąże się inna: czy ten osiągnięty dziś standard życia ludzkości jest podtrzymywalny.

Gdyby pan profesor zapytał się o to obecnej administracji amerykańskiej, to usłyszałby, że oczywiście. Z zachętą: *drill baby, drill!*

Nie tylko traktuję to jako próbę zakrzyczenia zjawisk, które przecież każdy widzi i z którymi mamy na co dzień do czynienia.

Zakrzyczeć Katrinę... To coś takiego, jak namawianie orkiestry na „Titanicu”, żeby grała głośniejsze i szybciej, gdy góra się zbliża.

Z tą różnicą, że my możemy jeszcze zmienić kurs. Zasadnicze pytanie w centrum ekonomii wartości dotyczy tego, czy my możemy nadal wytwarzać coraz więcej dóbr, wykorzystując do tego coraz więcej zasobów Ziemi.

Czyli robimy sobie wspólnie pewien bilans wytwarzanych dóbr i zasobów potrzebnych do ich wytworzenia. I co z niego wychodzi?

Większość naukowców stawia tu co najmniej wielkie znaki zapytania i wykrzykniki, a wielu ludzi żywi przekonanie, że ten system, w znanej formie, wyczerpał swoje dalsze możliwości nie tylko dalszego wzrostu, ale wręcz utrzymania dotychczasowego poziomu życia. Jest tak ze względu na skutki wywołane w wielu obszarach i dziedzinach, w tym przede wszystkim konsekwencje zmian klimatycznych, zdestruktywowanie środowiska naturalnego, wyczerpanie zasobów będących nośnikami energii. W efekcie wzrost i cały system stał się niepodtrzymywalny, a w niektórych przypadkach tak rabunkowy, że przynosi regres.

Zasadnicze pytanie w centrum ekonomii wartości dotyczy tego, czy my możemy nadal wytwarzać coraz więcej dóbr (...)

Wielu z nas doświadczyło lub choćby widziało to zjawisko w mikroskali. Amerykanie krzyczący dziś *drill baby, drill* – też. I to dawno. Kiedy byłem w Cleveland, starsi mieszkańcy opowiadali mi o katastrofalnym samozapłonie odpadów przemysłowych i oleju unoszących się na powierzchni lokalnej rzeki Cuyahoga. To było pod koniec lat 60. XX wieku. Sprawa stała się głośna, doprowadziła do gwałtownego rozwoju ruchów ekologicznych oraz uchwalenia przełomowych przepisów, jak Ustawa o Czystej

Wodzie. To wtedy utworzono EPA – Amerykańską Agencję Ochrony Środowiska.

Wówczas ta dyskusja dotyczyła przede wszystkim zasobów lokalnych, krajowych, a dziś dotyczy zasobów całej naszej planety, bo zjawiska, które obserwujemy, mają charakter globalny i wywołują skutki we wszystkich zakątkach Ziemi. Eksploatując zasoby naszej planety, przekroczyliśmy już granice planetarne. Oczywiście zwolennicy optymizmu technologicznego i nieograniczonego postępu odpowiadają, że jeśli nawet ludzkość wyczerpie zasoby Ziemi, to osiągnie zdolność do czerpania zasobów z szerszego układu planetarnego.

Możemy mieć kopalnie w kosmosie i w ogóle mieszkać w kosmosie.

Możemy dyskutować między utopiami a dystopiami, ale im dłużej to robimy – nie zmieniając nic w obecnym systemie wytwarzania dóbr i eksploatacji planety – tym bardziej wszyscy będą się przekonywać, że ani utopia, ani dystopia nie jest prawdą. Ale też – że prawda wcale nie leży pośrodku.

Dlaczego?

Ponieważ cała ta perspektywa wiecznego wzrostu rozumianego jako zwiększanie produkcji i konsumpcji dóbr z wykorzystaniem wszelkich dostępnych zasobów nie uwzględnia dwóch fundamentalnych – z gruntu ludzkich – pytań. Pierwsze brzmi: czy to, że

(...) czy to, że tyle dóbr
wytwarzamy i tyle ich
konsumujemy, czyni
nas szczęśliwymi?

tyle dóbr wytwarzamy i tyle ich konsumujemy, czyni nas szczęśliwymi? Drugie: czy kapitalizm, jaki obserwujemy, zapewnia wszystkim wytwórcom równe szanse na rynku, czy też widzimy wyraźne przejawy ograniczania wolnej konkurencji, za-

właszczania rynku i dominacji jednych nad drugimi – co sprawia, że wąska grupka bogatych będzie kumulować w swoich rękach coraz większe zasoby, a wszyscy pozostali skazani będą na ich łaskę?

To spróbujemy odpowiedzieć na pierwsze z tych pytań. Ryzykowne, bo każdy z nas goni za szczęściem, a mało kto potrafi je zdefiniować.

Zdaję sobie sprawę, że pojęcie ekonomii szczęścia jest dla wielu ludzi tak samo mgliste jak idea ekonomii wartości. Ale po pierwsze, są badacze, którzy mierzą szczęście. Po drugie, istnieją narzędzia socjologiczne, które pozwalają to robić dość precyzyjnie. Pan pyta, co to znaczy być szczęśliwym. Owszem, posługujemy się różnymi definicjami, w związku z czym pojawiła się trochę węższa kategoria – dobrostanu, czyli wellbeing. Jego mierzenie polega na analizie szeregu czynników mających wpływ na dobrostan człowieka, od którego z kolei zależy poczucie satysfakcji i szczęścia.

I nie są to tylko dobra materialne.

Oczywiście, że nie. Niejeden z nas zastanawia się w różnych fazach swego życia, na ile jego powodzenie materialne, czyli wszelkiego rodzaju dobra, z których korzystał i jakie zgromadził, nie zostało okupione zbyt drogo.

Złotem? Krwią? Czasem?

Utratą czegoś innego, być może ważniejszego. Klasyczny przykład – czas dla bliskich.

Proust przewidział, że zbyt wiele czasu spędzimy w poszukiwaniu straconego czasu.

I nie tylko on.

Oglądałem niedawno film o prostych ludach uchodzących w rozwiniętych krajach za żyjące w niedostatku i raczej nieszczęśliwe. Kiedy antropolodzy i etnografowie zbadali aktywności rzeczonych ludów, okazało się, że członkowie owych społeczności uważają się za szczęściarzy nie potrzebujących do życia więcej po-

nad to, co otrzymują od natury i z codziennej pracy – zajmującej im przeciętnie 15 godzin tygodniowo plus drugie 15 godzin na ogarnianie własnego domostwa.

Budzi się w nas refleksja, że tamci ludzie całą resztę czasu poświęcają na przyjemność, na cieszenie się życiem, sobą nawzajem. I pytamy samych siebie, czy każdy z nas nie jest przypadkiem chomikiem kręcącym malutkim kółkiem w przekonaniu, że kręci je do przodu, podczas gdy ono kręci się w miejscu. Zdobywcze naszej cywilizacji budzą nasz zachwyt, ale też potrafią nas przeciążyć, przytłoczyć, zmęczyć. Poziom stresu, napięć, depresji...

Roger Waters w tytułowej piosence z albumu *Amused to Death* (*Zabawieni na śmierć*) pytał: „Doktorze, co mi jest? Życie w tym supermarkecie strasznie się dłuży. (...) Barmanie, co się ze mną dzieje? Dlaczego brakuje mi tchu?”.

Wielu z nas uświadamia sobie, że łaknąć dóbr i otaczając się nimi, próbuje wypełnić pustkę. A ten ogrom rzeczy nie czyni nas szczęśliwymi.

Ale niedostatek dóbr też nie może uchodzić za fundament szczęścia.

Oczywiście, że nie. Nie można twierdzić, że im dalej od materialnej cywilizacji, tym ludzie szczęśliwsi – bo tak nie jest. Ale jednocześnie wiara w to, że skala konsumowanych dóbr, dysponowanego kapitału czy posiadanego bogactwa czyni ludzi szczęśliwymi, to absurd.

Jesteśmy społeczeństwem na dorobku, w którym wielu właśnie to sobie uświadamia.

Jest wystarczająco wiele doświadczeń i dowodów ukazujących, że do pewnego poziomu dochodów rośnie poczucie pewności, bezpieczeństwa i satysfakcji, a potem to ustaje lub wręcz zmierza w odwrotną stronę.

Miedzy jednym a drugim poziomem odkrywamy nagle, że „pieniądze szczęścia nie dają”.

Decyduje o tym wiele czynników. Jednym z głównych może być narastanie widocznych nierówności. Jeśli system gospodarczy wzmacnia nierówności, to konsekwencją będzie upowszechnianie i wzrastanie poczucia frustracji po stronie tych, którzy mają wyraźnie mniej. Kapitalizm może zapewniać bardzo dużą pulę dóbr, ale jednocześnie pogłębiać – w sposób nieraz skrajny – nierówności rozumiane szeroko, nie tylko dochodowe, ale i w aspekcie szans. Mam tu na myśli ograniczenie dostępu do odpowiedniej edukacji, opieki zdrowotnej czy określonego wyposażenia kulturowego. Formalnie możliwości rozwoju ludzi mogą być takie same, a w rzeczywistości nie są i to często prowadzi do reprodukcji nierówności na poziomie szans, czyli także na poziomie możliwości pozyskiwania dochodów.

Realny socjalizm próbował te nierówności niwelować odgórnie.

Ale robił to całkowicie wbrew ludzkiej naturze, tworząc coś, co nazywaliśmy urawniówką – ona nie jest tożsama z równością szans. Gospodarka rynkowa zawiera w sobie siłę konkurencji i rywalizacji. To stąd bierze się przedsiębiorczość, innowacyjność i stąd system czerpie swoją dynamikę. Ale działa to dobrze dopóty, dopóki nie ma skrajnych nierówności. Nierówności wytwarzają sytuację, w której przepływ między biedniejszymi a bogatszymi grupami społecznymi staje się de facto niemożliwy; te grupy wpadają w koleiny: biedni pozostaną biednymi, a bogaci staną się jeszcze bogatsi.

Gospodarka rynkowa zawiera w sobie siłę konkurencji i rywalizacji. To stąd system czerpie swoją dynamikę.

Nie ma szans na karierę od pucybuta do milionera.

Nie ma. Ale jeszcze gorsze – dla systemu jako całości i dla całego społeczeństwa – jest to, że zamiera wolna konkurencja będąca warunkiem przedsiębiorczości.

Mówi pan jak liberał.

Ha! Dostałem kiedyś jako członek lewicowego rządu Nagrodę Ki-siela – właśnie za liberalne podejście. Nie mam z tym żadnego problemu. Moja orientacja liberalna polega na tym, że podkreślam ogromną wagę przedsiębiorczości, która jest niezwykle demokratycznym konceptem: polega przecież na tym, że każdy ma szansę być przedsiębiorcą. Jeśli spojrzymy na to z tego punktu widzenia, to dojdziemy do wniosku, że trzeba eliminować wszystkie te zjawiska społeczne i rozwiązania instytucjonalne, które uniemożliwiają jednostkom przedsiębiorczym bycie przedsiębiorcami. „Od pucybuta do milionera” to jest mit, legenda...

Ale się zdarzało i zdarza.

Mówię o micie w tym sensie, że nie każdy pucybut może zostać przedsiębiorcą i zarobić miliony. Taką szansę ma tylko pucybut z natury przedsiębiorczy.

Z natury?

Musimy pamiętać, że gen przedsiębiorczości – bo to jest rodzaj genu – nie rozkłada się równo w społeczeństwie, tak jak nie wszyscy jesteśmy po równo obdarzeni talentami muzycznymi, plastycznymi czy matematycznymi. Więc nie chodzi o to, żeby wszyscy na siłę zostali przedsiębiorcami, tak jak przecież nie wszyscy mogą być artystami. Absolutnie kluczowe jest natomiast to, by naturalny potencjał przedsiębiorczości tkwiący w ludziach nie był tłumiony.

Najczęściej słyszymy i mówimy, że biurokracja i nadmiar przepisów tłumi przedsiębiorczość.

W rzeczywistości działa tu wiele istotniejszych czynników. Warto się przyglądać zwłaszcza, jak wygląda uwarstwienie społeczeństwa i jaka jest struktura rynku. Jeśli będziemy mieli sztywne klasy,

nieprzenikalne kasty, to szanse, że człowiek z genem przedsiębiorczości uwolni swój potencjał jako przedsiębiorca, są nikłe. Jeśli będziemy mieli na rynku dominację kilku podmiotów w kluczowych dziedzinach, to możliwość rozwinięcia działalności i zdobycia znaczącej części rynku przez kogoś – nawet bardzo utalentowanego – spoza tego układu, jest iluzoryczna. Przedsiębiorczość jest z natury demokratyczna.

Choć w tę naturę jest wpisana walka konkurencyjna, nieraz ostra, z silną pokusą eliminowania konkurencji z rynku?

Właśnie chodzi o to, żeby nie dopuścić do eliminowania konkurencji.

I tyle?

Nie, bo to nie zdejmuje innych – postawionych przez nas wcześniej – pytań. Zwłaszcza o to, co czyni ludzi szczęśliwymi. Już wiemy, że nie ma takiego prostego przełożenia między bogactwem a szczęściem.

Mój znajomy biznesmen mawia: siódme Porsche, trzecia żona, dziewiąty terapeuta.

Bywa... Z drugiej strony, wiemy też, że nie możemy podzielić świata na szczęśliwych nieposiadających – nawiązuję tu do tych ludów pracujących po 15 godzin tygodniowo i nie mających prawie nic – oraz na nieszczęśliwych posiadających. To tak nie działa. Wszyscy znamy przecież takich, co mają dużo i są szczęśliwi i takich, co mają mało i są nieszczęśliwi – oraz na odwrót. Czyli samo posiadanie niewiele mówi o szczęściu – z zastrzeżeniem, które już poczyniłem wcześniej: że do pewnego poziomu dochodów jest czynnikiem zwiększającym satysfakcję z życia i poczucie bezpieczeństwa.

Posiadanie, do pewnego poziomu dochodów, jest czynnikiem zwiększającym satysfakcję z życia i poczucie bezpieczeństwa.

To co jest dla nas ważniejsze od samego posiadania?

Ważne, aby to, co posiadamy, wynikało z naszej osobistej aktywności, z naszej pracy, z naszej przedsiębiorczości.

A podobno ludzie kochają socjał!

Tak naprawdę takich osób jest niewiele. Co więcej, jeśli większość społeczeństwa uważa, że stan posiadania zależy od rozdzielenia dóbr według zasad, które są albo nieczytelne, albo skrajnie niesprawiedliwe, to ludzie zaczynają być niezadowoleni, sfrustrowani. I nawet, jeśli obiektywnie mają więcej niż np. dekadę temu, nie mogą być usatysfakcjonowani ani szczęśliwi. Najlepszym dowodem na to, tu i teraz, jest to, że Polacy mają się obiektywnie lepiej materialnie, ale nie przekłada się to na poczucie lepszego zaspokojenia niezwykle ważnych potrzeb; niektórzy czują się wręcz gorzej.

Wspomniał pan profesor o „niezwykłe ważnych potrzebach”. A może one są nam stale wmawiane, sztucznie kreowane przez przedsiębiorców? Steve Jobs mawiał, że „ludzie nie wiedzą, czego chcą, dopóki im się tego nie pokaże”. No i pokazał smartfona, którego posiadanie stało się fundamentalną potrzebą i wykreowało całą masę innych, kompletnie nieznanych wcześniej, potrzeb. Można przy tym dowiedzieć, że gdyby współczesny kapitalizm nie wymyślał ciągle nowych dóbr i potrzeb, to straciłby sens istnienia. On zakłada, że musimy tkwić gdzieś między niedostatkiem a wiecznym witkacowskim nienasyceniem – jako społeczeństwo konsumpcyjne poddane rosnącemu apetytowi na nowości.

Jest wyraźna różnica między potrzebami a pragnieniami. Ale jest też różnica między pragnieniami a narkotycznym popędem wymagającym natychmiastowego zaspokojenia. Ludzie muszą mieć pragnienia. Pragnienie rodzi się we mnie wtedy, gdy moje marzenie przekształca się w przekonanie, że chcę i powinienem osiągnąć coś, co wydaje się nieosiągalne. To bardzo pozytywne, że ludzie chcą zmienić swój status i zdobywają się w związku z tym na aktywność.

Czasem też skłaniają do aktywności innych.

To prawda. Martin Luther King wypowiedział swoje słynne „I Have a dream” właśnie w tym kontekście. Rozbudził w ludziach przekonanie, że warto pragnąć ziszczenia tego wspólnego marzenia i w związku z tym trzeba do tego dążyć. Takie pragnienie nie ma jednak nic wspólnego z kompulsywną konsumpcją, np. pragnę mieć najnowsze- go iPhone’a i zrobię wszystko, żeby natychmiast zaspokoić to pragnienie, a właściwie – pożądanie rzeczy. Na tej samej zasadzie alkoholi- ka ciągnie do kolejnego kieliszka, a narkomana do kolejnej dawki. Wiemy, że za takim chorobliwym pędem idzie zawsze nienasycenie.

A jak zdefiniować potrzeby? Te – że tak to tautologicznie ujmę – naprawdę potrzebne?

Potrzeba to coś, co musimy zaspokoić, żeby żyć. Musimy oddychać powietrzem, pić wodę, musimy jeść...

Ale czy koniecznie jarmuż z biouprawy?

To prawda, że potrzeba wynika bardziej z obiektywnych uwarun- kowań naszego ciała, ale nie da się od tego oddzielić psychiki. Mó- wimy przecież o potrzebach bytowych i zdrowotnych, związanych z zapewnieniem i poczuciem bezpieczeństwa, ale też o potrzebach kulturalnych czy edukacyjnych. Ludzie mają potrzebę poznawania świata, podróżowania. Ona jest w hierarchii potrzeb, także w Pol- sce, bardzo wysoko. Podstawowe jest więc pytanie, czy w danym systemie gospodarowania ludzie mogą zaspokajać te swoje elemen- tarne potrzeby na tyle, by żyć i być aktywnym.

Czyli nie samym chlebem i jarmużem żyje człowiek.

Nawet w obozie koncentracyjnym mogą cię karmić tak, że nie umrzesz, ale to nie znaczy, że twoje potrzeby będą zaspokojone. Powtarzam, bo to ważne: mówimy tu o takim poziomie zaspokoje- nia potrzeb, by człowiek mógł być aktywny i samodzielny...

Upodmiotowiony?

Dokładnie tak! Możemy przy tym wyróżnić pewien zestaw dóbr społecznie uzasadnionych i uznawanych za społecznie pożyteczne, na przykład związanych z kulturą, działalnością artystyczną, z poczuciem bezpieczeństwa, ze zdrowiem, z wiedzą dostępną dla wszystkich. One zaspokajają nie tylko indywidualne potrzeby, ale tworzą coś, co oddziałuje szerzej – ma pozytywny wpływ. Gospodarowanie ma służyć właśnie zaspokajaniu potrzeb społecznie uzasadnionych czy społecznie uznanych za pożyteczne.

Ale zestaw tych potrzeb stale się zmienia.

To naturalny efekt postępu cywilizacyjnego. Kiedyś nie było sposobów zaspokajania tych potrzeb, więc były one tylko marzeniami. Weźmy wspomnianą potrzebę podróżowania, poznawania świata. Większość ludzi przez stulecia nie miała takiej możliwości, mogli najwyżej czytać książki i sobie wyobrażać. Dzisiaj mogą masowo podróżować i ponieważ jest to ważna potrzeba, nie można odmówić im jej zaspokajania.

Choć skutkiem bywa katastrofalny overtourism z wszelkimi jego smutnymi konsekwencjami.

Tak, za zaspokajaniem ludzkich potrzeb mogą się kryć też bardzo negatywne zjawiska. I tu wracamy do kompulsywnej konsumpcji, chorobliwego pożądania i wiecznego nienasycenia. Czy koniecznie muszę odwiedzić wszystkie wielkie miasta, a reszta globu nie ma dla mnie znaczenia? Czy nie nachodzą mnie żadne refleksje w kolejkach do miejsc „absolutnie koniecznych do zobaczenia” w tym nieprzebranym tłumie? Odkrywanie realnych potrzeb i oddzielanie ich od kompulsywnych pragnień jest sztuką. Powinno wynikać ze znajomości swojego ciała i swojej psychiki, z refleksji nad sobą.

Można mieć refleksję nad czymś, co teoretycznie nami rządzi i nas napędza?

Tak jest np. z pragnieniami rywalizacyjnymi: chcę czegoś i do tego dążę, bo inni to mają albo mówią mi, że koniecznie muszę to mieć. Kończy się na tym, że w pewnym momencie przestają odnajdywać w tym siebie.

Nie widzę w tym sensu?

W najlepszym razie. Pan wspomniał, że przedsiębiorcy tworzą i wmawiają nam kolejne potrzeby. Tak, manipulacyjny marketing doprowadza nas często do opisanego wyżej stanu: bo musisz, na pewno chcesz, albo po prostu zasłużyłeś na to. To ma rodzić w nas pragnienie natychmiastowego zaspokojenia poprzez wejście w posiadanie jakiegoś dobra, jakiejś rzeczy.

Ale to wejście w posiadanie niczego nie zaspokaja. W każdym razie – nie to, co ważne.

To jest trochę jak z miłością. Mawiamy banalnie, ale słusznie, że nie da się jej kupić. Można natomiast robić wszystko, by ona powstała. Pewnych rzeczy się nie kupuje i nie zdobywa, tylko się je osiąga.

I wtedy jesteśmy naprawdę szczęśliwi?

Rośnie szansa i prawdopodobieństwo, że będziemy.

A OEES nie może zrobić jakiegoś, najlepiej krótkiego, poradnika typu „Powiemy Ci jak żyć w piętnastu slajdach” albo „10 pewnych przepisów na szczęście”? Niechybnie by się sprzedał.

Uczciwie mówię, że nie ma uniwersalnych przepisów – bo poczucie spełnienia i szczęścia, podobnie jak miłość, to jest zawsze szczególnie indywidualna relacja. Co nie oznacza, że nie ma zasad. Ekonomia wartości wskazuje, że wszystko, co jest naprawdę wartościowe, jest zawsze społecznie zakorzenione. I nie chodzi tu o dławienie jednostki, pozbawianie jej wolności, ale

o uzmysławianie jej, że to, co robi, powinno służyć zaspokajaniu społecznie uzasadnionych potrzeb.

A jeśli tak nie jest?

(...) **wszystko, co jest naprawdę wartościowe, jest zawsze społecznie zakorzenione.**

To zmierzamy ku gospodarce, w której nieliczni mogą zaspokoić swoje potrzeby, a większość nie. Społeczeństwo staje się niespójne, pojawiają się i narastają skrajne nierówności, maleje poczucie bezpieczeń-

stwa. Konsekwencje takiego procesu można zobaczyć w wielu amerykańskich miastach.

Tamtejsze społeczeństwo wciąż żyje owym mitem założycielskim – od pacybuta do milionera.

Ale jednocześnie drastycznie tę możliwość ograniczyło i ma dziś ultrawąskie oraz skrajnie niepewne rzeczywiste ścieżki awansu materialnego. Sytuacja klas średnich i najwyższych po prostu się rozjechała. Poruszamy się pomiędzy tym, co musimy, a tym, co pragniemy – ale każdy dla siebie powinien znajdować tutaj równowagę. Każdy dla siebie – ale nie sam. To jest fundamentalne – że nie sam. Inni są nam do tego bardzo potrzebni.

Mam wrażenie, że ludziom pokroju Donalda Trumpa – stawianego dziś przez wielu za wzór – ludzie nie są do niczego potrzebni. No, może jako publiczność.

Nikt nam nie da przepisu na lepszego siebie. Musimy go odnaleźć sami.

Narcyzowi faktycznie wystarczy on sam i jego lustro. Ale narcyzm pozwala dostrzec coś wyłącznie fałszywego, udawanego. Żeby poznać siebie, a tym samym móc powiedzieć, co jest naprawdę dla mnie waż-

ne, moim lustrem muszą być inni ludzie. Potrzebujemy społecznej organizacji, która temu sprzyja. Więc, panie redaktorze, nie będzie poradnika. Nikt tu nic za nikogo nie załatwi. Nikt nam nie da

przepisu na lepszego siebie. Musimy go odnaleźć sami. Natomiast razem możemy tworzyć sprzyjające warunki do takich poszukiwań.

A nie łatwiej jest mówić ludziom: słuchajcie, cały czas byliście krzywdzeni, oszukiwani, dyskryminowani i grabieni przez tamtych i owych, jesteście ofiarami, krystalicznie niewinnymi, a zarazem jesteście od tamtych lepsi, więc to i to się wam należy.

Jasne, że jest łatwiejsze napędzanie ludzi przeciw innym ludziom, a nie koncentrowanie się na dążeniu do poznania samego siebie w celu zaspokajania społecznie zakorzenionych potrzeb. Powtarzam: społecznie zakorzenionych i istotnych, a nie będących efektem uczestnictwa w jakiejś grze. Bardzo wielu ludziom uzależnionym od gier mylą się one z realiami.

To bywa bolesne, bo w grze ma się kilka żyć.

I można być postacią zawsze zwycięską. A w prawdziwym życiu ma się tylko jedno i droga do zwycięstwa wiedzie przez porażki.

Ale czy jest szansa, że kapitalizm amerykański, który przez ostatnie dekady tak silnie oddziaływał na cały świat, a o którym wypowiada się pan tak krytycznie, uruchomi mechanizmy samonaprawy i stworzy sam sobie sprzyjające warunki do poszukiwania nowych rozwiązań, do refleksji nad wykorzystaniem zasobów, nad relacjami silniejszych i bogatszych ze słabszymi i biedniejszymi? Carnegie mawiał, że jeśli bogaty nie rozda swego majątku społeczeństwu i umrze bogaty, to umrze zhańbiony. Miliarderzy co roku wołają w Davos: opodatkujcie nas. Bill Gates wydaje fortunę na naprawę świata. Elon Musk też twierdzi, że realizuje wielką misję dla dobra ludzkości. A zarazem oni wszyscy tworzą oligarchię psującą Amerykę i świat, bardzo odległą od ekonomii wartości.

Jak ktoś chce się zajmować ekonomią wartości, to musi pokładać wiarę w ludzi. Nie chodzi o to, żeby ich nawracać. Wartości muszą

mieć fundament w ludzkiej wolności, zdolności i możliwości decydowania o sobie. W świecie zdominowanym przez przemoc świat wartości niknie. Nie mówię, że one znikają, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto powie: ja uważam tak i będę postępował dobrze niezależnie od konsekwencji.

Jak Maksymilian Kolbe w Auschwitz.

Tak, ale nam przecież nie chodzi o heroizm, o budowanie świata, w którym ludzie będą zmuszeni do takich wyborów. Chodzi o świat, w którym ludzie rozumieją swe powinności i zobowiązania. I to zrozumienie rodzi się na podłożu etycznym, a nie dlatego, że ktoś coś komuś nakazał.

Decyzje miliarderów o finansowaniu wielkich projektów społecznych zrodziły się na podłożu etycznym?

Jest godne uwagi, że są ludzie, którzy dorobili się wielkiego majątku i chcą się nim podzielić. Ale zawsze warto zadać sobie podstawowe pytanie: czy dana osoba dorobiła się tego majątku działaniami mieszczącymi się w granicach prawa i moralności, czy też pogwałciła te prawa i zasady, postępując nieuczciwie albo wręcz dopuściła się czynów określanych przez nas jako zbrodnicze. Czy my gotowi jesteśmy uznać, że zło kryjące się za tak pozyskanym majątkiem można naprawić, zneutralizować albo znieść w drodze dzielenia się pieniędzmi i przeznaczaniem ich części na szczytne cele? Otóż to tak nie działa. Być może w sumieniu danej osoby docho-

Istota ekonomii wartości polega na tym, że myślenie o wartościach pojawia się na początku, a nie na końcu działania.

dzi do swego rodzaju rekompensaty wewnętrznej, usprawiedliwienia. Ale w ujęciu społecznym wygląda to inaczej. Istota ekonomii wartości polega na tym, że myślenie o wartościach pojawia się na początku, a nie na końcu działania. Odpowiedzialnie prowadzony biznes ma wartości u samych źródeł i wytwarza przestrzeń dla tworzenia wartości.

Pan pokłada wiarę w ludzi biznesu?

Są ludzie, którzy potrafią zrozumieć współzależności, w jakich żyjemy i działamy, a przy tym dostrzegają potencjalne długofalowe konsekwencje swoich działań. Jedni patrzą wężiej, inni szerzej. Na przykład Henry Ford wiedział, że jeśli chce zarabiać więcej, to jego samochód musi być sprzedawany masowo, czyli dostępny także dla tych, którzy u niego pracują. Z konstatacji, że absurdem jest produkowanie samochodu jako dobra luksusowego, zrodził się określony model gospodarowania – taśma produkcyjna służąca masowej produkcji dóbr. To z kolei napędziło system kapitalistyczny i kumulację kapitału. Tyle, że Ford rozumiał tę złożoność w odniesieniu do własnego biznesu, czyli wąsko. Jasne, że lepiej tak, niż wcale, ale wartości, jakie się tutaj pojawiły – jak dbałość o pracowników – były niejako „przy okazji”, a nie u zarania tego biznesu.

Nie wynikały z etycznej refleksji, że tak po prostu trzeba, wypada itp.?

Wynikały z pewnej biznesowej wyobraźni. A my potrzebujemy ludzi, którzy mają nie tylko wyobraźnię, lecz także niosą moralność i odpowiedzialność, by powiedzieli: da się gospodarować, da się zaspakajać potrzeby ludzkie na fundamencie wartości, co więcej: tym lepiej i pewniej je zaspokoimy, im bardziej będziemy myśleli i opierali się w naszym gospodarowaniu na wartościach.

Ale czy to leży w ich interesie? Rozumianym jako wynik kwartalny?

Nie mówię, że przedsiębiorca ma nie myśleć o swoim interesie. On o interesie myśleć musi, bo inaczej go nie będzie. Mówię, że warto myśleć uczciwie, długofalowo – bo tak należy, a nie tylko z tego powodu, że się opłaca. Bo niby dlaczego mielibyśmy rozumieć interes w sposób tak wąski i krótkofalowy jak wynik kwartalny? Przecież to krótkowzroczne.

Jednak czasem konieczne.

Konieczne – dlaczego? Czy dlatego, że tak wynika z rachunku kosztów? A jeśli z tego rachunku wyniknie, że najlepiej oszukiwać? Bo są tacy, którzy oszukują.

Chętnie powtarzamy, że oszustami powinna się zająć policja.

Teoretycznie owszem. Ale tak naprawdę kluczowe jest to, czy dany system gospodarowania sprzyja hochsztaplerom i bezwzględny naciągaczom, czy preferuje określony typ drapieżnych menedżerów, czy też działa całkiem inaczej. System nie składa się z policji ani samego tylko wymiaru sprawiedliwości. Osadzony jest na wartościach, na których oparte są relacje międzyludzkie, w tym biznesowe.

Pan profesor doskonale jednak wie, że większość rozmów na wszelkiego rodzaju spotkaniach przedsiębiorców prędzej czy później dotyka problemu opłacalności.

Będę powtarzał do znudzenia, że opłacalność jest konieczna do prowadzenia biznesu. Kropka. Ale po tej kropce zadaję fundamentalne pytanie: czy można wszystko sprowadzać do opłacalności, w dodatku rozumianej tak prymitywnie wąsko jako kwartalna czy roczna nadwyżka finansowa. Dla ekonomii wartości odpowiedź jest jasna: jeśli pominiemy społeczną treść i społeczny wymiar gospodarowania, to będziemy niszczyć nie tylko zasoby, z których korzystamy, i nie tylko inne przedsiębiorstwa, ale również własny biznes.

Trumpizm kontra ekonomia wartości

Opowieść druga:

o ludziach, którzy niszczą kapitalizm,
rosnącej sile amerykańskich oligarchów
i sensie starań o ich powstrzymanie



- *Make America Great Again*, ruch MAGA i bojownicy odrodzenia „prawdziwych amerykańskich wartości”
- Koniec konkurencji to śmierć kapitalizmu
- Jak zapomnieliśmy o 78 milionach ofiar i pourywanych kończynach
- Jack Welch – dziecko Ronalda Reagana i Margaret Thatcher
- Zbyt wielcy, by upaść
- Dlaczego w Polsce oligarchia nie przyjęła się (na razie)?
- Mordercza triada: władza polityczna, władza ekonomiczna i zdolność realnego wpływania na myślenie ludzi
- Co przeciwko brutalnej sile?

2.

Słyszę bardzo często od przedsiębiorców, ale też ich doradców, że borykają się z tak wieloma wyzwaniami globalnymi, krajowymi, lokalnymi, że nie mają czasu rozmawiać o ideach i wartościach. Niektórzy pytają wprost: po co o tym w ogóle mówić?

To zależy, jak rozumieją to „po co”. Czy instrumentalnie, mając na myśli doraźne cele firmy, jej wyniki finansowe, zyski tu i teraz. Czy może raczej jest to pytanie o sens prowadzenia działalności gospodarczej, czyli bardziej długofalowe cele i w jakimś stopniu oderwane od bieżących wyników kwartalnych.

A jest jakaś różnica?

Każdy, kto prowadzi działalność trochę dłużej niż rok, dwa, wie, że jest. Mądry przedsiębiorca zdaje sobie również sprawę z tego, że nie powinien z góry przyjmować jakiejś zadanej przez kogoś prawdy. Równocześnie nie powinien działać w myśl zasady, że on sam wie wszystko, albo – co gorsza – że on wie wszystko raz na zawsze. Moim celem nie jest narzucanie innym jakichś objawionych prawd. Powtarzam: istotą OEES jest otwarta dyskusja o tym, co ważne i jest to otwarty proces, który rozwija także mnie i (mam nadzieję) wszystkich jego uczestników.

**Istotą OEES jest
otwarta dyskusja
o tym, co ważne i jest
to otwarty proces (...)**

Czyli to jest raczej wspólna misja poszukiwawcza, a nie ewangelizacyjna.

Można tak powiedzieć. Każdy z nas szuka dobrego oglądu i interpretacji zmieniającego się świata, może to robić jednostka, może to robić organizacja, może to robić większa zbiorowość. Pytanie o sens może być zadawane indywidualnie, ale też odpowiedzi i sensu może chcieć się doszukiwać firma, instytucja, gmina. Miarą sukcesu OEES nie jest to, ile takich jednostek, firm czy gmin stowarzyszę, bo ruch Open Eyes Economy nie ma charakteru stowarzyszenia ani organizacji, do której można się zapisać, tylko jest właśnie ruchem. Wytwarzamy razem z innymi znaczeniową przestrzeń rozmowy, rozwijamy perspektywę poznawczą po to, by rozmawiać i żeby ta rozmowa – zgodnie z nazwą – otwierała ludziom oczy.

Ale w czym tkwi sens? Albo Sens?

Nasza perspektywa wyrasta z określonych wartości. Nie twierdzimy jednak, że jest jedyną możliwą. Ktoś może patrzeć z innej i odmiennie widzieć różne kwestie. Ma do tego prawo. My wychodzimy z pewną propozycją. Jeśli dzięki temu ludzie zaczynają rozmawiać, jeśli dostrzegają rzeczy, które wcześniej im umykały, to dobrze, a jeśli te wartości przenikną do ich praktyki, to bardzo dobrze.

Świetnie, że mówi pan o praktyce, bo pamiętam, że idea OEES – otwartej rozmowy o ekonomii wartości – została niespełna dekadę temu przyjęta z wielkim entuzjazmem przez znaczną części środowisk gospodarczych. Fantastycznie wpisała się wtedy w dyskusję o kolejnym kryzysie kapitalizmu, tym razem w odmianie neoliberalnej i bardzo globalnej. W przekonaniu wielu osób, również ludzi biznesu, ów globalny kapitalizm zabrnął w wiele ślepych uliczek albo wręcz zbliża się już do końca tych uliczek, więc trzeba zasadniczo skorygować kierunki i zasady. Kiedy powstawał ruch ekonomii wartości, zdawało się, że cały świat podziela diagnozy i wnioski jego czołowych uczest-

ników, a w każdym razie – nasz świat, czyli Europa i Ameryka. Na pierwszym OEES głośno mówili o tym prof. dr hab. Adam Daniel Rotfeld, Danuta Hübner, Anna Palacio, Włodzimierz Ci-moszewicz, a także przedstawiciele największych światowych firm. Tymczasem dekadę później Ameryka mówi głosem Donal-da Trumpa, stała się zakładnikiem jego „Make America Great Again” i ruchu MAGA, który ogłosił się piewcą i bojownikiem odrodzenia „prawdziwych amerykańskich wartości” – opartych rzekomo na „czystym dealu”, czyli de facto robieniu interesów z pozycji siły. Dlaczego hasła Trumpa okazały się takie nośne na publicznej i biznesowej agendzie i jak się mają do wartości idei ekonomii wartości?

Istotą trumpizmu jest to, że władza ekonomiczna i władza politycz-na nie funkcjonują obok siebie, czy jako sojusz, tylko są lub mają być skupione w jednych rękach. Nie mam tu miejsca na wyprowa-dzenie całego wywodu historiozoficznego, więc posłużę się pew-nym skrótem. Jeśli popatrzymy na gospodarkę kapitalistyczną czy na kapitalizm światowy, to – pomijając kryzysy skutkujące utra-tą znaczenia jednych krajów i procesy nabierania hegemoniczne-go znaczenia przez inne kraje – w podstawowym wzorcu gospo-darowania fundamentem jest konkurencja: jedni wygrywają, bo są bardziej pomysłowi, produktywni, a inni przegrywają, bo przestają być twórczy i skuteczni. To najważniejszy powód, dla którego ten system ma w sobie taką siłę.

Joseph Schumpeter pisał o kreatywnej destrukcji.

Tak jest, na tym właśnie polega mechanizm działania rynku i kon-kurencji. Ciągłe pojawiają się przedsiębiorcy – innowatorzy, któ-rzy znajdują inne rozwiązania pewnych kwestii i dzięki temu zy-skują. Generują dodatkową wartość, budują swoją siłę kapitałową, ale z czasem tracą pozycję, jeśli nie udało się wytworzyć sytuacji, w której jakaś firma zostałaby trwałym monopolistą. Monopol niszczy rynek, kapitalizm straciłby swoją twórczą energię, stałby się systemem kompletnego zastoju.

Ale jednocześnie jest tak, że co pewien czas w globalnym kapitalizmie pojawiają się poważne kryzysy i one też wynikają z natury tego modelu gospodarowania.

Oczywiście. Weźmy wielki kryzys gospodarczy przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, który wstrząsnął całym systemem kapitalistycznym. Odpowiedzią było pojawienie się koncepcji wyrosłych z tego samego pnia, wychodzących od zwolenników gospodarki rynkowej i kapitalizmu. Uznali oni, że jeśli nie podejmiemy działań, to system upadnie. Kwintesencją tego myślenia był program New Deal – Nowego Ładu Franklina Delano Roosevelta. Można go uznać za prapoczątek państwa opiekuńczego, które rozwinęło się z tak wielkim sukcesem w Europie po II wojnie światowej.

Jako żywe wcielenie idei Brytyjczyka Johna Maynarda Keynesa, twórcy teorii interwencjonizmu państwowego w obszarze ekonomii i finansów państwowych, która była reakcją na wspomniany światowy kryzys lat 20. i 30. XX wieku.

Pamiętajmy, że tenże wielki kryzys gospodarczy w ogromnej mierze wyniósł do władzy nazistów w Niemczech i doprowadził do wybuchu II wojny światowej. Jego reperkusje były zatem dalekosiężne. Moglibyśmy jednak cofnąć się w czasie i opowiedzieć o kryzysie kapitalizmu i globalizacji przed I wojną światową oraz bolesnych konsekwencjach owych wcześniejszych wstrząsów. Chcę przez to powiedzieć, że w reakcji na kryzysy tego systemu, będące jego naturalną cechą, a zwiastujące kres pewnej historycznej epoki, pojawiają się odpowiedzi w postaci nowych koncepcji lub powrotu do starych koncepcji, ale w wersji odświeżonej, dostosowanej do nowych czasów. One się rodzą z poszukiwań w różnych sferach: ekonomicznej, politycznej, kulturalnej.

Reakcją na wielki kryzys sprzed 100 lat był wspomniany interwencjonizm państwowy, ale – wbrew często dorabianej mu gę-

bie – on nie polegał na ograniczeniu rynku i wolnej konkurencji, tylko wręcz przeciwnie: na ochronie rynku i odbudowie wolnej konkurencji.

To prawda. Właśnie po to powstało na przykład prawo antymonopolowe skierowane przeciwko gigantom przemysłowym, które zmonopolizowały rynek i doprowadziły do wybuchu wielkiego kryzysu, a potem dla wzmocnienia swej gospodarczej potęgi de facto finansowały i wspierały tworzenie i umacnianie władzy autorytarnej. Nie miejmy złudzeń: Ford był wielkim innowatorem i wybitnym przedsiębiorcą, ale miał skłonności absolutnie autorytarne, faszystowskie. I nie był wyjątkiem w kręgu wielkiego biznesu. Tacy ludzie budowali nie biznesy, lecz imperia gospodarcze i potrzebowali do tego autorytarnej władzy, która im to umożliwi. Kiedy taka polityka, typowa na tamtym etapie rozwoju kapitalizmu, doprowadziła ludzkość do potwornego kryzysu, cierpienia, głodu, a w końcu do najbardziej katastrofalnej wojny w dziejach, pojawiła się odpowiedź w samym systemie gospodarczym i w otoczeniu tego systemu. Musiały powstać nowe instytucje, nowe mechanizmy działania, nowe zasady, powstrzymujące rozwój tego typu patologii.

I to długo działało.

Tak, efektem była złota era po drugiej wojnie światowej. Oczywiście, odbudowa powojenna miała bardzo istotne znaczenie dla dynamiki wzrostu, ale dobrobyt wynikający z funkcjonowania państwa opiekuńczego opartego na zachodnim modelu demokracji i idei państwa opiekuńczego trwał mniej więcej do lat siedemdziesiątych. Wtedy pojawiły się innego rodzaju zakłócenia w systemie, związane m.in. z inflacją i nadmiernym wzrostem wydatków publicznych oraz konsekwencjami obu tych zjawisk.

Tzw. zwykli ludzie zaczęli to odczuwać?

Owszem, a to stworzyło klimat dla rekonkwisty.

Czyli popularyzacji idei neoliberalizmu.

Tak jest. Wielki kapitał, który został w ostatnich dekadach mocno ograniczony, zaczął wspierać narrację, że wolny rynek wystarczy, załatwi i zapewni wszystko. A regulacje muszą być ograniczone.

Najlepiej żadne?

No, ale przecież tak właśnie było 100 lat temu i mieliśmy przez to wielki kryzys i najkrwawszą z wojen.

W latach 70. w dorosłość wchodziły pokolenia, które nie pamiętały 78 milionów ofiar, trupów na ulicach, rozerwanych ciał, porurywanych rąk i nóg, które nie budowały, nie pilnowały, ani nie wyzwały obozów koncentracyjnych...

Faktem jest, że w określonych realiach społeczno-gospodarczych, kiedy dotychczasowe rozwiązania dające po wojnie dobrobyt przestały działać albo raczej nie odpowiadały potrzebom i aspiracjom kolejnych pokoleń, rozgorzało coś, co nazywamy dziś rewolucją neoliberalną.

Może raczej – kontrrewolucją?

To prawda, że jej istotą był powrót do idei wolnorynkowych w kształcie niemalże dziewiętnastowiecznym, rzeklibyśmy – darwinistycznym. I te nowe – stare idee zaczęły, jak kiedyś, szukać silnej władzy, która pomogłaby je urzeczywistnić. Nieprzypadkowo ten trend wyniósł do władzy ikoniczne postaci neoliberalizmu, jak Ronald Reagan i Margaret Thatcher. I te postaci wprowadziły nas w nową epokę, w której kapitalizm odzyskał wigor.

Ta siła zmiotła Związek Sowiecki i realny socjalizm w Europie Środkowo-Wschodniej.

To jedna z konsekwencji. Najważniejsza dotyczyła jednak samego kapitalizmu i polegała na odrodzeniu potęgi wielkiego kapitału.

Z tym, że to był już całkiem inny kapitał – kluczową rolę w neoliberalnej kontrrewolucji odegrały nie wielkie korporacje przemysłowe, lecz wielkie instytucje finansowe. I to one stały się nowym hegemonem kapitalistycznego świata.

Zbyt wielkim, by upaść.

Właśnie – to one były głównymi sprawcami kolejnego globalnego kryzysu, którego szczyt przypadł na lata 2008–2009, a zapoczątkowanego zapaścią na rynku pożyczek hipotecznych wysokiego ryzyka w Stanach Zjednoczonych. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że prawdziwi sprawcy nie mogą ponieść za to kary w postaci upadłości, bo pociągnęłoby to za sobą katastrofę gospodarczą i zapaść cywilizacyjną.

Czy jest jakieś podobieństwo między owymi hegemonami finansowymi a hegemonami przemysłowymi sprzed 100 lat?

Takie, że ich dominacja, czy wręcz władza nad światem, była efektem sojuszu pomiędzy neoliberalami politycznymi a neoliberalami gospodarczymi. Z tym, że w przypadku instytucji finansowych w XXI wieku sojusz ten bazował i wciąż bazuje na modelu demokratycznym. Sfery finansowe nigdy go nie podważały, nie sformułowały otwarcie postulatu jego zburzenia. Zabezpieczenia, które ustanowiono w następstwie wielkiego kryzysu gospodarczego lat dwudziestych i trzydziestych oraz wybuchu drugiej wojny światowej – wielkie instytucje nadzoru i regulacji, banki centralne, urzędy antymonopolowe, a także struktury międzynarodowe, jak Unia Europejska – sprawiły, że odejście od władzy demokratycznej nie było i wciąż nie jest takie łatwe. Owszem, próbowano te instytucje osłabić, pewne przepisy zostały zliberalizowane, zmienione. Ale bezpieczników systemu nie usunęto.

Dziś na fali jest postulat, żeby władza była silna, twarda i sprawcza, co jest świetnym pretekstem do demontażu bezpieczników.

Mamy tutaj do czynienia z całym zestawem idei mających swoje konsekwencje we wszystkich obszarach naszego życia. Słyszymy na przykład nawoływania, żeby władza wyłączyła się z różnego rodzaju oddziaływań społecznych i społecznej kontroli. Margaret Thatcher twierdziła, że w istocie rzeczy w gospodarce liczą się tylko jednostki i rodzina, a inne struktury społeczne, np. związki zawodowe i inne organizacje nie powinny odgrywać żadnej roli. To oznacza wyłączenie...

Wyrzucenie?

Tak – wyrzucenie z życia gospodarczego wszystkich: organizacji reprezentujących jakieś grupy, pośredniczących i organizacji kontroli społecznej – pod hasłem, że one ograniczają wolność ludzi, a nie służą ich wolności. Tak przejawia się idea wolności rozumianej jako wolność indywidualna – przeciwstawiana idei tworzenia warunków społecznych niezbędnych do urzeczywistniania wolności indywidualnej.

No i mamy na powrót ikoniczny mariaż liberalizmu gospodarczego z konserwatyzmem politycznym, który już przecież pół wieku temu wygrał, dając ludziom na chwilę wspomniany odech, po czym doprowadził do globalnego kryzysu finansowego.

Teraz na czele administracji stoją ludzie, którzy są aktywnymi biznesmanami i realizują jednocześnie program polityczny i własne cele biznesowe.

Ale teraz jest inaczej. Owszem, możemy tę prawicową rewolucję nazwać kolejną próbą powrotu do idei absolutnie nieograniczonej wolności gospodarczej, ale w obecnej wersji jest ona realizowana w personalnym sojuszu władzy gospodarczej z władzą polityczną.

Przez lata obserwowaliśmy w administracji amerykańskiej zjawisko obrotowych drzwi: ludzie, którzy byli w biznesie, przechodzili na stanowiska rządowe, wycofując się na ten czas z biznesu, a po odejściu ze stanowisk publicznych wracali do biznesu. Teraz na czele administracji stoją ludzie, którzy są aktywnymi

biznesmanami i realizują jednocześnie program polityczny i własne cele biznesowe. To nie jest zjawisko tylko amerykańskie. Są przykłady europejskie – wystarczy przypomnieć Sylwia Berlusconi w Włoszech czy Andreja Babiša w Czechach.

Obaj byli biznesmenami i premierami w jednym. Oligarchia?

Oczywiście, ona jest inna w Rosji czy na Ukrainie, a inna w Czechach... W Polsce nie przyjęła się tak naprawdę nigdy dlatego, że rynek był zbyt silny, żeby pozwolić oligarchom za bardzo urosnąć.

Rynek, a nie państwo?

Tak, przede wszystkim rynek – to była siła mechanizmu reformy balcerowiczowskiej. Od tego czasu pojawił się jednak na świecie zupełnie nowy typ globalnego kapitału – już nie ze sfery produkcyjnej ani finansowej, tylko cyfrowej, związanej z technologiami informatycznymi, nowymi platformami komunikacji i obiegu informacji.

Na ile on jest naprawdę nowy?

Weźmy Elona Muska. On jest niewątpliwie producentem, wszakże oferuje konkretne towary, m.in. kolejne modele Tesli, ale – podobnie jak Amazon, Facebook, Google, Microsoft i inne Big Techy – buduje swą przewagę rynkową przede wszystkim na innowacjach cyfrowych, a nade wszystko na tym, że – m.in. dzięki X i w coraz większym stopniu Grokowi – posiada zdolność kształtowania umysłów.

To jest ten nowy – trzeci element?

Tak: władza polityczna, władza ekonomiczna i zdolność do realnego wpływania na myślenie ludzi i ich czyny, do narzucania jednostkom i zbiorowościom perspektywy poznawczej, a w każdym razie do wytwarzania sytuacji, w której nie można już uformować skutecznej – zbiorowej – alternatywy dla punktu widzenia oligarchy, albo jest to piekielnie trudne.

Ale to by oznaczało kres kapitalizmu.

I tu wracam do pańskiego pytania o karty, jakie trzymam w ręku. Powiedziałem, że nie jestem graczem. Nie siedzę przy stoliku naprzeciwko Trumpa itd. Jednocześnie uważam, że tworzona przez ruch OEES przestrzeń do otwartej dyskusji o biznesie i jego celach, ale też o samorządzie, państwie, świecie i ich wartościach, ma w epoce Trumpa większy sens niż kiedykolwiek. Dopóki potrafimy współtworzyć świat intelektualnego fermentu, może nawet chaosu, dopóki jesteśmy w stanie uprawiać i rozwijać gospodarkę bazującą na konkurencji, dopóty możemy mówić o kapitalizmie i z jednej

strony korzystać z wielu pozytywnych cech takiego modelu gospodarczego, a z drugiej – będziemy ponosić cały szereg jego negatywnych konsekwencji.

Oponentami są dla mnie ci, którzy zagrażają rynkowi, próbując połączyć monopolistyczną władzę gospodarczą z autorytarną władzą polityczną przy użyciu platform technologicznych służących skrawaniu umysłów wedle ich szablonu.

A nie dałoby się wzmocnić pozytywów usuwając ostatecznie wszystkie negatywy?

Nie, ponieważ w realiach wolnej konkurencji zawsze znajdą się tacy, którzy swoją przewagę ekonomiczną będą chcieli utrwalić poprzez monopol. Kiedy pytał mnie pan, kto jest moim głównym oponentem, to wy-

jaśniłem już chyba precyzyjnie, że nie jest nim kapitalizm ani kapitał, ani tym bardziej ludzie dysponujący tym kapitałem, zwłaszcza jeśli jest to kapitał wytwórczy. Oponentami są dla mnie ci, którzy zagrażają rynkowi, próbując połączyć monopolistyczną władzę gospodarczą z autorytarną władzą polityczną przy użyciu platform technologicznych służących skrawaniu umysłów wedle ich szablonu.

A kim są realni i potencjalni sojusznicy OEES?

To ci, którzy, jak ja, dostrzegają zagrożenia wynikające z monopolizacji władzy politycznej i ekonomicznej oraz zdają sobie sprawę,

że w takim modelu będą zawsze przegrywać lub w najlepszym przypadku zostaną całkowicie zdominowani przez monopolistów. Oferta OEES jest właśnie dla nich. Mówię im: zastanówmy się wspólnie nad tym, co konkretnie możemy przeciwstawić powstającej i umacniającej się oligarchii.

Także w sensie politycznym?

Rolą OEES, w tym moją, nie są, oczywiście, negocjacje, np. w kwestii cel, jakie będą obowiązywać w relacjach handlowych między USA a Europą albo między Europą a Chinami. To jest zadanie Komisji Europejskiej, Europarlamentu, rządów poszczególnych państw – czyli generalnie reprezentujących nas polityków. Oni próbują działać tak, by uniknąć konfliktu, kryzysu, napięcia i porozumieć się z kimś, kto chce osiągać przewagę poprzez siłę i ma realną zdolność narzucania innym swoich „deali”.

I co my możemy?

Sytuacja nie jest łatwa, ale zrozummy, tu nie chodzi o cła. Kiedy załatwimy sprawę cel, to pojawi się sprawa surowców, gdy załatwimy sprawę surowców, to pojawi się sprawa przestrzeni kosmicznej i tego, kto może w niej dominować, kiedy uregulujemy i to, pojawi się dyskusja o dnach oceanu i kto może o nich decydować. I tak dalej. Musimy sobie wszyscy zdać sprawę, że trumpistom chodzi o doprowadzenie do sytuacji, w której nie będzie już żadnej wolnej przestrzeni i nie będziemy już mogli po swojemu gospodarować dosłownie nigdzie. Jesteśmy pod presją wąskiej grupy ludzi, których nadrzędnym celem jest zglobalizowanie i zdominowanie wszystkiego.

Jesteśmy pod presją wąskiej grupy ludzi, których nadrzędnym celem jest zglobalizowanie i zdominowanie wszystkiego.

Parafrazując klasyka: chamstwu trumpizmu należy się przeciwstawić. Nie tylko siłą i godnością osobistą.

Rzecz w tym, że jeśli ktoś wierzy, iż przeciwko tak skonstruowanej sile oligarchów można przeciwstawić własną siłę, to jest w głębokim błędzie. Twierdzę, że to jest po prostu niemożliwe. I właśnie dlatego powtarzam z uporem, że musimy pomyśleć o innym modelu gospodarowania.

Jeśli ktoś wierzy,
iż przeciwko tak
skonstruowanej sile
oligarchów można
przeciwstawić
własną siłę, to jest
w głębokim błędzie(...)
Musimy pomyśleć
o innym modelu
gospodarowania.

Trumpista odpowie panu, że broni „prawdziwych amerykańskich wartości”. I tyle w temacie. Bo jak pan chce rozmawiać o jakichś innych modelach czy wartościach, to znaczy, że jest pan przeciwko Ameryce, ergo: przeciwko ludzkości. Można to przenieść na dowolny kraj Za-

chodu, bo taki sposób myślenia zaraźliwie się rozpowszechnia. Jako członek zarządu Fundacji Pamięci Ofiar Auschwitz doskonale znam z historii konsekwencje tego typu podejścia.

Musimy otwarcie powiedzieć: nie ma czegoś takiego, jak „prawdziwe amerykańskie wartości”. Co to znaczy „prawdziwe” i które nimi są w stosunku do tych, które są „nieprawdziwe”? Kto ma o tym decydować? Słyszymy, że Amerykanie zmierzają w kierunku nowego izolacjonizmu, że skupiają się na robieniu porządków u siebie. Ale ta ekipa, budując swoją władzę na „porządkach u siebie” pod hasłem „Make America Great Again”, tworzy de facto nowy porządek świata. Nową wersję Pax Americana. Czy jej się to uda, czy nie uda, to inna sprawa. Fundamentalna jest odpowiedź na pytanie: dlaczego my, pod presją siły, mamy godzić się na trumpistowską interpretację tego, co jest „prawdziwą amerykańską wartością”. Zwłaszcza, że – jak już kilka razy powtórzyliśmy – znamy z historii konsekwencje takiego podejścia i opartej na nim polityki.

Kiedy pan o tym wspomina, zerkam odruchowo na półkę z publicystyką gospodarczą. Mam na niej m.in. bestsellerową książkę Davida Gellesa *Człowiek, który zniszczył kapitalizm* – o Jacku Welch, wzorcu brutalnego neoliberalnego menedżera, który kieru-

je się wyłącznie zyskiem, deale przeprowadza na ostro, nie waha się ciąć kosztów wraz z ludźmi i przeżywa rozkosz, gdy eliminuje z rynku konkurentów wraz z załogami. Gelles opisuje przemianę General Electric z największej firmy Ameryki, będącej cenionym i kochanym pracodawcą, a zarazem kuźnią innowacji zmieniających świat, w patologicznie chciwego drapieżnika bez żadnych zasad i wartości. Ten drapieżnik w końcu zaczyna się dławić tym, co pożarł, a jednocześnie traci instynkt innowatora, a także szacunek i zaufanie pracowników, kontrahentów, konsumentów. Drapieżność odbiera mu wigor, a może nawet sens istnienia. Mimo to dla niezliczonych biznesmenów, jak Trump, Welch pozostaje wzorem.

Welch sprowadził całe gospodarowanie firmy do wyniku finansowego. I do gry o ten wynik. Z perspektywy czasu wiemy, że takie ukierunkowanie działań pozbawiło nawet tak potężną firmę, jak GE, zdolności adaptacyjnych i rozwojowych. Dlaczego? Sposób widzenia świata i funkcjonowania w tym świecie, jaki legł u podstaw strategii Welcha i jemu podobnych polega na wymuszaniu tego, czego się chce, na przemocy psychicznej w stosunku do pracowników, na przymusie ekonomicznym, na nakłanianiu siłą wszystkich innych do subordynacji i opacznie rozumianej lojalności. Często także na wymuszaniu nieetycznych zachowań w stosunku do partnerów i klientów. To może przynosić zyski tu i teraz, ale długofalowo ma określone konsekwencje – przeważnie dla takiej organizacji bardzo negatywne. Jeśli uznamy takie rozumowanie i postępowanie za antywzór, to musimy się zastanowić, jaki powinien być wzór.

Sposób widzenia świata i funkcjonowania jaki legł u podstaw strategii Welcha polega na wymuszaniu tego, czego się chce (...) To może przynosić zyski tu i teraz, ale długofalowo ma określone konsekwencje – przeważnie dla takiej organizacji bardzo negatywne.

Firma-idea w epoce ekspansji zła

Opowieść trzecia:

o tym, jak gospodarka chciwości robi z nas
nieszczęśliwych konsumentów-zombie,
a ekonomia wartości przeobraża
w świadomych i spełnionych
współtwórców świata



- Czemu służymy, jaki jest cel i sens naszej działalności?
- Samobójcze: „firma nie jest od produkcji czegokolwiek, tylko od zarabiania pieniędzy”
- Dlaczego *Greed is good* niszczy podstawy gospodarowania?
- Europejski Zielony Ład i inwazja Hunów
- United States of America i *In God we trust*, czyli nie ma rynku bez państwa i regulacji
- Dlaczego nie zatrudniamy małych dzieci, czyli regulacje są dobre, jeśli ludzie uważają je za słuszne
- Polak potrafi: sztuka kombinowania vs zaufanie
- Rozjechały się poglądy młodych kobiet i młodych mężczyzn. Dlaczego i co z tym zrobić?
- Firma jako wielopokoleniowa struktura uczenia się od siebie nawzajem
- Uczelnia jako kopalnia diamentów
- Prawda „najmojsza” vs otwarta dyskusja

Niektórzy są rozczarowani.

A czym?

Bo jak pan rzucił hasło „firmy-idei”, to myśleli, że wpadną na chwilę na OEES, wezmą jakąś broszurę i znajdą w niej prosty przepis na biznes, który – wedle szeregu obietnic – sprostą tym wszystkim przerażająco wielkim wyzwaniom XXI wieku.

Po pierwsze: nie było żadnych obietnic typu, że ktoś coś wdroży i to z automatu zadziała. Po drugie – i to jest fundamentalne – w OEES nie chodzi o to, że kogoś stawiamy za wzór i każemy naśladować innym. Raczej szukamy ludzi, którzy w inny, niekonwencjonalny sposób myślą o swojej firmie, nie sprowadzają jej do kwartalnego czy rocznego wyniku finansowego.

Szukają głębszego sensu?

Można tak powiedzieć. Ekonomia wartości zaczyna się od tego, że patrzymy na swoją organizację przez złożenie dwóch porządków. Fundamentalne w koncepcji firmy-idei jest to, że pierwszy porządek, organizacyjno-funkcjonalny, w którym wypracowuje się wynik, czyli wartość instrumentalną, wiąże się ściśle i przenika z drugim porządkiem – aksjologiczno-normatywnym. Te porządki

muszą być do siebie dopasowane. W tym drugim nie odpowiadamy na pytanie, co produkujemy albo ile zarabiamy, tylko – czemu służy, jaki jest cel i sens naszej działalności. I te odpowiedzi mają wpływ na porządek pierwszy.

Od części przedsiębiorców słyszę: płacę pracownikom, to mam prawo wymagać. A także: „sorry Winnetou”, ale żeby przebić konkurencję, muszę ciąć koszty, a koszty pracy są dla mnie największym obciążeniem.

W organizacji, która ma tylko jeden, pierwszy porządek, właściciel – menedżer faktycznie mówi: skoro kupiłem pracę tych ludzi, to mam prawo nie przejmować się niczym innym niż wydajność ich pracy. Nie obchodzi mnie, co to za ludzie, jakie mają problemy, nie zawracam sobie głowy ich zdrowiem – ani fizycznym, ani psychicznym. Wręcz je lekceważę, eksploatując ich ponad miarę – przecież im więcej z nich wycisnę za tę samą płacę, tym większe będę miał zyski. W firmie-idei, w której w symbiozie ze sobą funkcjonują dwa porządki, dbanie o ludzi, w tym ich zdrowie, jest wartością, która wpływa na wartość firmy. Przy czym ma ono dla właściciela i menedżerów znaczenie nie tylko z przyczyn instrumentalno-funkcjonalnych, czyli dlatego, że jak pracownicy są zdrowi to są wydajniejsi i firma ma lepsze wyniki finansowe.

To jaki to ma sens?

A Pan NAPRAWDĘ pyta o sens, czy raczej znowu – „po co”? Bo „po co” jest właśnie pytaniem z pierwszego porządku, natomiast to o sens – z drugiego i odnosi się ściśle do uznawanych przez przedsiębiorcę i praktykowanych przez organizację wartości. W tym drugim organizacja uznaje, że dobrostan pracowników zapewne będzie wpływać na dobry wynik, ale nie na zasadzie „jeden do jeden” i nie natychmiast, ani nawet nie dlatego, że uważamy utrzymywanie go za dobrą inwestycję, tylko z tego fundamentalnego powodu, że ten dobrostan jest dla organizacji bardzo ważny i stanowi jedną z podstawowych zasad jej działania.

Ale dlaczego?!

Gospodarowanie polega na wytwarzaniu dóbr w postaci produktów lub usług. Wprawdzie w narracji neoliberalnej popularne jest stwierdzenie, że firma nie jest od produkcji czegokolwiek, tylko od zarabiania pieniędzy.

Bob Lutz, jeden z czołowych menedżerów General Motors, powiedział mi kiedyś, że tę legendarną firmę do bankructwa doprowadzili finansiści, którzy w pewnym momencie przejęli nad nią kontrolę: kompletnie nie interesowało ich, jakie GM produkuje samochody ani nawet czy je produkuje.

No, właśnie. Na przeciwnym biegunie mamy inne podejście, w którym kluczowe wydaje się być pytanie: „czemu służy to, co wytwarzam”. I nie dotyczy ono tego, czy mój samochód jest ładniejszy albo technicznie lepszy od aut konkurencji, tylko na ile ten samochód wraz z całym sposobem jego wytwarzania przyczynia się do podnoszenia poziomu i jakości życia ludzi. I tu jest subtelna, ale bardzo istotna różnica, między organizacjami traktującymi podstawowe wartości instrumentalnie, a tymi, które te wartości uznają i je świadomie wytwarzają. Pierwsze mają – można rzec – instynkt samozachowawczy i dbają o pewne kwestie etyczne, ludzkie, środowiskowe tylko dlatego, że z doświadczenia innych wiedzą, iż z powodu lekceważenia i nieuwzględniania tych kwestii w praktyce organizacje kończą źle, wyczerpują swoje zdolności adaptacyjne i rozwojowe. Drugie robią wszystko za sprawą głębszego namysłu nad światem, w tym sensem i celem działalności gospodarczej.

Te drugie organizacje wiedzą, że gospodarowanie w duchu Welcha czy *Greed is good* („Chciwość jest dobra”) Gordona Gekko z głośnego *Wall Street* Oliviera Stone’a ma swoje długofalowe – zwykle fatalne – konsekwencje.

Takie organizacje unicestwiają nie tylko siebie, ale też całe swoje otoczenie – fizycznie i mentalnie. Można wręcz powiedzieć, że

niszczą podstawy gospodarowania. Jeśli liczy się tylko zysk, to nie przejmuje się ani dobrostanem załogi, ani kondycją dostawców i kontrahentów, ani stanem środowiska naturalnego. *Greed is good* prowadzi wprost do rabunkowej gospodarki.

Ale Europejski Zielony Ład, który ma chronić klimat i środowisko, prowadzi do podkopania konkurencyjności przedsiębiorców w UE – taka jest wściekle popularna narracja. Jak przedsiębiorca próbujący stworzyć firmę-ideę ma sobie radzić z inwazją współczesnych Hunów, z fanami Welcha i Gekko? Czy to nie jest tak, że Hun zawsze wygra, atakując cywilizację opartą na wartościach i zasadach, bo nie inwestuje ani grama swoich zasobów w tworzenie zasad, tylko stawia na siłę?

Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chodzi nam o to, żeby pewne organizacje i zespoły ludzkie działające na dotychczasowych zasadach były w stanie utrzymać swoją działalność gospodarczą, czy też o to, żebyśmy potrafili przezwyciężyć narastający kryzys gospodarki rynkowej, objawiający się w tak fundamentalnych obszarach, jak środowisko, w którym wszyscy żyjemy, czy może o rozwarstwienie dochodów grożące rewolucją. Jeśli tak na to popatrzymy, to odpowiedź wydaje się względnie prosta.

Czyli?

Jeśli uznajemy za sens i cel naszego działania podnoszenie poziomu i jakości życia, to musimy dążyć do zmiany dotychczasowego modelu gospodarczego. Oczywiście to nie jest tak, że myślenie wywołujące się z pierwszego porządku – organizacyjno-funkcjonalnego – nie liczy się. Ono jest ważne, niezbędne w działalności gospodarczej. Jeśli uznamy inaczej, wszystkie organizacje upadną, zbankrutują. Musimy więc znaleźć środki doraźne, by tak się nie stało. Ale jednocześnie te doraźne działania nie mogą oznaczać rezygnacji z dążenia do zmiany modelu.

Na przykład z ambitnych celów Zielonego Ładu?

Ale dlaczego one są ambitne? Bo to wynika z naukowej diagnozy – albo my pewne rzeczy zrealizujemy, albo dopadnie nas kryzys, jakiego nie było w dziejach. Znajdowanie doraźnych rozwiązań podtrzymujących byt pewnych istotnych dotąd organizacji nie zwalnia nas z szukania odpowiedzi na fundamentalne pytanie: w jaki sposób prowadzić działalność gospodarczą, żeby nie zanieczyszczać powietrza, nie marnować i nie zatruwać wody, tak aby podnosić kompetencje ludzi, a nie je obniżać...

Znajdowanie doraźnych rozwiązań podtrzymujących byt pewnych istotnych dotąd organizacji nie zwalnia nas z szukania odpowiedzi na fundamentalne pytanie (...)

Za życia moich dziadków czymś normalnym było zatrudnianie w fabrykach małych dzieci. W rolnictwie kilkulatkowie pracowali jeszcze całkiem niedawno. Wylewanie nieoczyszczonych ścieków do rzek i trucie całej okolicy chemikaliami wydobywającymi się z kominów i instalacji było nagminne w latach 80. XX wieku. Dziś coś takiego większości z nas nie mieści się w głowie. Ale czy to się zmieniło pod wpływem oddolnych działań czy raczej regulacji i kar? Co naprawdę dynamizuje postęp cywilizacyjny? Czy nie jest tak, że najpierw są idee wąskiej grupy, potem regulacje, następnie one muszą się uleżeć i dopiero po wielu latach następuje przemiana w głowach i sercach ludzi?

Regulacje są fundamentem naszej cywilizacji. Gospodarka rynkowa w jakimkolwiek swoim modelu nie mogłaby się rozwinąć bez różnego rodzaju ograniczeń tworzonych przez państwo. Te zabezpieczenia były inne w poszczególnych epokach, ale zawsze sprostawały się do gwarantowania przez państwo określonych reguł. W gospodarce rynkowej, pieniężnej centralnym problemem jest to, że pieniądź musi być gwarantowany przez państwo. Bez takiej gwarancji nie ma zaufania do pieniądza i gospodarka rynkowa nie może się rozwinąć. Jeśli władca nie stał na straży pieniądza, pieniądź się psuł i gospodarka upadała. Na banknocie dolarowym są dwa napisy: *United States of America* i *In God we trust*.

I co nam one mówią?

Pierwszy – że za siłą nabywczą tego dolara stoi państwo, w praktyce jest to rezerwa federalna, czyli silnie umocowana państwowa instytucja. Drugi napis to jasna deklaracja, że użytkownik tego banknotu ma do czynienia z ludźmi, którzy generalnie nie oszukują. Oczywiście, każdy zdaje sobie sprawę, że może trafić na oszusta i się odpowiednio zabezpiecza, ale w swej istocie gospodarka rynkowa opiera się na indywidualnym zaufaniu, cnocie uczciwości. Mamy tu więc związane w jedno dwie sfery, które ściśle się przenikają, istnieją w pewnej symbiozie i są potrzebne wspólnie, żeby gospodarka rynkowa dobrze funkcjonowała. Pierwsza osadzona jest w regulacjach, druga w wartościach uznawanych przez jednostki i zbiorowości.

Regulacje pomagają zwalczać i powstrzymywać ekspansję Hunów?

Zawsze będzie istniała pokusa oszukiwania, chodzenia na skróty. Jestem mniej innowacyjny, to zatrudnię ludzi na czarno albo dzieci, albo nie będę płacił pracownikom, sięgnę po pracę niewolniczą, handel ludźmi... To jest – koniec końców – mało rozwojowy model aktywności gospodarczej, ale daje przewagę w danym momencie i niszczy uczciwą konkurencję, więc regulacje są potrzebne, żeby takie zjawiska zwalczać. Ale w całej tej układance, jaką jest gospodarka rynkowa, olbrzymią rolę, porównywalną do regulacji, odgrywa nasze myślenie. Idea Nowego Ładu i państwa opiekuńczego wzięła się nie tylko z odruchowej reakcji na niszczyielską wszechwładzę monopoli, ale też, a może przede wszystkim, z szerszej refleksji na temat etycznego wymiaru działalności gospodarczej oraz sensu i celu istnienia zbiorowości. Twórcom New Deal nie chodziło wyłącznie o to, że zatrudnianie nieletnich czy niewolników podkopuje uczciwą konkurencję i osłabia innowacyjność, ale także lub głównie o to, że jest to z gruntu złe.

Historia postępu cywilizacyjnego przypomina trochę *Ministerstwo Głupich Kroków* Monty Pythona – trzy kroki naprzód, jeden lub dwa wstecz. I tak w kółko...

Nie twierdzą, że nie doświadczamy regresów. W tej chwili wojna w Ukrainie powoduje, że zawracamy w niektórych obszarach, także w tych, w których poczyniliśmy pewne wspólne globalne ustalenia w zakresie humanitarnego prowadzenia wojny. Z rzeczy, które przyjęliśmy przez konwencję, uznając za cywilizowane, wycofujemy się – tłumacząc to wyższą koniecznością. Równocześnie większość z nas marzy o zachowaniu warunków do pokojowego rozwoju. Wiele, jeśli nie większość regulacji Unii Europejskiej, bierze się właśnie z tego marzenia i oczekiwania.

Moja babcia mawiała w takich chwilach: „Cyryl, jak Cyryl, ale te metody!”. Taki Mario Draghi się z nią zgadza, bo – nie podważając sensu i celów unijnych regulacji – bezlitośnie obnaża fatalny sposób ich wprowadzania i promowania. Czyli cel może być szczytny, ale metody jego realizacji takie, że skutki będą opłakane...

Dobrym przykładem są regulacje związane z raportowaniem ESG. Generalnie wiele organizacji objętych nowym obowiązkiem podeszło do niego w dobrej wierze, z dużym zasobem dobrej woli. Ale większość biznesu postrzega wszystko, co wiąże się procesem raportowania jako wielce zbiurokratyzowane i trudne, a więc stanowiące potencjalną barierę w rozwoju działalności gospodarczej. Nagminne stało się więc wynajmowanie wyspecjalizowanych zewnętrznych firm, które – mówiąc kolokwialnie – ogarną „temat ESG” bez angażowania zasobów danej organizacji. Czyli zaraportują, co trzeba – i będzie można to odhaczyć. A przecież w całej idei ESG w ogóle nie o to chodzi.

To o co?

Fundamentem jest właśnie zaangażowanie całej organizacji, raportowanie miało być swego rodzaju narzędziem służącym przemianie modelu funkcjonowania firm i ostatecznie całych gospodarek. To doświadczenie pokazuje, że – owszem – regulacje są ważne, związane z nimi sankcje mające nakłaniać organizacje do takich, a nie innych, działań też są ważne. Jednak równie istotne,

jeśli nie istotniejsze jest to, czy ludzie uważają te wszystkie działania za słuszne.

Czyli na końcu nie chodzi o to, że grożą nam sankcje za niezrealizowanie jakichś zapisów, których sensu nikt w firmie nie rozumie, tylko o to, że zastosowanie danej regulacji dobrze przysłuży się nam i otoczeniu.

(...) w ekonomii wartości potrzebujemy nie tylko ogólnych regulacji, ale też realnej oddolnej woli w przedsiębiorstwach i lokalnych społecznościach (...)

Dokładnie tak. Kluczowe jest dostarczenie dowodów i wytworzenie w ludziach przekonania, że dzięki temu będzie im lepiej. Możemy pewne rzeczy skorygować, ale kierunek jest słuszny i my w tym kierunku

wspólnie podążamy, widząc w tym głębszy sens. W ekonomii wartości potrzebujemy nie tylko ogólnych regulacji, ale też realnej oddolnej woli w przedsiębiorstwach i lokalnych społecznościach.

Dlaczego lokalne społeczności są ważne?

Ponieważ na poziomie lokalnym łatwiej się ludziom spotkać, porozmawiać, porozumieć, utkać konkretne materie z nici empatii. Łatwiej też dostrzec pozytywne oddziaływanie ekonomii wartości w relatywnie krótkim czasie. Dlatego tak ważne jest podtrzymywanie i rozwijanie wszelkich form organizacji życia lokalnego. To sprzyja więziom obywatelskim i relacjom międzyludzkim. Bez nich możemy mieć najlepsze i najsłuszniejsze regulacje, ale nigdy nie będą działać tak, jak to założyliśmy. Jeśli nie będzie płaszczyzn, na których mogą się wytwarzać oddolne przekonania i oddolne zapotrzebowania na dobre gospodarowanie, niczego faktycznie nie zdziałamy.

Bardzo ciekawe, jak bardzo to, co pan tu mówi, znajduje odzwierciedlenie w praktyce. Od kilku lat mam przyjemność prowadzić wydarzenia z cyklu Innowacyjna Małopolska. To są takie kompaktowe konferencje w terenie, realizowane na terenie

różnych bardzo ciekawych firm, które na koniec zwiedzamy. W trakcie tych spotkań okazało się np., że wszyscy ci przedsiębiorcy de facto realizują idee, które legły u podstaw unijnych regulacji w obszarze ESG, tylko nikt im tego nie wyjaśnił. Ba, gościliśmy w dużym przedsiębiorstwie rolnym, założonym przed laty przez rolnika, a kierowanym od kilkunastu lat przez informatyka i filozofa, które mogłoby być ikoną Europejskiego Zielonego Ładu: dzięki wykorzystaniu topowych technologii, w tym AI przetwarzającej dane z sieci satelitów i stacji meteo, prowadzi superinnowacyjne zrównoważone uprawy bez użycia pestycydów, z bardzo racjonalnym zużyciem nawozów, z wzorcowym gospodarowaniem wodą, ma przy tym fenomenalnie obfite zbiory pysznych owoców – i to takich, które można jeść prosto z krzaczka. Do tego pracuje intensywnie z krakowskimi uczelniami nad zrobotyzowaniem zbiorów.

Wracamy tu do podstawowego pytania o sens gospodarowania. Ono jest pytaniem z całkiem innego porządku niż to dotyczące korzyści czy metod dochodzenia do określonych wyników finansowych. Jestem przekonany, że refleksja opisanego przez pana przedsiębiorcy, zapewne nieprzypadkowo absolwenta filozofii, nie polegała na tym, że „OK, biurokraci z Unii Europejskiej wprowadzili takie regulacje, więc nie mam wyjścia i muszę robić, jak kazali, bo inaczej zapłacę kary”. Tu nie było na wstępie prostej kalkulacji: opłaca się czy się nie opłaca, a jak się nie opłaca, to czy naciągać, czy nie naciągać. Tu nie ma banalnego „Polak potrafi”, więc i tym razem sobie poradzi korzystając z przepastnego dorobku polskiej kultury improwizacji i adaptacji. Jego firma, w całkiem innym modelu niż odziedziczony po ojcu, zrodziła się w całkiem innej kulturze myślenia o gospodarowaniu. Odnosi sukcesy, bo jest spójna w tym, co robi.

Polscy przedsiębiorcy rzadko są tak spójni?

Tego bym nie powiedział, ale musimy pamiętać, że za hasłem „Polak potrafi” kryje się także założenie, że jakby co, to każdy przepis

potrafimy ominąć. Dziejowe doświadczenia nauczyły nas sztuki kombinowania – na dobre i na złe. Elastyczność i zdolność szybkiej adaptacji są dobre. Spryt pomaga w przedsiębiorczości. Ale jednocześnie, zwłaszcza opacznie rozumiany, obniża poziom wzajemnego zaufania między ludźmi, ponieważ wszyscy mają świadomość, że każdy lawiruje, naciąga lub może naciągać. Im niższy poziom zaufania, tym trudniej osiągać bardziej złożone i długofalowe cele wymagające wspólnego zaangażowania.

Mimo to w wielu firmach pojawia się i powraca pytanie o sens.

Spotykam przedsiębiorców potrafiących pytać samych siebie nie o to, czy coś mi się opłaca, ale o to, czego właściwie dokonuję poprzez swoją działalność gospodarczą, co daję ludziom i otoczeniu, czemu i komu to służy i co chcę po sobie pozostawić – nie tylko najbliższemu, ale po prostu światu. Pytanie o sens jest także, a może przede wszystkim, pytaniem o to, co jest dla danego przedsiębiorcy najważniejsze. I to jest pytanie etyczne. W pytaniu o sens staramy się rozstrzygać dylemat, co jest dobre, a co złe, a nie – co jest lub może być najlepszym źródłem zarobku. To wcale nie oznacza, że przedsiębiorca może zrezygnować z pytań o zysk. On musi je stale stawiać i skutecznie na nie odpowiadać, aby funkcjonować na rynku, to oczywiste. Ale odpowiadając na nie przedsiębiorca może działać etycznie, bo to jest dobre, a nie tylko bezpośrednio korzystne.

A co z pracownikami tego przedsiębiorcy? Czy oni też powinni sobie zadawać pytania o sens tego, co robią, czy też po prostu wykonywać swoje zadania najlepiej jak potrafią i... fajrant. Jak wychodzę z roboty, to z niej wychodzę całym sobą. Jak jest weekend, to nie myślę o pracy. W firmie-idei może to tak działać czy jednak musi inaczej?

Mamy dziś na fali takie pojęcia, jak wellbeing i work-life balance. To drugie niektórzy rozumieją właśnie tak, jak pan to opisał: jest praca i jest życie prywatne, osobiste, zawodowe i my te sfery

całkowicie oddzielamy. Przy czym samo oddzielenie nie jest tu naj-istotniejsze, lecz to, że część ludzi sens swego istnienia sytuuje poza pracą. Tymczasem, w mojej opinii, nie na tym polega zdrowa równowaga między pracą a życiem osobistym.

To na czym?

W firmie-idei bardzo ważne jest współdzielenie poczucia sensu tego, co robi ta firma przez przedsiębiorcę i jego pracowników.

W takim bardzo bliskim mi ujęciu nasza praca, nasza aktywność, nasza działalność, nasze zaangażowanie jest istotnym elementem budowania sensu naszego życia i naszego istnienia. Przy czym to nie jest tak, że czytam codziennie jakiś katalog i znajduję w nim odpowiedzi na pytanie, co mam robić i jak postępować. To jest raczej refleksja, która się we mnie rozwija i ugruntowuje poprzez relacje z innymi – budowana w poczuciu odpowiedzialności za różne rzeczy nie dlatego, że ktoś mi kazał, ale z tego powodu, że na tym mi zależy, że to powinność.

W firmie-idei bardzo ważne jest współdzielenie poczucia sensu tego, co robi ta firma przez przedsiębiorcę i jego pracowników.

To pięknie brzmi, ale wystąpię teraz w roli adwokata diabła, czyli przedsiębiorcy, który ma wartości inne niż zysk – ogólnie mówiąc – w głębokim poważaniu i konkuruje na rynku z moim przyjacielem, który 25 proc. swoich zysków przeznaczają na fundację krzewiącą empatię i wiedzę ekonomiczną, czyli od lat z własnych zysków buduje tę naszą pożądaną tkankę społeczną. Ten „diabeł” z założenia nie inwestuje nic, a teraz równowartość tych 25 proc. zysków postanowił przeznaczyć na rekrutowanie – czytaj: przekupywanie – pracowników mojego kolegi tworzącego z przekonaniem firmę-ideę i przejmowanie przy ich pomocy coraz większej części rynku. I co?

Powtórzę: przedsiębiorca nie może odrzucić organizacyjno-funkcjonalnej, sprawnościowej sfery funkcjonowania swojej

firmy. On ją wkomponowuje w drugi porządek – wartości. Jeśli organizacja wie, czemu ma służyć, co jest treścią jej istnienia, to znajduje odpowiedzi w tym drugim porządku. To pozwala dokonywać wyborów: pewnerzeczymożemyzrobić, apewnychniezrobimy – bo nie wypada, nie wolno, nie należy. Bo to nie pasuje do nas, bo jesteśmy inni.

Jednak biznes i w ogóle życie polega na tym, że na wiele kwestii nie mamy gotowych odpowiedzi.

To prawda, musimy je dopiero odnaleźć. Szukamy więc tej odpowiedzi, która będzie najbardziej wartościowa – pamiętając, że ona musi być skuteczna. Tu niezwykle ważna jest umiejętność kojarzenia wielu elementów z różnych porządków. Fundamentem dokonywania tych wyborów jest kojarzenie rzeczy pochodzących z trochę innych porządków. Mamy porządek związany z zasobami naturalnymi, z wodą, z powietrzem, z gruntem, z żywnością. Każdy, dokonując wyborów, powinien być świadomy, że nie da się tego porządku oddzielić od innych. Istnieją pewne punkty krytyczne, w których kilka lub więcej ważnych rzeczy się zbiega. Na przykład woda zbiega się ze stanem zanieczyszczenia środowiska. Mówiąc najprościej, chodzi zatem o to, by dostrzegać współzależność między różnymi rodzajami zasobów. Dotyczy to także przedsiębiorczości.

W jaki sposób dostrzegać?

Prowadząc działalność gospodarczą należy poszukać współzależności dla różnego rodzaju dostępnych zasobów. Przedsiębiorca-innowator potrafi w nowy sposób zastosować dostępne czynniki wytwórcze. Wspomniany przez pana wcześniej przedsiębiorca-rolnik działa w duchu Zielonego Ładu nie dlatego, że potrafi odklepać formułki tego programu, lecz dlatego, że w sposób twórczy odpowiedział na kluczowe pytania dotyczące naszych ograniczonych zasobów: jak zużywać mniej wody, jak minimalizować zużycie czynników mających wpływ na zanieczyszczenie rzek i gleby, jak sprawić, by nie eksploatować zasobów ponad miarę i mieć długookresowo, a nie tylko w krótkim okresie, wysokie plony.

Takie myślenie wydaje się dziś kluczowe.

Nie dotyczy ono tylko zysków i innych korzyści przedsiębiorcy, ale i jego odpowiedzialności – za ludzi, za otoczenie, za naszą wspólną przyszłość. Przy czym takie myślenie ma to do siebie, że krąg odpowiedzialności poszerza się: przedsiębiorca włącza w swój obszar funkcjonowania kolejnych ludzi dysponujących czynnikami, które są mu niezbędne do działania, musi się z nimi dogadywać, czyli budować jakiś rodzaj partnerstwa. Ciekawe i ważne jest przy tym, że o ile w pierwszym porządku, sprawnościowym, może istnieć czytelna hierarchia podziału zadań – podział pracy jest przecież konieczny – to w tym drugim, sensotwórczym, każdy może czuć się współtwórcą. Wtedy praca przestaje być przeciwieństwem „prawdziwego życia”. Gospodarka chciwości wszystkich nas przekształca w ogłupiałych konsumentów bez poczucia sensu i celu, a ekonomia wartości czyni z nas wszystkich odpowiedzialnymi współtwórcami. To jest zasadnicza różnica. W koncepcji firmy-idei zupełnie inaczej postrzegamy osobę ludzką, pracownika oraz pracę. Każdy wie, że realizując to, co jest dla niego najważniejsze, nie ma prawa postępować tak, że inni są pozbawiani możliwości rozwoju albo stają się po prostu wyłącznymi trybikami w jego maszynie.

Gospodarka chciwości
wszystkich nas prze-
kształca w ogłupiałych
konsumentów bez po-
czucia sensu i celu (...)

W dorosłość wchodzi kolejne pokolenie, w których jest obecne myślenie zgodne z koncepcją ekonomii wartości, ale są one jednocześnie mocno niespójne. Rozjeżdżają się poglądy zwłaszcza między młodymi mężczyznami a młodymi kobietami – ich podejście do wartości staje się radykalnie różne. A przynajmniej wśród tych najbardziej widocznych i głośnych części młodego pokolenia: młodzi mężczyźni radykalizują się pravicowo i chłoną przekaz Welcha – Trumpa – Gekko, co ma lub może mieć konsekwencje w budowaniu takich, a nie innych firm i takiej, a nie innej ekonomii-bez-wartości, a młode kobiety radykalizują się lewicowo – co teoretycznie sprzyja budowaniu kolejnych firm-idei i upowszechnianiu oraz wzmocnieniu idei ekonomii wartości.

Zacznę od tego, że w minionych epokach zmiany pokoleniowe były często zmianami kulturowymi. Pokolenie lat 60. XX wieku istotnie różniło się od pokoleń wojennych i tuż powojennych. Dziś widzimy, że ten proces zmian kulturowych, ze względu na tempo rewolucji technologicznej i globalizację, gwałtownie przyspieszył. W niedawnym jeszcze modelu charakterystyczne było współzycie trzech pokoleń – w gospodarstwie domowym, w firmach i instytucjach. Każde z tych pokoleń miało cechy odrębnych kultur. Dziś żyjemy w świecie, kiedy w organizacjach współistnieje ze sobą pięć pokoleń. Czyli to już nie są trzy tradycyjne pokolenia: dziadkowie, rodzice, dzieci, tylko zmieniające się mniej więcej co siedem lat pokolenia przynależące do nieco innej kultury wyrosłej na pniu nowej technologii. Sam jestem częścią kultury pisma, która – w mej opinii – właśnie zanika. Jej miejsce zajmuje kultura wizualizacji.

Co z tego wynika dla organizacji?

To, że w tak wielopokoleniowych i multikulturowych strukturach jedynym rozsądnym sposobem skutecznego funkcjonowania nie jest budowanie i umacnianie hierarchii, lecz tworzenie procesów wzajemnego uczenia się od siebie. Jeśli organizacja nie wytworzy takich procesów, to nie uda jej się wkomponować w swe struktury i swoją misję energii kolejnych pokoleń. Chodzi tu przy tym o procesy zachodzące zarówno w wymiarze czysto praktycznym, jak i w sferze idei.

A czy takie procesy nie powinny być inicjowane wcześniej? W szkołach, na uniwersytetach?

Jasne, że powinny. Jeśli organizacja nie potrafi funkcjonować jako wspólnota przechodząca ewolucyjne zmiany technologiczne i kulturowo-organizacyjne, to naraża się na wielkie zakłócenia, turbulencje i traci jednocześnie swoją sprawność i swoją ideę. Często opowiadam o swoim doświadczeniu akademickim. W połowie mej kariery, kiedy już niemalże miałem nadany tytuł profesorski, ale procedura trwała, a ja zacząłem tworzyć nowy kierunek studiów

– gospodarka i administracja publiczna – oraz całe moje środowisko akademickie od zera. Przyjmowałem pierwszych ludzi, jak Stanisław Mazur, późniejszy rektor UE, a dziś wiceprezydent Krakowa, młodszy ode mnie o pokolenie, właśnie w duchu tej wspólnoty, o której tu od początku rozmawiamy. Tłumaczyłem wszystkim, że uczelnia jest kopalnią diamentów, a my jesteśmy od tego, żeby te diamenty odnaleźć, wydobyć i oszlifować. Podkreślałem, że nie studenci są dla nas, tylko my jesteśmy dla studentów: kształcimy ich, formujemy ze świadomością, że kiedyś nasze życie będzie zależało od nich. Proszę zauważyć, że dopiero z takiej szerszej refleksji na temat tego, kto komu i czemu służy, wyłania się właściwy porządek sprawnościowy. Dla mnie istotą było przysposabianie nowych ludzi, dbałość o ich rozwój, o dobre samopoczucie, dbałość bardzo różnymi sposobami.

Na przykład?

Musiałbym szczegółowo opowiadać. Wspomnę tylko, że kiedy zaczynałem ten proces w latach dziewięćdziesiątych i na początku XXI wieku, 40 proc. naszych absolwentów nie miało pracy. Nasz model kształcenia był taki, że ja ich wszystkich osobiście znałem. Tworzyliśmy wspólnotę, bardzo dużo ze sobą przebywaliśmy, często rozmawialiśmy, nie tylko na sali wykładowej. I nie polegało to na tym, że załatwiliśmy jakieś sprawy, tylko że byliśmy razem i po prostu prowadziliśmy swobodne rozmowy. Uważałem wtedy za swój obowiązek, swoją naturalną powinność, żeby codziennie dzwonić do różnych pracodawców i mówić im: słuchajcie, wiem, jak kształcimy, naprawdę mamy świetnych absolwentów, zrobicie dobrze, jeśli się z nimi przynajmniej spotkacie, dacie im szansę. Dawałem gwarancję osobistą.

Co daje taka wspólnota?

Pan wie, że nie chodzi tu tylko o tę praktyczną stronę, jaką jest znalezienie komuś źródła utrzymania. Proces szlifowania diamentów jest w istocie procesem kształtowania perspektywy widzenia świata.

I to nie jest oddziaływanie jednokierunkowe. Starając się być jak najczęściej ze studentami, sam w naturalny sposób się rozwijałem, przyjmowałem ich punkt widzenia i ich sposób postrzegania i wyrażania świata. Wypytywaliśmy się nawzajem o różne kwestie, próbując zrozumieć siebie nawzajem. Czas poświęcony na zrozumienie drugiego nigdy nie jest czasem zmarnowanym. To wszystko miało istotne znaczenie, tak budowałem relacje ze swoimi studentami, asystentami, a później adiunktami, a jeszcze później samodzielnymi pracownikami naukowymi. To – w dosłownym sensie – buduje środowisko. I tu wracam do organizacji: ona powinna być oparta na takiej wspólnocie, w której wszyscy próbują się zrozumieć i wzajemnie się od siebie uczyć. To jedyna droga. Każda inna będzie drogą odtwórczą, niesamodzielną.

Możemy stworzyć warunki, żeby rozwijali kompetencje i cechy niekoniecznie ściśle związane z daną dziedziną wiedzy (...)

A co z tym prawniczym odjazdem lub odlotem młodych mężczyzn?

Nie znajdzie pan go w środowisku partnerskim, empatycznym, otwartym – w którym kryteria sprawnościowe, wydajnościowe spotykają się i symbiotycznie przenikają ze sferą wartości. Studenci mają swoje zobowiązania: muszą zaliczyć przedmioty, zdać egzaminy itd. My za nich studiować nie możemy. Możemy natomiast stworzyć warunki, żeby oni nie tylko studiowali jak najlepiej, ale też rozwijali kompetencje i cechy niekoniecznie ściśle związane z daną dziedziną wiedzy, wąsko rozumianym kierunkiem kształcenia.

Na przykład?

Najważniejsza jest wyobraźnia. Ważny jest rozwój sfery emocjonalnej. Bez emocji i intelektu nie ma wyobraźni, a bez wyobraźni nie ma odpowiedzialności. Można być bardzo inteligentnym głupcem. Człowiekowi bez wyobraźni, pozbawionemu umiejętności kojarzenia treści pochodzących z różnych porządków, rzeczy złożone i skomplikowane mogą się wydawać śmiesznie proste. On będzie w związku z tym proponował działania prostackie. Może ci

młodzi mężczyźni, o których pan wspomina, upraszczają świat, bo szukają prostych recept? A szukają tych recept, ponieważ nigdy nie funkcjonowali w środowisku, w którym, żeby rozwiązać problem, trzeba było umieć rozmawiać z innymi ludźmi i wzajemnie się z nimi po partnersku porozumiewać. A nie tylko tworzyć silną gromadę.

Może ci młodzi mężczyźni (...) upraszczają świat, bo szukają prostych recept?

Byli zawsze traktowani instrumentalnie, więc teraz też wszystko traktują instrumentalnie?

To może być jedna z przyczyn. Nie można sprowadzać relacji z innymi do sfery instrumentalnej, czyli do gry kosztów i korzyści. Dlatego bardzo ważne jest to, żeby studenci mieli tak zorganizowany proces kształcenia akademickiego, by kluczową rolę w nim odgrywała realna współpraca z innymi przy rozwiązywaniu różnych problemów. Ludzie powinni rozwijać umiejętność rozmawiania z innymi – choćby po to, by się przekonać, że nie ma prostych odpowiedzi, że bywają takie, w których ja mam część racji, a inni mają inną część.

I nie istnieje racja „najmojsza” ...

Nie istnieje. Do tego potrzebne jest partnerskie podejście w realizacji wspólnego przedsięwzięcia. Nie wymuszone! Najlepiej, jeśli chcemy coś wspólnie robić, podoba nam się to i nas angażuje, jesteśmy z tego dumni, że coś osiągnęliśmy. Tworzenie tego typu sytuacji – okazji do współpracy i rozmowy, budowanie wielopokoleniowych i wielokulturowych zespołów projektowych w organizacji gospodarczej, jak i społecznej, jest bezcenne. Stawianie sobie ambitnego celu, ale nie rozliczanie siebie z natychmiastowego wyniku, tylko właśnie ze zdolności do rozwoju i przekazywanie tego myślenia dalej tworzy wartości, które mogą uchodzić za mało przydatne lub wręcz nieprzydatne w danym momencie funkcjonowania organizacji, ale okażą się najważniejsze w chwili kryzysów i zawirowań.

Marka-kultura, czyli marketing wartości

Opowieść czwarta:

o tym, że jeśli nie ma dobra, to wszystkie dobra,
które wytworzymy, nie będą służyć ludziom
i poprawie jakości ich życia, tylko
obrócą się przeciwko nam



- *Seks w wielkim mieście vs No-logo*
- „Nie wystarczy postawić słuszną diagnozę i mieć rację”
(Mateusz Zmyślony)
- Marketing Dobra vs Marketing Zła. Otwieranie oczu
zamiast mydlenia oczu
- Gra pozorów: greenwashing, brainwashing... vs szczerłość
- „Moralny deficyt” – Joseph Stiglitz punktuje chciwych finansistów
- Dlaczego kupujemy droższe jaja z wolnego wybiegu
- Świadomy konsument spotyka świadomego producenta
- Jestem nie tylko od wytwarzania dóbr, ale też od wytwarzania dobra
- Morderczy spór profesorów: czy zamożność sprzyja
ekonomii wartości
- Dwie role: współtwórcy i świadomego obywatela

Na przełomie wieków rekordy popularności w całym świecie zachodnim, w tym mocno zamerykanizowanej Polsce, rekordy popularności bił serial *Seks w wielkim mieście* – swoisty manifest kultury indywidualnego rozwoju, można rzec egoizmu oraz konsumpcji, w której znane marki nie służą do nazywania produktów tylko do kształtowania i symbolizowania określonego stylu życia i nadawania ludziom statusu społecznego. W tym samym czasie ukazała się głośna książka Naomi Klein *No logo*, nazywana często „biblią alterglobalistów”, a opisująca negatywne skutki zorientowanej na markę działalności korporacyjnej i postulująca tworzenie ruchów opozycyjnych wobec działań globalnych korporacji. Doszło więc do klasycznego zderzenia światów zarówno idei, w tym wizji marki jako nośnika stylu lepszego życia, jak i wizji odrzucenia marki – narkotyku mającego nas uzależnić od tyleż nieokiełznanej, co bezsensownej konsumpcji. A tu kilkanaście lat później na trzecim OEES pojawia się jeszcze jedna wielka wizja: marka-kultura. Skąd się wzięła i jak się ma do tych dwóch wspomnianych wcześniej?

Marketing ma generalnie nienajlepszą reputację, często kojarzy się z działaniami mającymi na celu uzależnienie ludzi od jakiegoś towaru czy usługi albo wręcz – jak w krytycznej narracji Naomi Klein – od określonego stylu życia, cechującego się rozbuhanym konsumpcjonizmem i czysto egoistycznym dążeniem

do zaspokajania własnych pragnień. Krytycy marketingu widzą w nim narzędzie niebezpiecznie perswazyjne, urabiające serca i umysły, zatruwające dusze, w sposób wyrachowany wyzwalające pragnienie posiadania czegoś. Ale to, że marketing właśnie tak

Krytycy marketingu widzą w nim narzędzie niebezpiecznie perswazyjne, urabiające serca i umysły, zatruwające dusze, w sposób wyrachowany wyzwalające pragnienie posiadania czegoś. Ale to, że marketing właśnie tak czasem funkcjonuje, wcale nie oznacza, że on musi tak wyglądać.

czasem funkcjonuje, wcale nie oznacza, że on musi tak wyglądać. Każdy z nas potrafi przecież wskazać działania o charakterze marketingowym, promocyjnym czy reklamowym, co do których trudno mieć jakieś zastrzeżenia.

A od czego to zależy?

Oczywiście – od treści. A te z kolei biorą się z zamierzenia, celu, jaki ten marketingowiec ma zrealizować. Można sformułować treść, która jest wprawdzie perswazyjna, ale nie wprowadza w błąd, nie oszukuje, nie uzależnia, a jedynie stwarza możliwość

konsumentowi, potencjalnemu nabywcy, poznania danego towaru czy usługi. Świat nie jest czarno-biały, nie ma wcale manichejskiej natury, a marketing nie sytuuje się po stronie Samego Zła. Mocno polecam w tym obszarze świetną pracę Anny Gizy (*Uczeń czarnoksiężnika, czyli społeczna historia marketingu*), którą miałem przyjemność recenzować. Autorka pokazuje w bardzo szerokim ujęciu ewolucję marketingu i konsekwencje tej ewolucji dla firm, gospodarki rynkowej oraz ekonomii. Mocno eksponuje przy tym negatywną stronę marketingu.

Opisuje zjawiska i procesy generowane przez marketing, ilustrując je odpowiednimi, obrazowymi przykładami. Z tego opisu jasno wynika, że w marketingu może tkwić zarówno dobra, jak i zła moc...

Dokładnie tak – i obie te moce przenikają się w naszym świecie i w nas samych. Podobnie widzi to Mateusz Zmyślony, który

współtworzył ze mną ideę ekonomii wartości i ruchu OEES, a zawodowo jest dyrektorem kreatywnym specjalizującym się w marketingu. Marka-kultura wzięła się z naszych rozmów i przemysłów. A trzeba pamiętać, że były to rozmowy i przemyslenia ludzi należących do dwóch różnych pokoleń i wywodzących się z nieco innych światów: moja droga życiowa była głównie akademicka, po części związana z działalnością publiczną, droga Mateusza związana była z biznesem. Kiedy dyskutowaliśmy o tym, dlaczego gospodarka rynkowa wywołuje tak wiele negatywnych konsekwencji, dlaczego dominują w niej tak wąskie spojrzenia i dlaczego ma tak krótkowzroczną orientację, doszliśmy do wniosku, że rozwiązaniem może być tylko gruntowna zmiana orientacji poznawczej.

W kierunku ekonomii wartości.

Przy czym Mateusz od samego początku podkreślał, że nie wystarczy postawić słuszną diagnozę i mieć rację. Trzeba jeszcze umieć tę rację odpowiednio udostępnić, żeby ona się upowszechniła i zakorzeniła w ludziach. Uznaliśmy, że mój sposób udostępniania racji, charakterystyczny dla badaczy, ludzi pisma, ludzi książek, nie będzie przemawiał wystarczająco szeroko.

Czyli?

Mateusz na tamtym etapie uważał, że absolutnie kluczową rolę do odegrania w postulowanej przemianie ma świadomy, inteligentny, krytyczny konsument, który będzie potrafił dokonywać właściwych wyborów i stanie się obrońcą dobrego gospodarowania. Ja twierdziłem, że to nie wystarczy, ale zgodziłem się, że budzenie świadomości konsumentów jest bardzo potrzebne. Ustaliliśmy, że wszelkie działania służące temu, by konsumenci dokonywali świadomych wyborów, nie dawali sobą manipulować, odrzucali produkty i usługi firm postępujących nieuczciwie i nieetycznie, np. wykorzystujące pracę młodości, czy pracę niewolniczą, są jak najbardziej pozytywne i pożądane.

I jaki z tego wniosek?

Skoro po jednej stronie mamy tak wielu ludzi poddawanych praniu mózgu za pomocą marketingu, to my nie możemy założyć, że nie będziemy robić marketingu. Wręcz przeciwnie – jeśli chcemy dotrzeć z ideami ekonomii wartości do szerokiej rzeszy ogłupianych przez ekonomię chciwości, to musimy robić bardzo dobry marketing. Skoro tamtemu marketingowi zależy na wywołaniu uzależnienia, nakłonieniu ludzi do bezrefleksyjnej, kompulsywnej konsumpcji, to nasz marketing będzie ich uzbrajać w narzędzia krytycznej oceny i świadomego wyboru.

Taki dobry marketing tworzy całkiem inną markę.

Dotknął pan istoty: oponuję przeciwko takiemu stawianiu sprawy, że jedyną słuszną i skuteczną odpowiedzią na wykreowane w złych celach logo jest „no logo”. Marketing w naszym wydaniu nie polega na mydleniu oczu, tylko otwieraniu oczu. Na uczciwym powiedzeniu, o co nam chodzi – w taki sposób, żeby ludzie się o tym dowiedzieli i mogli to łatwo sprawdzić. W tym ujęciu budowanie marki zaczyna się od wzięcia na siebie zobowiązania,

Marketing w naszym wydaniu nie polega na mydleniu oczu, tylko otwieraniu oczu. Na uczciwym powiedzeniu, o co nam chodzi (...)

a kontynuowane jest przez dawanie świadectwa, że się to zobowiązanie faktycznie wypełnia. My to cały czas robimy, w dialogu z uczestnikami ruchu OEES, czasem pod wpływem krytycznych sygnałów – tak było np. w przypadku rezygnacji z używania plastyku, ograniczenia druku papierowych materiałów i dokumentów (zadbali-

śmy, by cyfrowe wersje były w pełni dostępne dla każdego) czy różnorodności serwowanych podczas kongresu posiłków (także dla wegetarian i wegan). Staramy się, by nasz przekaz był maksymalnie spójny z codziennymi działaniami, bo to wzmacnia wiarygodność marki OEES. Trzeba przy tym pamiętać, że to nie jest przekaz zawierający prawdy objawione, które wszyscy mają obowiązek przyjąć, bo jak nie, to do widzenia.

Wracamy do stwierdzenia, że OEES jest procesem otwartym.

To jest absolutnie fundamentalne. Nie jest tak, że zbudowaliśmy markę i teraz ją wtłaczamy ludziom do głów. My tę markę cały czas współtworzymy wraz z innymi uczestnikami ruchu ekonomii wartości. I, zgodnie z nazwą, nie jest to ruch zaślepionych, tylko ruch otwartych oczu. W związku z tym nasze działania marketingowe nie mogą polegać na budowaniu jakiejś sekty, bezrefleksyjnej grupy wyznawców. Szukamy publiczności aktywnie budującą markę OEES dzięki umiejętności krytycznego spojrzenia i otwartej, szczerzej dyskusji. Kultura nie jest obszarem blokowania wyobrażeń, tylko jej uruchamiania. To sygnał, że nie narzucamy perspektywy poznawczej, tylko ją otwieramy.

Dla jednych marka to obietnica, dla innych zobowiązanie. Ale nie brakuje i takich, którzy próbują używać marek w roli listków figowych przesłaniających niekoniecznie etyczne działania, a marketing w ich wykonaniu służy np. do brainwashingu, greenwashingu i wszelkich innych washingów.

Koniec końców za dobrą markę uznawana jest taka, za którą kryje się szczerść, która jest autentycznie, organicznie budowana. Nie chodzi o chwilową chwytliwość haseł i skuteczność odbioru tu i teraz, lecz o długofalowy efekt oparty na zaufaniu. Marka OEES jest i będzie tak długo dobra, jak długo ludzie będą ją kojarzyć z ekonomią wartości. I jak długo nasze spotkania będą przestrzenią, w której nie ogłaszamy prawd ostatecznych, tylko współtworzymy środowisko poszukujące odpowiedzi na zjawiska oraz problemy ukazywane uczciwie w całej ich skomplikowanej złożoności, tak długo pozostaniemy społecznym think tankiem – i to nas wyróżnia.

Anna Giza pisze w przedmowie do przywołanej przez pana książki, że marketing praktykowany przez przedsiębiorców, zwłaszcza przez wielkie korporacje, „w swoich działaniach zakorzenia się w skryptach poznawczych, znaczeniach kulturowych,

ale również deficytach racjonalności czy ograniczeniach samokontroli”. Biorąc pod uwagę inwestowane środki, siła jego oddziaływania jest zapewne wielokrotnie większa niż różnego rodzaju kampanii społecznych i informacyjnych zorientowanych na wzmocnienie „zbiorowego rozumu”. Opisuje też społeczności skupione wokół znanych marek niczym bożków. Siła oddziaływania jest tu potężna. To jakie szanse ma w tej konkurencji OEES. Na ile wokół marki otwartych oczu można zbudować jakiś krąg?

Mamy krąg bliższy i krąg nieco dalszy. Ten dalszy tworzą uczestnicy. Dociera do nich to, co robimy i oni na to w różny sposób reagują. Przede wszystkim uczestniczą w naszych wydarzeniach, na żywo i w przestrzeni wirtualnej. W seminariach, w grupach dyskusyjnych.

Ilu ich jest?

Trudno to skalkulować, ale uważam, że ten krąg można liczyć w dziesiątkach tysięcy uczestników, którzy wykazują różnego rodzaju aktywność, wchodzą na nasze strony, korzystają z naszych informacji.

A ten bliższy krąg?

To grupa ludzi, których nazywam współtwórcami OEES. Oni w różnym stopniu kreują nasze działania, wydarzenia, treści, które upowszechniamy. Taką aktywność przejawia grupa od kilkuset do nawet tysiąca osób czerpiących satysfakcję z tego, że mnóstwo rzeczy robią z własnej inicjatywy, w oparciu o własne pomysły, animując własne środowiska. Na tym właśnie polega ruch otwartych oczu, że łączy wiele środowisk, które mogą się czuć jego współtwórcami, przyjeżdżają z własnymi pomysłami, własnymi rozwiązaniami, własnymi przykładami. Ten bliski krąg jest dzięki temu stale poszerzany. Oczywiście, nie wolno bagatelizować tego drugiego, dalszego kręgu, czyli środowiska uczestników,

bo ono jest bardzo mocnym nośnikiem wielu idei. Oby ten krąg był jak największy.

Ale do tego niezbędne jest podtrzymywanie zainteresowania ekonomią wartości, a właściwie wytwarzanie tego zainteresowania w kolejnych pokoleniach, które – jak już ustaliliśmy – zmieniają nam się szybciej niż kiedykolwiek, bo w rytmie rewolucji technologicznych.

W otwartym procesie OEES niezwykle ważne jest stałe generowanie treści nawiązujących w twórczy i inspirujący sposób do tego, co się w świecie dzieje. My to robimy w realiach wielkich zmian, w których sztuczna inteligencja wykorzystywana jest niekoniecznie do upowszechniania wartości i promocji krytycznego myślenia, w świecie ekspansji trumpizmu, będącego – jak już mówiłem – kolejną odsłoną myślenia wolnorynkowego, w którym rządzą bogaci kasą, a ubodzy duchem...

W otwartym procesie OEES niezwykle ważne jest stałe generowanie treści nawiązujących w twórczy i inspirujący sposób do tego, co się w świecie dzieje.

W swoim raporcie o reformowaniu międzynarodowego systemu monetarnego i finansowego ekonomii w okresie przebudzenia z globalnego kryzysu finansowego noblista Joseph Stiglitz zauważył, że „dużo napisano o głupocie nieracjonalnie ryzykownych zachowań podejmowanych w sektorze finansowym, o spustoszeniach wywołanych przez instytucje finansowe w gospodarce i o deficytach fiskalnych, które są tego skutkiem. Za mało napisano zaś o leżącym u podstaw tego wszystkiego deficycie moralnym, który wyszedł na jaw, a jest może większy i trudniejszy do skorygowania. Nieustanna pogoń za zyskami i wynoszenie na piedestał dążenia do realizacji własnego interesu nie stworzyły prosperity, na którą mieliśmy nadzieję, ale pomogły stworzyć moralny deficyt”. Z drugiej strony mamy w Polsce, w Europie, w świecie bardzo dużo ludzi kierujących się w swych ekonomicznych wyborach moralnością, weźmy klientów kupujących jajka z chowu

ekologicznego lub wolnowybiegowego. Przecież te jajka są znacznie droższe...

Świetnie, że wspomniał pan o tych jajkach, bo od razu przypomniało mi to dawne rozmowy z Mateuszem, w których właśnie on dawał mi przykłady postaw i zachowań świadomego konsumenta żywiącego przekonanie, że dokonując w sklepie określonych wyborów – i płacąc więcej za pewne towary – może się przyczyniać do jakiegoś dobra. W tym przypadku jest to dobrostan zwierząt, bo przecież ta zasada nie odnosi się wyłącznie do kur. Zakup jest zawsze wyborem ekonomicznym, ale w tym wypadku ma on podłoże etyczne. Etyka nie wyklucza i nie wyłącza tu bodźców ekonomicznych, ale istotnie je modyfikuje. To nie jest tak, że jestem w stanie za dobrostan zwierząt zapłacić każdą cenę, natomiast jestem gotów zapłacić nieco więcej niż wynosi cena za produkt, w którym ów dobrostan nie jest przedmiotem uwagi producenta.

No, ale teraz w przedsiębiorstwach i ich działach marketingu za-uważają – bo przecież robią na bieżąco badania – wyraźny trend, nazwijmy go pro-dobrostanowym, albo po prostu etycznym i empatycznym, dynamicznie rośnie udział klientów, dla których ta kwestia ma znaczenie. Wiele firm zechce podążyć za tym trendem albo wręcz go wykorzystać...

Mówimy tu o całym systemie weryfikacji wiarygodności tego, co pod swymi markami oferują producenci. Czy to jajko faktycznie pochodzi z chowu ekologicznego? Czy ten chów spełnia wszystkie deklarowane warunki? Jasne, że jedni przedsiębiorcy będą się starali sprostać wszystkim kryteriom z przyczyn nie tylko biznesowych, ale też etycznych, a może nawet przede wszystkim etycznych, bo mają, dajmy na to, szerokie spojrzenie na świat i rozwijają swój biznes w dłuższej perspektywie, a nie tylko tu i teraz (choć to tu i teraz jest także ważne).

**Ale znajdą się tacy, którzy spróbują udawać działania i podsy-
wać się pod popularny w pewnych kręgach produkt.**

Eliminowaniem oszustów będących nieuczciwą konkurencją dla porządných przedsiębiorców powinny się zajmować właściwe służby i instytucje. Ale ważnym elementem społecznej kontroli jest – wiele razy już przez nas wymieniany – świadomy konsument. W ogóle zmiana świata na lepsze zaczyna się od spotkania świadomego konsumenta ze świadomym producentem. Między nimi rodzi się rodzaj więzi opartej na wzajemnym zobowiązaniu, że ten drugi będzie coś wytwarzał w określony sposób, a ten pierwszy będzie to kupował.

A to jest więź indywidualna, intymna czy w szerszych strukturach?

Zmiana zachodzi wtedy, kiedy powstaje sprzyjające jej środowisko. Ono powinno być na tyle znaczące, duże i wpływowe, by móc wskazywać i tępić oszustów. Istotną cechą takiego środowiska jest to, że ono przeważnie nie skupia się na jakimś wąsko rozumianym dobru, czyli np. dobrostanie kur, ale służy uruchamianiu wewnętrznej i publicznej dyskusji o wielu innych dobrach.

Czyli o ekonomii wartości.

Tak jest. Mówimy o dobrostanie zwierząt i – otwierając oczy, by wychwycić szersze konteksty – zaczynamy rozmawiać o jakości powietrza, o zużyciu wody, o ograniczonych zasobach, jakimi dysponujemy na Ziemi. W ten sposób poszerzamy pole refleksji etycznej, w której nie chodzi tylko o to, czy zwierzęta są humanitarnie traktowane, ale o wiele więcej. Cenne jest to, że w takiej rozmowie składają się w całość, a czasem zderzają różne perspektywy: rolnika, producenta, logistyka, handlowca, konsumenta. Taka rozmowa i towarzysząca jej zmiana myślenia to ewolucyjny proces otwierania oczu, w którym nie można niczego narzucić ani zaprogramować.

W ogóle zmiana świata na lepsze zaczyna się od spotkania świadomego konsumenta ze świadomym producentem. Między nimi rodzi się rodzaj więzi opartej na wzajemnym zobowiązaniu (...)

Kryzysy sprzyjają takim rozmowom?

Kryzysy wystrzają wiele problemów, co aktywizuje lub pozwala aktywizować ludzi. Zwykle zauważamy coś dopiero w momentach krytycznych. Dziś wiele takich momentów nam się zbiegło, co tworzy przestrzeń do rozmowy, a zarazem budowania przekazu. Utożsamiają się z nim ludzie zaniepokojeni kierunkiem, w jakim zmierza świat i kosztami, jakie z tego tytułu wszyscy ponosimy lub wkrótce poniesiemy.

Zaskakująco wielu z tych ludzi opowiada się za tym, żeby działalność gospodarcza nie polegała wyłącznie na zarabianiu pieniędzy, ale także na przestrzeganiu pewnych fundamentalnych zasad.

Naczelna z nich brzmi: jestem nie tylko od wytwarzania dóbr, ale także od wytwarzania dobra. Dobra wytwarzam w porządku gospodarki rynkowej, a dobro przychodzi z innego porządku – wartości – który wszyscy uczestnicy wymiany: i wytwórcy, i konsumenci powinni świadomie przyjąć.

Dlaczego powinni?

Jeśli rozumiem, że nie dokonają wyboru dobra, jeśli nie będą go aktywnie pobudzać i wytwarzać, to zapanuje zło. Powtarzam: nie należę do ludzi, którzy dzielą świat na jasną i ciemną stronę, widzę go w różnych przenikających się barwach, ale są kwestie o fundamentalnym znaczeniu – jak zdrowie (w szerokim pojęciu), poczucie szczęścia czy lepsza przyszłość naszych dzieci i wnuków – które powinny nas wszystkich łączyć w poczuciu odpowiedzialności.

Znam całkiem niemało ludzi postępujących co do zasady nieodpowiedzialnie.

Owszem, są między nami osoby z mocno zaburzonym poczuciem odpowiedzialności, ale cały problem polega na tym, że jeżeli my

tak łatwo podzielimy świat na odpowiedzialnych i nieodpowiedzialnych, to skoncentrujemy się na toczeniu cywilizacyjnej wojny.

A można inaczej?

Trzeba. Podstawowym założeniem powinno być to, że chcąc być odpowiedzialnym, działam tak, żeby inni ludzie przyjmowali dobrowolnie współodpowiedzialność i zachowywali się odpowiedzialnie. Musimy przy tym pamiętać, że to będzie działać o tyle, o ile my poczucie powinności powiązane z dążeniem do dobra połączymy z odniesieniem do dóbr, jedno i drugie jest ważne i musi być ze sobą skojarzone.

Którymi zasadami powinien się w tym ujęciu kierować marketing kreujący i promujący dobre marki – pisanymi czy niepisanymi?

W zestawie narzędzi, jakimi mogą się posługiwać marketingowcy, są działania zwyczajnie zakazane, ale są też takie, które prawo może dopuszczać, ale postrzegamy jako niewłaściwe, naganne, bo prowadzą do uprzedmiotowienia ludzi bądź do ich uzależnienia.

Czyli de facto niszczą dobro.

Ekonomia wartości opiera się zasadniczo na przekonaniu, że jeśli nie wytworzymy dobra, to wszystkie dobra, które będziemy wytwarzać, nie będą służyć ludziom i poprawie jakości ich życia, tylko obróćą się przeciwko nam.

Ale w gospodarce rynkowej podstawowym marzeniem i celem każdego przedsiębiorcy jest to, by ludzie konsumowali jak najwięcej jego produktów czy usług. Dotyczy to nie tylko producentów chleba, ale także wytwórców leków – przykładem kampanii nastawionej

(...) jeśli nie wytworzymy dobra, to wszystkie dobra, które będziemy wytwarzać, nie będą służyć ludziom i poprawie jakości ich życia, tylko obróćą się przeciwko ludziom.

na maksymalny wzrost konsumpcji jest kariera OxyContinu promowanego nieetycznie przez firmę Pardue Pharma obwianą dziś powszechnie za kryzys opioidowy w Ameryce. Obok mamy producentów jeszcze bardziej kontrowersyjnych towarów, jak alkohol czy papierosy...

Kryzys opioidowy jest katastrofą. Kosztował już życie setek tysięcy ludzi, jest przyczyną masowej tragedii. Marketing prowadzony przez biznes, w którym nie ma dobra, zawsze prowadzi do katastrofy. I nie chodzi tu wyłącznie o wymienione przez pana – jak pan stwierdził: kontrowersyjne – rodzaje towarów i usług. Proszę zauważyć, że nadmierna konsumpcja wszelkich rzeczy może stanowić problem na bardzo wielu poziomach. Raz będzie to kryzys otyłości, lawinowy wzrost ludzi chorych na cukrzycę itd. W innym wymiarze może to być kryzys zadłużenia – bo ludzie przez rozbuchaną konsumpcję wpadają w pętlę długów. W szerszym znaczeniu mamy do czynienia z kryzysem poczucia sensu życia. Jakże często uświadamiamy sobie, że konsumujemy coraz więcej rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebujemy.

I że daliśmy sobie wmówić, że jest inaczej. Codziennie wbija się nam do głów, że to te rzeczy – to, ile ich mamy i jakie to są marki – definiuje, kim jesteśmy jako ludzie...

Ludzka refleksja (...) bierze się stąd, że każdy z nas chce się czuć potrzebną osobą.

Właśnie tak. Ludzka refleksja, niezależnie od tego, czy jest związana z otyłością, czy pustką, jaką wytwarzamy wokół poprzez brak realnych więzi z innymi bierze się stąd, że każdy z nas chce się czuć potrzebną

osobą. Sama konsumpcja tego nie zapewnia. Podobna refleksja powinna jednak towarzyszyć przedsiębiorcom, wytwórcom dóbr – towarów i usług.

W 2004 roku, kiedy pan był wicepremierem, a Polska wchodziła do Unii, przeciętny miesięczny dochód rozporządzalny na osobę wynosił 735 zł, z czego 702 zł, a więc 95,4 proc., szło na wydatki.

W 2024 r. przeciętny dochód na osobę wyniósł 3167 zł, a wydatki stanowiły ok. 60 proc. tej kwoty. Dwaj moi znajomi profesorowie ekonomii toczą ze sobą morderczy spór o to, czy fakt, iż Polki i Polacy od kilku dekad niemal nieprzerwanie się bogacą i zwiększają dochód rozporządzalny na osobę we wszystkich typach gospodarstw, sprzyja postawom konsumpcyjnym i eliminacji dobra czy wręcz przeciwnie: wobec zaspokojenia podstawowych potrzeb bogacenie się tworzy przestrzeń do rozmowy o wartościach i zwiększaniu szans na uwzględnianie dobra w procesie wytwarzania dóbr.

Nie chciałbym się opowiadać po stronie któregoś z tych dwóch ekonomistów, a to z tej przyczyny, że – moim zdaniem – trzeba na ten problem patrzeć z innej perspektywy. Nie ma prostego przełożenia między wysokością dochodów a dobrostanem jednostek i społeczeństw. Z pewnością w Polsce jest dziś tak, że jeśli ludzie mają więcej i chcą mieć więcej; wydają więcej niż kiedyś i chcą wydawać więcej – i to może sprawiać, że w dużo większym stopniu będą koncentrować się na wydatkach konsumpcyjnych, w tym wydatkach prestiżowych – właśnie po to, żeby się wyróżnić. To zjawisko jest dość typowe dla większości społeczeństw będących na dorobku.

Te, które zaspokajały swe aspiracje materialne kilka pokoleń wcześniej, zwykle ostrożnej podchodzą do ostentacyjnej konsumpcji?

Tak, widać to zwłaszcza w Europie północnej, nie tylko w Skandynawii. U nas wielu ludzi poprzez posiadanie rzeczy, samej możliwości ich zakupu dowartościowuje się i zarazem chce pokazać innym, że są lepsi. W tym znaczeniu istnieje ryzyko wzmacniania postaw konsumpcyjnych. Z drugiej strony trzeba jednak pamiętać, że człowiek dąży przede wszystkim do samodzielności ekonomicznej, która dla większości zaczyna się w momencie, w którym te najbardziej podstawowe potrzeby materialne, w sensie biologicznym, są zaspokojone. Jeśli nie są, to ciężko z takim człowiekiem rozmawiać o wyborach etycznych...

Np. o dobrostanie kur.

Tak jest. Oczywiście, ludzie zachowują się różnie w skrajnych sytuacjach, np. w obozie koncentracyjnym zdarzały się postawy heroiczne – i one wynikały z określonych postaw etycznych. Ale w myśleniu o gospodarce nie możemy od ludzi oczekiwać takich postaw, więc punktem wyjścia musi być troska o to, czy potrzeby elementarne są zaspokojone w stopniu satysfakcjonującym, czyli niezbędnym do tego, żeby człowiek był zdolny do samodzielnej aktywności fizycznej i psychicznej.

To może zapewnić wszystkim dochód gwarantowany – ta koncepcja zyskuje na popularności.

Z wielu powodów nie opowiadam się za dochodem gwarantowanym. Podstawowy jest taki, że w moim przekonaniu dochód gwarantowany może skłaniać do bierności, a nie do aktywności.

W podejściu ludzi do rzeczy i konsumpcji kluczowe nie jest to, czym ci ludzie dysponują, lecz to, do jakiego stopnia oni to sami wytworzyli.

To jak ostatecznie rozstrzygnąłby pan spór tych dwóch ekonomistów?

Powiedziałem, ten spór, moim zdaniem, stoi obok istoty problemu. W podejściu ludzi do rzeczy i konsumpcji kluczowe nie jest to, czym ci ludzie dysponują, lecz to, do jakiego stopnia oni to sami wytworzyli. Czy zawdzięczają to swojej aktywności? Czy czują się współtwórcami świata, w którym żyją? Jeśli ktoś obawia się przechyłu ludzi w kierunku zajmowania się sobą i zaspokajania swoich pragnień i uważa, że wynika to z natury systemu kapitalistycznego – jest w błędzie w tym sensie, że przecież nie zabronimy ludziom aspiracji materialnych i związanych z tym pragnień.

Nie możemy się też skupiać na tłoczeniu ludziom do głów, że konsumpcja sama w sobie jest zła?

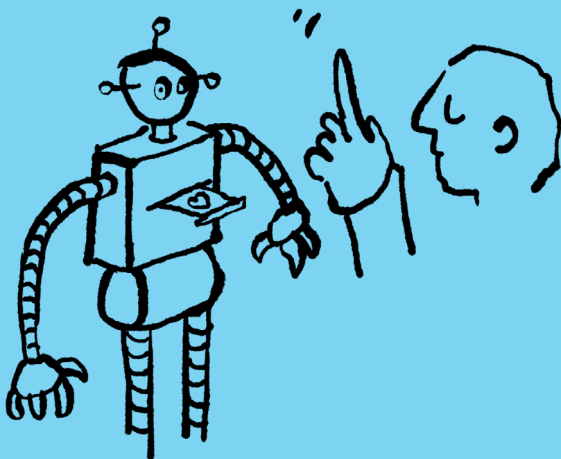
Nie, bo przecież ona obiektywnie jest jedną z dźwigni wzrostu gospodarczego. Powinniśmy natomiast zatroszczyć się o to, by ludzie w większym niż dotąd stopniu wypełniali jednocześnie dwie role: współtwórcy i świadomego obywatela, przy czym pierwsza jest z innego porządku niż druga. Jeśli te dwie role będą się w każdym człowieku uzupełniać i przenikać, to prawdopodobieństwo pojawienia się i upowszechnienia ekonomii wartości będzie zdecydowanie wyższe.

Powinniśmy natomiast zatroszczyć się o to, by ludzie w większym niż dotąd stopniu wypełniali jednocześnie dwie role: współtwórcy i świadomego obywatela (...)

Człowiek-praca w dobie sztucznej inteligencji

Opowieść piąta:

o tym, że w epoce, w której technologia
sięgnęła gwiazd i stała się istotnym
elementem obiektywnej rzeczywistości,
odpowiedzialność moralna człowieka za to,
co robi i czyni w świecie i ze światem,
jest większa niż kiedykolwiek



- Nowy wspaniały świat (bez) pracy
- Najważniejsze zasoby firmy wieczorem wychodzą do domu (Lester Thurow)
- Firma, czyli organizacja ucząca się
- Człowiek – na każdym etapie – nadzorcą technologii, a nie jej podwładnym
- „Postęp” a la Mengele
- Uniwersytet, czyli kształtowanie wspólnoty, odpowiedzialności, sumienia
- Pasterze reniferów: każdy dostaje własnego cielaka, ale ten cielak należy do stada

Bycie współtwórcą świata stało się dla wielu ludzi sensem i celem życia. Dużo, jeśli nie najwięcej sensu upatrujemy w pracy – to ona w powszechnym przekonaniu czyni nas potrzebnymi i jednocześnie pozwala zrealizować życiowe aspiracje, plany, marzenia, sfinansować zakup rzeczy i usług, które uważamy za niezbędne, ale też np. zwiedzać świat – podróże awansowały na szczyt potrzeb i marzeń Polek i Polaków, zwłaszcza młodych, ale nie tylko. Równocześnie rozmawialiśmy już o ludach uważających się za szczęściarzy i nie potrzebujących do życia więcej ponad to, co mają od natury i z codziennej pracy – zajmującej im przeciętnie 15 godzin tygodniowo plus drugie 15 godzin na ogarnianie własnego domostwa. U nas chwalimy się 50 godzinami w pracy i one rzadko pozwalają nam zaspokoić potrzeby rozbuchane przez cywilizację. Dziś zadajemy sobie pytanie: czy ta epoka dobiega końca za sprawą rewolucji technologicznej? Jedno z seminariów w Świeradowie nazwaliście symbolicznie: Świat (bez)pracy.

Od lat spotykamy się w Świeradowie w gronie kilkunastu osób, by dyskutować o kwestiach, które wydają się szczególnie aktualne. Staramy się inicjować debaty, które mogą się wkrótce stać gorące. Jedno z seminariów świeradowskich dotyczyło świata (bez)pracy. To „bez” wzięło się z refleksji nad rozwojem technologii i jej wpływem na to, co zawodowo wykonujemy. Ta świeradowska

refleksja wyprzedzała obecne ożywione debaty o wpływie technologii, zwłaszcza AI. Nic dziwnego, bo to jest po prostu kluczowy temat dla ludzkiej przyszłości. Przez ostatnie lata intensywnie rozmawialiśmy – zarówno w gronie ekspertów, jak i praktyków – o tym, jak technologia redefiniuje nasze miejsce na rynku pracy. Już dawno zauważyliśmy, że nie chodzi tylko o automatyzację i robotyzację, będącą kolejnym etapem rewolucji przemysłowej i oznaczającej zastępowanie maszynami ludzi w fabrykach na niespotykaną dotąd skalę. Najbardziej ożywioną dyskusję wywołał dynamiczny rozwój sztucznej inteligencji, a to dlatego, że mamy tu całkiem nową jakość – na naszych oczach maszyny przejmują nie tylko pracę fizyczną, ale też coraz bardziej złożone czynności intelektualne.

Z tamtych świeradowskich refleksji zrodziła się jedna z najważniejszych osi tematycznych OEES. Czy na obecnym etapie rozkręcającej się debaty możemy się pokusić o jakieś wnioski?

Najistotniejszy jest taki, że musimy zmienić sposób, w jaki rozumiemy pracę. Nie chodzi już tylko o to, że ze świata, jaki znamy, może zostać wyeliminowany fizyczny ludzki wysiłek, coś, co Anglicy nazywają labour, czyli że znikną „niebieskie kołnierzyki”, ale także o to, że ludzie nie będą już musieli wykonywać całej masy czynności charakterystycznych dla „białych kołnierzyków”.

Mówiąc brutalnie: wielu z nas stanie się niepotrzebnych w obecnym tego słowa znaczeniu.

Tak to wygląda z dotychczasowej perspektywy. Czeką nas zatem całościowa zmiana modelu pracy. Przy obecnym tempie rozwoju technologii kluczowe staje się pytanie: jak w tym nowym świecie zagospodarujemy nasz potencjał intelektualny i emocjonalny? To wymaga nowego podejścia.

Jedną z konkluzji ze Świeradowa, twórczo rozwiniętą podczas OEES, jest to, że kluczem do przyszłości jest organizacja ucząca

się – nie kopiująca cudzych wzorców, lecz twórcza. Jak ona miałaby wyglądać w praktyce?

Często cytuję myśl Lestera Thurowa: „najistotniejsze składniki majątku firmy wieczorem wychodzą do domu” – to ludzie i ich umysły, a nie maszyny czy budynki decydują o potencjale przedsiębiorstw. Ludzkich mózgów nie da się zamknąć w sejfie. W organizacji uczącej się chodzi o to, by pracownik nie był tylko dodatkiem do procesu, ale jego współtwórcą. Musi mieć poczucie podmiotowości, a miejsca pracy powinny być projektowane z jego udziałem. Dlatego często mówiłem, by rekrutację zaczynać już podczas studiów, w ścisłej współpracy z uczelnią. Poznajemy potencjał młodych ludzi, a oni poznają nas. Jeśli zaangażujemy firmy w proces dydaktyczny, a uczelnie będą mogły projektować miejsca pracy, które będą kreatywne i rozwojowe dla ich absolwentów.

To takie ważne?

Bardzo ważne, zwłaszcza dziś, kiedy technologie zmieniają się zasadniczo w odstępach jakichś siedmiu albo nawet pięciu lat, a generacje zmieniają się w rytmie zmian technologii. Czyli de facto każda generacja zaprojektuje sobie swoje miejsce pracy nieco inaczej. Organizacja ucząca się to taka, która potrafi zapewnić każdemu miejsce do takiej kreacji – stając się przy tym przestrzenią współodpowiedzialności i współsatysfakcji. W organizacji uczącej się proces coachingu musi wielopokoleniowo narastać. Pracownik musi mieć nie tylko poczucie wspólnoty z firmą – co można zapewnić wieloma różnymi metodami, dbałością o jego zdrowie, o dobrostan itd. – ale też musi czuć, że to, co robi, jest...

...satysfakcjonujące? Daje poczucie sensu, spełnienia, szczęścia?

Niewątpliwie tego właśnie szukamy w życiu.

Ale czy w dobie intensywnej technologizacji nie grozi nam ziszczenie pesymistycznego scenariusza znanego z popularnych

dystopii: że w tym nowym świecie (bez) pracy ludzie staną się jedynie trybikami w wielkiej maszynie sterowanej przez algorytm?

To ryzyko jest całkiem realne. Jeśli nie będziemy dbać o rozwój pracowników, ich rutyna doprowadzi do regresu intelektualnego. Nawet w firmach, gdzie procesy są mocno zautomatyzowane, można zadbać o to, by ludzie poszerzali horyzonty – poprzez rotacje stanowisk, udział w projektowaniu nowych rozwiązań czy działalność wolontariacką. Najważniejsze, by nie traktować ich wyłącznie jako wykonawców poleceń.

Entuzjaści AI wskazują na jej niewątpliwie korzyści, krytycy potrafią potępiać ją w czambuł, wskazując słabości i całą masę, często apokaliptycznych, zagrożeń. Jak ma się w tym odnaleźć przedsiębiorca, menedżer albo lider uczelni, instytucji?

Absolutnie fundamentalne jest to, by człowiek – na każdym etapie – pozostał nadzorcą technologii, a nie jej podwładnym.

Im bardziej idziemy w kierunku zaawansowanej technologii, tym istotniejsze staje się pytanie o etykę i tym większe jest pole dla ekonomii wartości. Nie można bagatelizować ryzyka, że sztuczna inteligencja

przyniesie nieprzewidywalne skutki społeczne i antropogeniczne. Trzeba wyznaczyć granice – tak, by postęp nie prowadził do nieodwracalnych szkód. Absolutnie fundamentalne jest to, by człowiek – na każdym etapie – pozostał nadzorcą technologii, a nie jej podwładnym.

Tak jest w uruchamianych dziś w Chinach „ciemnych fabrykach” – nie ma tam niebieskich kołnierzyków, fizycznie całą produkcją zajmują się roboty sterowane przez agentów AI, ale pod ścisłą bieżącą kontrolą ludzi – inżynierów IT, wszechstronnych, interdyscyplinarnych specjalistów od robotyzacji, automatyzacji i cyfryzacji. Czy taki model, pozwalający osiągnąć niespotykaną wcześniej produktywność, precyzję i niezawodność procesów,

a więc niebywale konkurencyjny, powinien być dla nas inspiracją czy raczej przestrogą?

To często poruszane zagadnienie pozostaje, w moim przekonaniu, nieco obok głównego problemu. Istotniejsze od tego, w jaki sposób będziemy wytwarzać określone rzeczy i w jakim stopniu będzie to prowadzić do całkowitego wyeliminowania pracy fizycznej i prostych intelektualnych czynności, jest to, czy technologia będzie rządziła nami czy my technologią. Jeśli chcemy przetrwać jako ludzie, jako ludzkość, absolutnie powinniśmy się trzymać jednej podstawowej zasady: korzystanie z technologii musi się odbywać z poszanowaniem wartości nadających sens ludzkiemu życiu.

Korzystanie z technologii musi się odbywać z poszanowaniem wartości nadających sens ludzkiemu życiu.

Kto powinien pilnować przestrzegania tej zasady i wyznaczać granice? Państwo, organizacje, pracownicy? Słyszymy przecież, że „zbyt wiele ograniczeń hamuje rozwój” oraz że „Chińczycy i Amerykanie się nie certolą, więc będą uciekać przeregulowanej Europie”.

W imię rzekomego „postępu” dopuszczono się w historii całej masy zbrodni. Mengele prowadził w Auschwitz „badania” służące „postępowi medycyny”. Czy uważamy takie „badania” za dopuszczalne? Czy chcielibyśmy świata urządnego przez nazistów i im podobnych, dla których cel uświęca wszystkie środki? Nie. Muszą istnieć granice, ramy rozwoju technologii. Ich tworzenie i pilnowanie to jest zadanie dla nas wszystkich – państwa, organizacji, społeczności akademickiej, ale też instytucji i organizacji ponadnarodowych. Powinny powstać mechanizmy powstrzymujące przed nadużyciami, podobnie jak w przypadku genetyki czy badań medycznych. Przy czym, same

Czy chcielibyśmy świata urządnego przez nazistów i im podobnych, dla których cel uświęca wszystkie środki? Nie. Muszą istnieć granice, ramy rozwoju technologii.

zakazy, formalne regulacje, to za mało – potrzebna jest szeroka refleksja.

Niebo gwieździste nade mną, prawo moralne we mnie?

Nic się tutaj nie zmieniło. Technologia sięgnęła gwiazd i stała się istotnym elementem obiektywnej rzeczywistości. Ale nie zwalnia to człowieka z odpowiedzialności moralnej za to, co robi i czyni w świecie i ze światem. Może nawet ta odpowiedzialność jest większa niż kiedykolwiek.

Technologia sięgnęła gwiazd i stała się istotnym elementem obiektywnej rzeczywistości. Ale nie zwalnia to człowieka z odpowiedzialności moralnej za to, co robi i czyni w świecie i ze światem.

A jaką rolę w tym procesie ma do odegrania uniwersytet? Bo już o nim trochę rozmawialiśmy, ale nie w tym kontekście.

Ogólnie wiadomo, że moja ocena współczesnych uczelni, zwłaszcza po reformach wprowadzonych w Polsce za czasów Jarosława Gowina, jest krytyczna. Uniwersytet jest z założenia dobrem publicznym – zbiornikiem retencji wiedzy i krytycznej refleksji. Niestety, wiele uczelni zostało przekształconych w marne przedsiębiorstwa, zaś orientacja pracowników stała się indywidualistyczna. Punkty za publikacje wypaczyły sens pracy naukowej. Jestem przekonany, że uniwersytet może funkcjonować inaczej, ale musi najpierw odzyskać siły wewnętrzne i powrócić do misji kształcenia – nie tylko intelektu, ale także rozumu i odpowiedzialności.

Tradycyjny wykład uniwersytecki przystaje do współczesnego świata, do percepcji młodych, do technik pozyskiwania przez nich informacji i wiedzy?

Zdecydowanie nie przystaje, więc jest dla mnie oczywiste, że dydaktyka musi być dostosowana do zmian cywilizacyjnych. Ale równocześnie – powtarzam, bo to niezwykle ważne – uniwersytet powinien powrócić do tradycyjnych wartości: kształtowania

wspólnoty, odpowiedzialności, tworzenia warunków do samorozwoju. Są różne formy wspólnej aktywności, które budują więź i umożliwiają podejmowanie działań w taki sposób, by ta trzecia misja uczelni – formacyjna – była równie ważna jak nauka i dydaktyka. One są kluczem do odrodzenia uniwersytetu jako fundamentu dokonującej się w świecie zmiany.

Kiedy spotykam się z młodymi ludźmi w liceach i na uniwersytetach, to wśród tych aktywnych, wyrażających otwarcie swe poglądy, widzę dwie skrajnie odmienne postawy. Jedni mówią, że trzeba się społecznie angażować – w Wielką Orkiestrę, Szlachetną Paczkę, ochronę planety, obronę praw człowieka, ruchy obywatelskie – bo to nadaje sens życiu, a bez tego świat i społeczeństwo szczerzą. Drudzy mówią: pilnie studiuję i ciężko pracuję dla siebie, a sprawiedliwość polega na tym, że każdy powinien otrzymać tyle, na ile zasłużył wedle talentu, starań i wkładu pracy.

Oglądałem wczoraj szwedzki dramat *Kradzież*, będący ekranizacją książki Ann-Helén Laestadius. To m.in. historia młodej kobiety, która pragnie bronić swojego rdzennego dziedzictwa w świecie, w którym panoszy się ksenofobia, a zmiana klimatu zagraża hodowli reniferów. Film pokazuje konflikt Saamów, pasterzy reniferów, z pozostałymi mieszkańcami północnej Szwecji. Przemawia do mnie piękna tradycja Saamów, zgodnie z którą każde dziecko, dziewczynka i chłopiec, dostaje cielaka. Każde dziecko ma także swój indywidualny znak, który wycina się na uchu przydzielonemu mu cielakowi – ale z wyraźnym zaznaczeniem: „Nie jesteś właścicielem tego zwierzęcia. Zajmujesz się nim, dbasz o nie i troszczysz – powiedzielibyśmy – „jak o swoje”, ale nie możesz go zabrać, bo ono jest częścią stada, tak jak ty jesteś częścią wspólnoty, którą razem współtworzymy”.

Co Saamowie chcą w ten sposób osiągnąć?

Mówiąc najprościej: poczucie przynależności i odpowiedzialności. Nie tylko za tego jednego renifera, lecz za całe stado i za wspólnotę.

To świetna metafora tego, w co wierzę: sensem istnienia człowieka jest dzielenie się tym, co wypracował, udostępnianie innym efektów swej pracy – bez ich zawłaszczania. Proszę zważyć, że możemy to odnieść wprost do współczesnych organizacji – w moim przekonaniu największą przyszłość mają te, w których umiejętnie łączą się satysfakcję jednostki i efektywność z autentycznym tworzeniem czegoś, co jest powszechnie dostępne dla innych.

(...) sensem istnienia człowieka jest dzielenie się tym, co wypracował, udostępnianie innym efektów swej pracy – bez ich zawłaszczania.

Obserwuję przekaz wielu organizacji i widzę, że tego typu myślenie – wywodzące się wprost z debat i kluczowych wniosków OEES – mocno się upowszechniło. Można rzec, że ekonomia wartości, zrazu niszowa i mało rozumiana, przebiła się do mainstreamu. To chyba ważne? Wygląda na... całkiem mocne karty w rękę.

Obserwuję przekaz wielu organizacji i widzę, że tego typu myślenie – wywodzące się wprost z debat i kluczowych wniosków OEES – mocno się upowszechniło. Można rzec, że ekonomia wartości, zrazu niszowa i mało rozumiana, przebiła się do mainstreamu. To chyba ważne? Wygląda na... całkiem mocne karty w rękę.

Czuję satysfakcję, że refleksja nad ekonomią wartości stała się częścią szerokiego dyskursu. Mam nadzieję, że kolejne pokolenia będą ją kontynuować – z otwartością, z odpowiedzialnością, z pasją kreacji. Chodzi o ciągle odtwarzanie takich środowisk gospodarczych czy zawodowych, w których dominuje myślenie o tym, iż powinniśmy czemuś służyć, że mamy coś ważnego do zrobienia i że nie będziemy w stanie realizować tej misji, jeśli nie będziemy się od siebie uczyć.

Stwierdzenie, że nauka nie kończy się na studiach, nigdy nie było tak trafne i aktualne.

Tak, ale absolutnie nie chodzi o to, że przeprowadzimy całą masę szkoleń, lecz o to, że uczymy się wzajemnie od siebie i rozwiązujemy kolejne nasze problemy wspólnie. To jest jedyna droga do rozwijania się organizacji: w sposób organiczny, a nie poprzez naśladowanie innych. Jedyna droga do tego, by stać się firmą-idea. Chcemy się tą perspektywą oraz wszystkimi odkryciami OEES, wynikającymi z jej przyjęcia, szeroko dzielić na zasadzie: bierzcie i korzystajcie. Tu naśladownictwo jest wskazane.

Państwo-idea w świecie VUCA

Opowieść szósta:

o prawdziwych źródłach siły państwa oraz
o tym, że korzystanie ze smartfonu nie jest
czynnością technologiczną, lecz cywiliza-
cyjną i rodzi konsekwencje cywilizacyjne



- Państwo za duże, państwo za małe, czyli dyskusja obok sedna
- *Market failure, government failure* i sens istnienia państwa
- Do czego uprawnia sukces w wyborach?
- My, naród, czyli Polak etniczny katolik i Polak obywatelski
- Autorytaryzm vs konstytucyjna zasada pomocniczości
- Bierne wypowiedzenie posłuszeństwa czyni państwo słabym
- Algorytmy pomagają wygrywać wybory centralne i lokalne, a także referenda
- Platformy cyfrowe: interesowność i wyrachowana stronniczość jako źródło polaryzacji i wojny kulturowej
- Plutony zniszczenia: sianie strachu, by ludzie przestali myśleć

Mam totalne *déjà vu*. Dokładnie tak samo jak blisko 40 lat temu, u zarania Unii Polityki Realnej, pierwszej partii Korwina, słyszę od rozdygotanych młodych, w 95 proc. chłopaków, że państwo jest za duże i powinno się cofnąć na ortodoksyjne leseferystyczne pozycje wyznaczone przez Smitha, Hayeka i von Misesa. Na to *déjà vu* nakłada się inne: od niemałej części przedstawicieli lewicy, prawicy i centrum słyszę, że państwo powinno być silniejsze, w znaczeniu – większe. Bo czasy niepewne, rozdygotane, zagrożenia zewnętrzne rosną, generałowie przepowiadają wojnę, w dodatku pojawiły się wielkie wyzwania współczesności, jak transformacja energetyczno-klimatyczna. Anglosasi mówią, że żyjemy w świecie VUCA – *volatility* (zmienności), *uncertainty* (niepewności), *complexity* (złożoności) i *ambiguity* (niejednoznaczności) i to wymaga aktywnych działań władzy centralnej. To jaka jest dziś dobra odpowiedź na pytanie o rolę państwa? Jaka się za tą rolą kryje idea?

Państwo jest tworem zbyt złożonym i zbyt ugruntowanym historycznie, by dyskusowanie tylko o jego wielkości miało jakikolwiek sens. Próba konstruktorskiego spojrzenia, w którym zaprogramujemy z góry domenę, w których państwo ma działać oraz takie, w których ono ma nie działać, absolutnie mija się z celem. Więc to całe przesuwanie wahadła ze strony bardziej liberalnej oraz w stronę interwencjonizmu jest, w moim przekonaniu, całkowicie

beziproduktywne. Podobnie jak spór między zwolennikami teorii market failure i government failure – zawodności rynku i zawodności państwa. Jedni twierdzą, że państwo powinno reagować na niepowodzenia wynikające z zawodności rynku, a inni uważają, że to rynek musi korygować niepowodzenia państwa. Dyskusja na ten temat zdominowała nauki ekonomiczne – moim zdaniem niesłusznie, więc nie chciałem i nie chcę w niej uczestniczyć...

Pan ucieka od odpowiedzi?

Nie. Po prostu uważam, że taka dyskusja nijak nie posuwa nas do przodu.

To jakie podejście ma sens?

Warto zacząć od pytania, czy rozmawiamy o idei państwa czy państwie-idei. W tym pierwszym ujęciu państwo jest uważane przez wielu za uniwersalny twór mający do wypełniania pewne trwałe zadania. W tym obszarze mamy całe rozważania politologiczne o państwie jako organizacji, która jako jedyna ma prawo do zalegalizowanej przemocy odbywającej się w jego granicach, o strukturze władzy i sposobie jej sprawowania, np. o trójpodziale władzy, o państwie prawa, o instytucjach i administracji... Wszystkie te elementy uważam za ważne – i oczywiście nie da się ich wyrzucić z dyskusji. Ale równocześnie wskazuję na niebezpieczeństwo, że tak zdefiniowane państwo może się jawić lub w rzeczywistości się wykształcić jako potężny onnipotentny twór bytujący ponad głowami obywateli, oderwany od społeczeństwa.

Ale po to właśnie jest prawo i po to są kluczowe instytucje, aby to niebezpieczeństwo minimalizować.

To prawda. Amerykanie będą tu dyskutować o check and balance, czyli mechanizmach równoważących onnipotencję, a my w Europie będziemy mówić o demokracji, o jej procedurach i zasadach państwa prawa. To jest nieustająca dyskusja.

Nieustająca?

Musimy przyjąć do wiadomości, że ona będzie trwać wiecznie, ponieważ zmienia się świat, jego realia, warunki wewnętrzne i zewnętrzne, także mentalne, zmieniają się wyzwania, więc trzeba na to wszystko odpowiednio reagować – a to oznacza ewolucję państwa. Co pewien czas dokonujemy korekt na bazie porządku konstytucyjnego, a kiedy trzeba – zmieniamy nawet ten porządek, bo uznajemy go za nieprzystający do czasów i wyzwań. Ta dyskusja jest ważna, podobnie jak perspektywa, z której na nią patrzymy, ale stanowczo twierdzę, że nie są to jedyne kwestie, o których powinniśmy rozmawiać.

Ta perspektywa – dotycząca państwa-idei – czyli tak naprawdę czego?

Fundamentalne pytanie brzmi: co napędza maszynę państwową? Co jest programem państwa? A nie jego wyposażeniem, urządzeniem, oprządkowaniem – tylko sensem jego istnienia.

W preambule do konstytucji z 1997 r. zadeklarowaliśmy, że „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i w powinnościach wobec dobra wspólnego – Polski, (...) pragnąc na zawsze zagwarantować prawa obywatelskie, a działaniu instytucji publicznych zapewnić rzetelność i sprawność, w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem, ustanawiamy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej jako prawa podstawowe dla państwa oparte na poszanowaniu wolności i sprawiedliwości, współdziałaniu władz, dialogu społecznym oraz na zasadzie pomocniczości umacniającej uprawnienia obywateli i ich wspólnot”. To jest idea?

Fundamentalne pytanie brzmi: co napędza maszynę państwową?

Tak, ale nie cała. Pamiętajmy, że nawet państwa totalitarne potrafią mieć bardzo pięknie brzmiące konstytucje pełne wzniosłych haseł.

W konstytucji PRL mieliśmy wolność słowa, a działała cenzura przewencyjna.

Właśnie. Tu fundamentalne pytanie jest o to, co jest źródłem idei. Skąd ona właściwie pochodzi i jak należy ją rozumieć w praktyce. Wiemy już, że całkiem nierzadkie jest takie – w istocie bardzo prostackie i zgubne – podejście, w którym ci, którzy zdobywają władzę w demokratycznych wyborach, uważają, że mają prawo narzucić swój program i perspektywę wszystkim pozostałym.

A nie mają? Przecież uzyskali mandat?

Sęk w tym – do czego jest ten mandat. Do narzucania idei, czy też realizowania pewnych zamierzeń i rozwiązań w ramach idei, którą my wszyscy – i aktualni zwycięzcy wyborów, i aktualni przegrani – wspólnie sobie kiedyś wykreowaliśmy. To fundamentalna różnica.

Marcin Wolski, kiedyś popularny satyryk, później pisowski funkcjonariusz, powiedział po pierwszym triumfie PiS: „Wygraliśmy wybory, więc morda w kubel”.

To jest credo autorytaryzmu politycznego. Jego zwolennicy i praktycy prędzej czy później będą nas ciągnęli w kierunku autorytaryzmu szerzej pojmowanego, to znaczy takiego, w którym władza zostaje – delikatnie mówiąc – zrekonstruowana, a dokładnie: pozabawiona całego szeregu istotnych zabezpieczeń.

Przed czym?

Przed sytuacją, w której reprezentanci części, bo nawet nie połowy społeczeństwa, narzucają siłą swoją wolę i swój program wszystkim pozostałym grupom społecznym, również tym, które stanowią z tym programem nie zgadzają. Siła i wola dla takich partii,

jak PiS, mają znaczenie fundamentalne, a to dlatego, że partie te stoją na stanowisku, iż idee, którym państwo ma służyć, nie pochodzą z dołu, czyli od społeczeństwa rozumianego jako zbiorowość, wspólnota obywateli, tylko od abstrakcyjnego „suwerena” – wyrażanego wprawdzie przez większość wyborczą, ale tak naprawdę sytuującego się gdzieś nad społeczeństwem.

Gdzie konkretnie?

Mamy tu, oczywiście, konstrukcję „narodu”. PiS posługiwał się nią od zawsze, robi to i będzie robił także prezydent Karol Nawrocki – nazywając samego siebie „głosem narodu”.

Ale – dosłownie – pół narodu, rozumianego tak jak w preambule konstytucji, wcale nie uważa go za swój głos. Przeciwnicy mówią: na naszego kandydata głosowało minimalnie mniej wyborców niż na pana, proszę to uszanować.

W narracji autorytarnej wyborca rozumiany jako obywatel nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Jest naród rozumiany etnicznie.

Tylko że pan redaktor mówi o wyborcach, a w narracji autorytarnej wyborca rozumiany jako obywatel nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Jest naród rozumiany etnicznie. Nie ma wyborców, nie ma obywateli, są Polacy. W tradycji polskiej prawicy była to jeszcze zbitka Polacy-katolicy, która dziś jest wskrzeszana w dość trudnych dla niej warunkach, bo choć nadal większość Polaków deklaruje przywiązanie do katolicyzmu, to jednak wiemy – i to z wiarygodnych kościelnych danych – że liczba praktykujących jest zdecydowanie mniejsza i stale tonie.

Wedle Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego, wskaźnik *dominantes*, czyli osób uczestniczących w niedzielnej mszy, w 2024 r. wyniósł nieco ponad 29 proc., a wskaźnik *communiantes*, czyli przystępujących do sakramentu komunii, oscyluje ostatnio poniżej 14 proc.

I te odsetki stale maleją. Jednak niezależnie od tego, czy ten element będzie do konstrukcji „narodu” dodawany, mamy i będziemy mieli do czynienia z etnicznym podejściem i odmienianiem przez wszystkie przypadki słowa „Polacy”. Przy czym wiemy z wielu historycznych doświadczeń, że definiowanie, kto jest narodem, a kto nie zasługuje na to miano, jest przywilejem charyzmatycznego przywódcy.

Będzie gorszy sort? Będą ludzie w ogóle wykluczeni z kręgu narodu?

To wynika z logiki: albo jesteś z nami, albo jesteś przeciwko nam, więc z automatu nie należysz do narodu. Nie jesteś Polakiem.

I co możemy z tym robić?

Tej autorytarnej tendencji przeciwstawiam całkiem odmienny sposób rozumienia, a mianowicie, że źródłem głównych idei rozwoju danego społeczeństwa zorganizowanego w państwie musi być samo społeczeństwo rozumiane jako zbiorowość obywateli. Przy czym te idee nie wyrażają się wyłącznie przy użyciu kartki wyborczej, ale także za pomocą różnych form aktywności zbiorowej, poprzez oddolne – powtarzam: oddolne – struktury.

Czyli, mówiąc najprościej, źródło idei mających napędzać państwo i nadawać mu sens bije na dole, a nie na górze.

Dokładnie tak.

No, ale jak to ma wyglądać w praktyce? Bo proces wyborczy jest w miarę przejrzysty, uregulowany, opisany w prawach i obyczajach.

W cytowanej przez pana preambule naszej konstytucji mamy wpisana – absolutnie fundamentalną – zasadę pomocniczości państwa. Zakłada ona, że zadania wynikające z naszych wspólnych idei powinny być realizowane na jak najniższym szczeblu władzy,

najbliższym obywatelowi, bo on jest w stanie skutecznie je wykonać. Zasada ta oznacza, że państwo i wyższe szczeble władzy interweniują tylko wtedy, gdy niższe szczeble (np. rodzina, stowarzyszenia obywatelskie, sołectwo, gmina) nie są w stanie samodzielnie sprostać danym potrzebom lub gdy działanie na wyższym szczeblu zapewni większą skuteczność.

Profesor Andrzej Zoll tłumaczył mi kiedyś, że zasada ta mówi jasno, że państwo ma wspierać jednostki i wspólnoty niższego rzędu, a nie je zastępować.

Podstawą tak rozumianego państwa jest samoorganizacja obywateli. I to nie tylko samoorganizacja w sensie politycznym, czyli partii, i nie tylko w sensie profesjonalnym, czyli samorządów zawodowych, stowarzyszeń biznesowych czy związków zawodowych, ale we wszystkich możliwych wymiarach i formach aktywności, również tych, które nie są ani stricte polityczne, ani stricte zawodowe, ale mogą być budowane na zasadzie stowarzyszeniowej czy w formie fundacji, na fundamencie przekonań lub pasji. W każdym razie przez te formy obywatele wyrażają swe aspiracje i potrzeby, a zarazem pokazują, że chcą aktywnie współtworzyć swoje państwo i jego realną siłę – oddolnie.

A to nie jest aby utopia? Czy do ludzkiej wyobraźni nie przemawia lepiej, za przeproszeniem, „jeden naród – jeden wódz”? I czy aby tak ufundowane państwo nie jest silniejsze, bardziej sprawcze?

To zależy, jak my rozumiemy sprawczość i „siłę państwa”. Czy tak jak Hitler i Stalin oraz wielu im podobnych, czy raczej tak, jak, dajmy na to, Finowie lub Szwajcarzy. Pan powiedział „utopia”, a tu mamy realne, niezwykle żywe i żywotne przykłady bardzo prężnych państw zbudowanych w oparciu o imponująco gęstą sieć oddolnych struktur. Jak Finowie budowali armię, która

Tu mamy realne przykłady bardzo prężnych państw zbudowanych w oparciu o imponująco gęstą sieć oddolnych struktur.

przeciwstawiła się ZSRR, to była ona silnie osadzona w tej oddolnej tradycji, czyli stanowiła w znacznym stopniu przeciwieństwo scentralizowanego systemu zarządzania wojskiem.

I tak się da?

Dowodem na to, że się da, jest wojna zimowa z przełomu 1939 i 1940 r. Kiedy armia sowiecka najechała Finlandię, bombardując miasta i obiekty cywilne, Finowie stawili opór i mimo utraty 10 proc. terytorium zdołali obronić niezależność, zadając agresorom olbrzymie straty. Te 105 dni oporu pokazało siłę państwa zbudowanego oddolnie. Zresztą teraz widzimy podobne zjawisko w Ukrainie, która miała się poddać w tydzień, może w miesiąc, a broni się czwarty rok. Oczywiście, ogromną rolę odgrywa tu wsparcie Zachodu, ale gdyby nie oddolna samoorganizacja obywateli Ukrainy,

ta wojna byłaby już dawno przez Rosję wygrana, bo ta cała broń byłaby psu na budę.

Fundamentalne jest to, gdzie szukamy siły państwa: w aktywności i samoorganizacji obywateli czy w scentralizowanej strukturze i autorytarnie narzucanej „woli suwerena”.

Ukraina kojarzy się wielu mieszkańcom Polski i Zachodu z ekonomiczną oligarchią zblatowaną z centralną władzą, z koszmarną korupcją...

To prawda – i to jest największa słabość tego państwa. Ale popatrzmy, co jest jego największą siłą: od 2014 r., czyli znacznie krócej

niż my, Ukraińcy budują swoją samorządność. To ich zasadniczo odróżnia od Rosjan. Działalność samorządowa sprawiła, że nawet tam, gdzie scentralizowany system zaczął zawodzić, Ukraińcy potrafili sobie poradzić, bo zadziałały oddolne struktury. Na tym polegają siły wewnętrznego zorganizowania. Można wymienić dziesiątki krajów, które potrafiły budować siłę państwa właśnie poprzez oddolną organizację społeczną, wspieraną przez stworzone później wyższe poziomy. Oczywiście, możemy się zastanawiać, jak poukładać proporcje między tym, co oddolne, a tym, co centralne. To ważne, ale nie rozstrzygające. Fundamentalne jest to, gdzie szukamy

siły państwa: w aktywności i samoorganizacji obywateli czy w scentralizowanej strukturze i autorytarnie narzucanej „woli suwerena”.

A jaką rolę odgrywa w państwie praworządność?

Błąd wielu demokratów polega na tym, że oni rozumieją praworządność bardzo, że tak powiem, technicznie, a to dlatego, że lokują siłę państwa w centralnych strukturach. One są, oczywiście, niezwykle ważne, ale proszę zważyć, że tak sprofilowana dyskusja o praworządności mało interesuje ludzi...

I to nie jest wina ludzi? Ich ignorancji? Elementarnej niewiedzy na temat państwa, prawa, demokracji?

Trudno winić ludzi za to, że to ich nie interesuje. Warto tutaj pamiętać, że czymś innym jest praworządność, a czymś innym jest prawomocność. W gruncie rzeczy najważniejsze pytanie brzmi, czy władza jest prawomocna, czyli przez ludzi uznawana.

U schyłku PRL władza czuła, że ma z tym wielki problem i mieliśmy historyczne wybory czerwcowe. Ale to był realny socjalizm. A jak się objawia prawomocność w demokracji, np. tej okupowanej i zawłaszczanej przez autokratów?

Nie chodzi o to, że ludzie nagle wypowiedzą posłuszeństwo władzy. Oni mogą się nie wypowiedzieć z różnych powodów – nie tylko dlatego, że są zastraszeni. Część obywateli charakteryzuje bierność, można kolokwialnie rzec, że jest im wszystko jedno. Inni mogą aktywnie nie wypowiadać posłuszeństwa w przekonaniu, że to nic nie da. Bo czują bezsilność. Ale to nie oznacza, że de facto tego posłuszeństwa nie wypowiedzieli.

Biernie?

Biernie wypowiedzenie posłuszeństwa dokonuje się wtedy, gdy ludzie odsunęli od siebie państwo i nie utożsamiają się ani z nim, ani

z głoszonymi przez nie ideami. Takie państwo może mieć w pełni scentralizowaną władzę i wodza, a mimo to w krytycznych, kryzysowych momentach okazuje się zaskakująco słabe.

I nie jest sprawcze?

W ogóle nie jest. Bywa wręcz niezdolne do działania – i są tego liczne przykłady. Weźmy Stany Zjednoczone, które powstały jako oddolna inicjatywa, ale tę mocno obywatelską tradycję łączą z okresami silnej władzy federalnej. Możemy wskazać lokalne kryzysy, np. naturalne kataklizmy, w których władza centralna okazała się kompletnie bezradna, ale udało się uniknąć katastrofy, bo szybko i sprawnie zadziałały oddolne lokalne struktury, a jednocześnie zdarzyły się sytuacje, gdy takich oddolnych struktur nie było i to zwielokrotniło rozmiary ludzkich tragedii. Mamy tu więc dwa superważne czynniki decydujące o realnej sile państwa: moc oddolnej samoorganizacji i poziom akceptacji władzy centralnej przez społeczeństwo rozumiane jako wspólnota obywateli.

Pamiętam przechadzkę z Jackiem Kuroniem, zaraz po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, przez dzielnice totalnie zaśmieconą i zniszczoną przez wandalów. Taką ziemię niszczą, czyli publiczną przestrzeń, z którą nikt lub prawie nikt się nie utożsamiał. Bohater Solidarności powiedział mi, że oczywiście można tu ustawić policjanta i karać ludzi za to, że rozwalają szyby na przystankach i śmiecą – to będzie pierwszy poziom praworządności wynikający ze strachu przed karą. Ale jemu marzy się państwo, w którym ludzie nie rozwalają niczego i nie śmieją, bo uważają publiczną przestrzeń za swoją i wspólną, czują się za nią współodpowiedzialni. I to przekonanie, jako prawo moralne, siedzi w nich – jak w sentencji Kanta – głęboko. Nie trzeba wtedy policjanta na każdym rogu. Państwo działa i przejawia swą siłę poprzez wartości zakorzenione w sercach i umysłach obywateli. Pilnujących porządku oddolnie, a nie dlatego, że kazał im jakiś wódz powołujący się na „wolę narodu”.

Dotknął pan istoty. Można rzec, że ten policjant – jako „stróż prawa”, atrybut zalegalizowanej przemocy państwa i potencjalnych sankcji nakładanych z mocy prawa przez wymiar sprawiedliwości – jest w państwie niezbędny, by ono skutecznie wypełniało swoją rolę. Wykrywalność przestępstw i nieuchronność kary odgrywają niezwykle ważną rolę. Jeśli ich nie ma, to powstaje przestrzeń dla prywatnych organizacji przemocy wszędzie tam, gdzie państwo abdykuje. Zatem państwo, na całym swym obszarze, musi zadbać o zapewnianie elementarnego bezpieczeństwa, ładu i porządku, przy użyciu środków przymusu.

Ta przemoc nie musi być zawsze fizycznie stosowana?

Nie musi. Wystarczy, że ludzie będą przekonani, że ona – jeśli trzeba – może być użyta i państwo zastosuje ją skutecznie. To zniechęca większość potencjalnych ryzykantów gotowych przekraczać granice. Ale gdybyśmy wyłącznie na przemocy opierali funkcjonowanie państwa, to takie państwo byłoby, po pierwsze, zorganizowane wokół struktur aparatu przemocy, a po drugie – katastrofalnie kosztowne. Czyli z jednej strony odbierałoby ludziom wolność, a z drugiej – musiałoby tych ludzi skrajnie opodatkować, żeby móc ustawić policjanta dosłownie na każdym rogu. Przemoc jest niezwykle kosztowna. To najdroższa forma organizacji państwa.

**Przemoc jest niezwykle kosztowna.
To najdroższa forma organizacji państwa.**

I działa jak spirala.

Dokładnie tak: w im większym stopniu stosujemy przemoc i na przemocy się opieramy, tym więcej zasobów trzeba przeznaczyć na przemoc. To jest nieuchronny proces.

I tu wracamy do marzenia Jacka Kuronia. Które nam się w dużej mierze ziściło.

W istocie rzeczy równie ważne, jak to, co dzieje się w samych

strukturach organizacji państwa, jest to, co możemy zaobserwować w tkance społecznej. I nie chodzi tu o to, czy ja się utożsamiam z prezydentem, czy się nie utożsamiam, tylko bardziej o postrzeganie wszystkiego, co się dzieje wokół mnie, w moim otoczeniu, w mojej społeczności, w mojej gminie – poza opłotkami mego domu.

Czy uważam to za ważne?

Tak. I czy to, co w związku z tym czuję i myślę, jest częścią większego mechanizmu społecznego, w ramach którego mieszkańcy współtworzą i kontrolują kwestie uważane za wspólne, istotne dla ogółu. To może być związane z ich zdrowiem, dobrostanem, komfortem życia, ale też środowiskiem, edukacją, ruchem turystycznym i całą masą innych spraw. To na tym poziomie ustalamy, że mamy takie a takie wspólne cele, a jednocześnie pewnych rzeczy nie robimy. Np. nie wyrzucamy śmieci do lasu czy parku. Nie dlatego, że to będzie karane, ale z tego prostego powodu, że uważamy to za szkodliwe i bezmyślne.

I w ten sposób prawomocne?

Tak! Ludzie stawiają sobie w ten sposób wspólnie pewne drogowskazy. Nie oczekujemy od nich heroizmu, oni chcą być przede wszystkim racjonalni. Niezbędny do tego jest fundament wyobraźni wspólnej. Ona nie zawiera się wyłącznie w wielkich agregatach, jak naród, lud, Polacy i tak dalej, ale też w tych mniejszych, jak „mieszkańcy Szczawny”.

Którzy potrafili się na tyle oddolnie zorganizować, by skutecznie zabiegać o ustanowienie odrębnej gminy.

Tak, to była ciężka walka, ponieważ gmina powstała i w 2015 r. ta decyzja została cofnięta przez PiS. Trzeba było 8 lat i powrotu Platformy Obywatelskiej do współrządzenia, żeby gmina została już faktycznie, a nie tylko na papierze, uruchomiona. Ale to tak

naprawdę pierwszy krok. Teraz mieszkańcy zdecydują, co w tej gminie będzie się działo. Nie mają władzy, którą ktoś przywiózł. Wybrali ją sobie sami i teraz muszą tak współdziałać, dzielić się odpowiedzialnością, aby od formy odświętnej samoorganizacji przejść w fazę samoorganizacji codziennej.

I jest wysoce prawdopodobne, że będą się trzymać prawa i ustalonych zasad nie dlatego, że za złamanie grozi kara, tylko dlatego, że uważają to za słuszne.

Tak, realna samoorganizacja chroni nas przed wszelkimi odmianami obywatelskiej anarchii, która – jak już mówiłem – nie musi być czynna, może być bierna, ale zawsze, zwłaszcza w skrajnych, krytycznych sytuacjach, jest bardzo groźna i niezwykle osłabia państwo.

To porozmawiajmy teraz o komunikacji między władzą a obywatelami oraz komunikowaniu się obywateli między sobą. Przez dekady była to komunikacja bezpośrednia lub za pośrednictwem tradycyjnych mediów. Ale odkąd rozkwitły platformy cyfrowe, większość takiej komunikacji odbywa się przez internet. Czyli w ponad 90 proc. za pośrednictwem narzędzi należących do zagranicznych Big Techów, używających tajemniczych algorytmów i nie poczuwających się do odpowiedzialności za publikowane treści. Sylwia Czubkowska napisała o tym głośną książkę *Bóg Techy*, właśnie robi trzeci dodruk – czyli wielu z nas czuje, że to jest kwestia dramatycznie ważna dla funkcjonowania naszych państw i samorządów, zwłaszcza że algorytmy pomagają wygrywać centralne i lokalne wybory czy referenda tak brzemienne w skutki, jak Brexit. Jeszcze przed pandemią debatowaliśmy na OEES „czy rewolucja cyfrowa zmieni układ sił?”. Dziś to pytanie wydaje się gorętsze niż sześć, siedem lat temu.

Aby na nie odpowiedzieć, musimy powrócić do klasycznego spojrzenia na media. Jeszcze przed erą cyfrową klasyczni badacze mediów zwracali uwagę, że medium nie jest narzędziem, lecz

komunikatem. To samo dotyczy mediów elektronicznych: ktoś stworzył algorytm po coś. Tak go ustawił, że posiada zdolność do systematycznego kontrolowania przekazów. Platformy cyfrowe, z punktu widzenia właścicieli, mają dwie podstawowe funkcje: po pierwsze algorytmy dokonują selekcji treści w ten sposób, że jedne są preferowane, eksponowane i upowszechniane, a inne ha-

Algorytm ma na celu takie działanie, aby pozyskać dla platformy jak najwięcej użytkowników i przykuć jak najdłużej ich aktywną uwagę – bo to przekłada się na wynik finansowy. Mamy tu więc do czynienia z czystą interesownością.

mowane lub w ogóle blokowane, a po drugie – algorytm ma na celu takie działanie, aby pozyskać dla platformy jak najwięcej użytkowników i przykuć jak najdłużej ich aktywną uwagę – bo to przekłada się na wynik finansowy. Mamy tu więc do czynienia z czystą interesownością.

Pod płaszczykiem misji, szerzenia wolności słowa itd.

Właśnie tak. Gdy w rzeczywistości fundamentalnymi cechami platform cyfrowych są interesowność i wyrachowana stronniczość. Obie te cechy intensywnie się przenikają, bo jedna napędza drugą. Im więcej zaangażowanych użytkowników, tym lepiej.

Wiemy, choćby z zeznań skruszonych twórców algorytmów największych platform, że ten cel jest osiągany przez polaryzowanie ludzi, podsuwanie im radykalnych, często nienawistnych treści – dotyczy to także dzieci, które (wedle regulaminów) w ogóle nie powinny mieć dostępu do takich platform. Skrajna polaryzacja prowadzi do powstawania baniek medialnych i przekłada się potem na rozpad więzi społecznych. Nakłada się na to cała masa patologicznych zjawisk „w realu”, których źródłem są patologie w sieci wynikające z interesowności i wyrachowanej stronniczości oraz kompletnej nieodpowiedzialności Big Techów.

Twórcy platform twierdzą, że co do zasady umożliwiają różnym użytkownikom dzielenie się treściami, zapewniając przy tym

nieznany w dziejach poziom wolności słowa. Tymczasem tak naprawdę platformy stały się przestrzenią wojny kulturowej. Tu nie ma żadnej równości w upowszechnianiu treści. O wszystkim decyduje algorytm, który służy zapewnianiu zysków, a nie szerzeniu prawdy. Jak temu zaradzić? Jedne odpowiedzi idą w kierunku funkcjonalnego podzielenia platform, aby żadna nie była podmiotem dominującym. Próby tego typu już w przeszłości podejmowano i one niewiele dały. Jest więc inna odpowiedź: jeśli chcesz funkcjonować w naszej przestrzeni cyfrowej, to musisz nam ujawnić swoje algorytmy, byśmy mogli obserwować, sprawdzać, kontrolować ich działanie. Trzecia odpowiedź sprowadza się do opodatkowania dochodów z platform cyfrowych – proporcjonalnie do tego, ile zarabiają w danym kraju. Ona nie ma de facto żadnego wpływu na rodzaj publikowanych treści. I wreszcie czwarta odpowiedź: wprowadzanie zakazów upowszechniania określonych treści.

Tak naprawdę platformy stały się przestrzenią wojny kulturowej.

Cenzura prewencyjna. Obrońcy wolności słowa – sponsorowani i domorośli – zrugają pana profesora odwołując się do najszczytniejszych i mocno emocjonalnych haseł. Co tam zrugają – zniszczą! Bo w necie się niszczy. Eksperti dość zgodnie postulują kontrolowanie treści, wprowadzenie odpowiedzialności platform za publikowane treści, obowiązek reagowania na określone treści i eliminowanie tych niepożądanych. Ale to budzi kontrowersje i protesty – podsycane przez Big Techy.

Nic nie zastąpi tu krytycznego myślenia – ta kompetencja ma w cyfrowym świecie kluczowe znaczenie.

Zacznę od tego, że również w tym obszarze jestem gorącym zwolennikiem oddolnej samoorganizacji ludzi. W pierwszym kroku ludzie muszą być dobrze przygotowani do świadomego, odpowiedzialnego i bezpiecznego uczestnictwa w świecie cyfrowym. Nic nie zastąpi tu krytycznego myślenia – ta kompetencja ma w cyfrowym świecie kluczowe znaczenie. Równocześnie cyberprzestrzeń

musi się wypełnić wiarygodnymi, zweryfikowanymi zasobami open source, dostępnymi dla wszystkich.

A kto miałby je weryfikować?

Wierzę tutaj w siłę społeczności – choćby takiej, jak ta, która współtworzy Wikipedię czy popularne alternatywne przeglądarki i komunikatory. Taka społeczność dba, by nikt nie narzucał innym treści niespełniających podstawowych standardów, wyłapuje i ujawnia fałsz, kłamstwo, fakenewsy. Wyobrażam sobie również tworzenie alternatywnych platform generujących wartości kulturowe, w których aktywność użytkowników przynosi korzyści, ale te korzyści są rozdzielane wspólnie.

Takie próby były i są podejmowane, a mimo to hegemonia kilku Big Techów wcale nie słabnie. Przeciwnie: one stają się coraz potężniejsze i coraz bardziej wpływowe.

I tu zaczyna się rola państwa. Ono musi zadbać, by nie było hegemonów. Rynek działa o tyle, o ile pozostaje wolny, czyli nie ma na nim graczy monopolizujących jego lwią część, wspomnianych hegemonów. Dziś są. Chodzi o to, by osłabić ich dominację, a wzmocnić powstawanie i rozwój struktur oddolnych, opartych na społecznej samoorganizacji. Państwo ma tutaj do wykonania ogromną robotę. I nie chodzi tu tylko o wąsko rozumianą część cyberprzestrzeni, w której formalnie operują platformy. Ich pole rażenia jest o wiele większe, bo w przenikających się dziś przestrzeniach – realnej i wirtualnej – działa wielu aktorów, których praca jest nieodpłatnie wykorzystywana przez Big Techy do mnożenia zysków i zwiększania przewag na rynku.

I tu zaczyna się rola państwa. Ono musi zadbać, by nie było hegemonów. Rynek działa o tyle, o ile pozostaje wolny (...)

Tak, wiem i piszę, że jestem notorycznie okradany z owoców pracy. I mój pracodawca też. Tworzymy treści, na których zara-

bia koncern mający siedzibę gdzieś daleko i prawie nie płacący w Polsce podatków.

Trwa dyskusja, do jakiego stopnia platformy mają prawo korzystać z efektów np. pańskiej pracy i kto ma pana chronić jako dziennikarza. Nie dla pana i pana firmy, tylko dla dobra nas wszystkich. Jeśli chcemy, żeby dziennikarstwo w ogóle przetrwało i żeby było materialnie niezależne, państwo musi skutecznie zwalczać dominację platform i ich patologiczne praktyki.

A czy możemy sprawić, że platformy staną się w pełni odpowiedzialne za publikowane treści? Postulowała to w tym roku na łamach DGP prof. Agnieszka Gryszczyńska z Prokuratury Krajowej.

Skuteczne działanie w tym obszarze zależy od tego, czy będzie w Polsce szersze zrozumienie i porozumienie. A przecież tak nie jest. Głosy są mocno rozbieżne, ponieważ istnieją – łatwi do wskazania – beneficjenci obecnej sytuacji. Mamy ugrupowania, którym tak rozumiana „wolność słowa”, czyli tak naprawdę sterowana przez algorytmy interesowności i stronniczość, wyraźnie służy.

Bo zyskują na polaryzacji, kłamstwach, maszynowo produkowanych fejkowych wiralach?

Beneficjenci tego mechanizmu będą blokowali wszelkie ograniczenia, próby regulacji platform. Nawet, jeśli ktoś inny będzie uważał je za w pełni zasadne i słuszne. Ale Polska nie jest całkowicie bezradna wobec Big Techów. Gdyby nasze państwo rzeczywiście chciało, to mogłaby eliminować ze swojej przestrzeni pewne formy aktywności i kluczowe rzeczy sankcjonować. Są przecież demokratyczne kraje, które już to robią – właśnie w imię społecznych wartości. I są takie, które zastanawiają się nad radykalnymi ruchami polegającymi na całkowitym odcięciu w swej przestrzeni niektórych platform – tych, które nie przestrzegają określonych zasad i potęgają społeczne zagrożenia.

Można wyłączyć np. Tik Toka?

Można. Oczywiście, nie w pełni to zadziała, bo kto zechce, połączy się pośrednio. Ale nie będzie już takie powszechne, więc nie będzie miało takiej siły oddziaływania. Oczywiście dla mnie jest także to, że niezbędny jest tutaj jakiś rodzaj współdziałania międzynarodowego – sęk w tym, że kluczowe platformy ulokowane są albo w USA, albo w Chinach – a między tymi krajami toczy się mordercza rywalizacja. Ona się rozgrywa także w cyberprzestrzeni.

Obszar mediów cyfrowych, kontroli nad publikowanymi w nich treściami, jest przedmiotem wojny przypominającej klasyczny wyścig zbrojeń.

Tak to wygląda. I w takich okolicznościach najskuteczniejsze byłoby zorganizowane zbiorowe działanie całej Europy. Mamy już wystarczającą wiedzę o tym, jak przestrzeń cyfrowa wpływa na zachowania dzieci, jakie rodzi konsekwencje w świecie dorosłych. Mamy niepokojące przykłady dezintegracji społecznej i porzucenia zasad w takich krajach, jak Niemcy czy Szwecja. Najwyższy czas na skuteczną reakcję, a zarazem kontrofensywę, czyli budowę alternatyw dla komercyjnych platform w postaci takich systemów edukacyjnych, gdzie technika i rozwiązania cyfrowe są dostępne, ale służą propagowaniu wartościowych i bezpiecznych treści wyrastających z europejskiego dorobku cywilizacyjnego.

Pan mówi o systemach edukacyjnych, tymczasem w Polsce w 2025 r. nauczyciele nadal mówią uczniom u progu klasy: wyłączcie komórki. Czy nie powinni raczej zachęcać do włączenia smartfonów i używania szarych komórek w trakcie surfowania w sieci? Nie lepiej uczyć krytycznego myślenia i umiejętności oddzielania w necie ziarna od plew? Czy my aby nie oddaliśmy meczu na cyfrowym boisku walkowerem?

Jest oczywistą rzeczą, że przegraliśmy tę wojnę – bo to jest wojna. Nie chcę powiedzieć, że przegraliśmy ją na pokolenia, ale widzę

takie zagrożenie. Nie znamy jeszcze dalekosiężnych skutków psychicznych socjalizacji ludzi przez media cyfrowe. Ona się cały czas dokonuje. Socjalizacja rodzinna ma określone konsekwencje. Socjalizacja szkolna ma określone konsekwencje. Socjalizacja rówieśnicza ma określone konsekwencje. Tak samo socjalizacja cyfrowa będzie jej miała. I Już je ma.

I co dalej? Czekamy? Działamy? Interweniujemy czy zakładamy, że rynek sam to poukłada?

Musimy poszukać równowagi między tymi formami socjalizacji, bo socjalizacja musi być wielowymiarowa. To wymaga umiejętnego włączania ludzi do pewnego dorobku kulturowego i mentalnego, a nie tylko technologicznego. Korzystanie ze smartfonu nie jest czynnością technologiczną, tylko kulturową. I rodzi konsekwencje cywilizacyjne oraz kulturowe. Nie chodzi mi tylko o uzależnienie od mediów społecznościowych sprawiające – jak każdy rodzaj nałogu – że człowiekiem łatwiej manipulować. Chodzi także o promowanie treści i postaw skrajnych, powiększanie i utrwalanie społecznych podziałów, sianie nienawiści i zamętu...

Korzystanie ze smartfonu nie jest czynnością technologiczną, tylko kulturową.

Współpracuję z czołowymi specjalistami od cyberbezpieczeństwa i oni podkreślają na każdym kroku, że do zasiania zamętu nie potrzeba większości ani nawet dywizji. Wystarczy pluton uzbrojony w technologię, zwłaszcza że AI stwarza coraz większe możliwości masowego tworzenia fałszywych treści i automatycznego rozpowszechniania dezinformacji. Także w kwestiach istotnych dla społeczności lokalnych. Czyli łatwo atakować nie tylko władzę centralną, ale też samorządy bazujące na wartościach: miasto-ideę, gminę-ideę.

Obejrzałem właśnie materiał, który mnie przeraził, również dlatego, że był w nim jakiś groźny autentyzm. To jest reportaż z miejscowości w gminie województwa pomorskiego, w której wójt wraz

Wystarczyło dosłownie parę osób zarażonych ksenofobicznymi treściami, by wznieść chaos i opór.

z gminnym ośrodkiem pomocy społecznej sięgnęli po pieniądze unijne, żeby zbudować bloki z mieszkaniami dla osób z niepełnosprawnością. Skorzystali przy tym z ustawy, która przewiduje także możliwość przeznaczania wybudowanych mieszkań dla uchodźców. Wystarczyło dosłownie parę osób zarażonych ksenofobicznymi treściami rozsiewanymi przez jedną z telewizji oraz sięjących strach i nienawiść polityków, by wznieść chaos i opór. Tłumaczenie wójta, że w gminie są i będą niepełnosprawni, bo społeczeństwo szybko się starzeje, i te mieszkania są po prostu bardzo potrzebne, zostały zakrzyczane przez garstkę agresywnych ludzi głoszących proste hasła: „Przyjdą uchodźcy i będą gwałcić nasze kobiety”. Ludzi podzielających takie poglądy może być dosłownie kilka procent – i jeśli są sfanatyzowani, to wystarczy.

Aby burzyć? Niszczyć?

Tak. I nie chodzi tu o wymiar materialny, bo ten jest wtórny wobec spustoszenia moralnego. Jest grupa ludzi, którzy mają pewne fałszywe wizje świata i przekonania tak mocno i głęboko zakodowane, że żadna perswazja, żadna argumentacja oparta na danych i faktach na nich nie działa.

Bo tu nie chodzi o fakty i rozum, tylko o strach. A on bywa mocno irracjonalny.

Mówimy o rodzaj strachu, za sprawą którego ludzie przestają myśleć. On jest sztucznie wywoływany i podsycany w oczywistych celach. Chodzi o to, by stworzyć wszędzie te wymienione przez pana redaktora plutony – ludzi przerażonych na tyle, by byli całkowicie odporni na wszelkie argumenty, a wszystkich takich, jak ja czy pan, czyli próbujących objaśniać rzeczywistość, przedstawiać jej prawdziwy obraz przywołując dane i fakty, traktowali jako wroga ludu, narodu, społeczeństwa, Polski itd.

Bo my racjonalnymi argumentami burzymy fundamenty ich spójnego obrazu świata, w którym istnieje jasny podział na dobro i zło. I oni zawsze służą dobru, aktywnie go bronią.

Już przed wiekami potrafiono w taki sposób kształtować ludzi, a od stu lat dzięki nowym mediom, zwłaszcza przemysłowi filmowemu, stało się to o niebo łatwiejsze.

Albo raczej o piekło. Weźmy antyarcydziela nazistowskiej propagandy autorstwa Leni Riefenstahl, na czele z Triumfem woli i wcześniejszym Zwycięstwem wiary, będącymi swoistym sprawozdaniem z V zjazdu NSDAP.

Proszę zważyć, że wtedy trzeba było zabrać ludzi do kina, a dzisiaj, za sprawą wszechobecnych obrazów rozpowszechnianych przy użyciu platform społecznościowych i tzw. nowych mediów, które w wielu wypadkach są tak naprawdę ośrodkami PR lub po prostu propagandy, zdecydowanie łatwiej wywołać w ludziach opisany wyżej efekt. Wizualizacje potencjalnych i wyimaginowanych zagrożeń działają na wielu bardzo intensywnie.

Kreują diabła?

Właśnie tak. Ludzie myślący inaczej przestają być oponentami, partnerami do wymiany poglądów czy przeciwnikami politycznymi, a stają się po prostu sługami zła. Diabłami właśnie. I tu wracam do szkoły: edukacja w takich realiach nie może polegać na tym, że odbierzemy młodemu smartfona przy wejściu do szkoły. Owszem, my musimy w szkole robić to, co należy robić w szkole – i to przeważnie wymaga odłożenia smartfonów, ale też musimy nauczyć młodych korzystania z tych smartfonów w sposób świadomy i pożyteczny – do poszukiwania wiarygodnych informacji, do rozwiązywania problemów, do zdrowej komunikacji, do nawiązywania i utrzymywania dobrych relacji z rówieśnikami. A jest tak, że rzeczywistość większości młodych ludzi to „smartfon i ja”.

I to źródło wszechniewiedzy.

Chyba jeszcze ważniejszy od intelektualnego jest tu wymiar emocjonalny, psychiczny. I wynika to nie tylko z wysypu kłamstw i dezinformacji, ale też z tego powodu, że skupienie na wirtualnej rzeczywistości wyłącza, a może i wyklucza ludzi z aktywności w rzeczywistości niewirtualnej, z normalnego życia, z bycia razem, z prawdziwych relacji z innymi, a także pozbawia realnych więzi tworzonych przez rozmowy, gry, zabawy. Wiemy też, że sieć służy do atakowania jednych przez drugich, do poniżania, do siania hejtu...

W mijającym roku milionami ludzi na świecie, także w Polsce, wstrząsnął serial *Dojrzewanie* – o trzynastolatku oskarżonym o zamordowanie koleżanki z klasy. Ten dzieciak okazał się i ka-

Zdajemy sobie sprawę, że nie da się cyfrowego świata, w którym zanurzone są serca i umysły naszych dzieci, ale też wielu z nas, odgrodzić kordonem sanitarnym.

tem, i ofiarą. Rodzice dorastających dzieci oglądali to z przerażeniem, także szukając odpowiedzi na dręczące ich pytania.

My wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie da się cyfrowego świata, w którym zanurzone są serca i umysły naszych dzieci, ale też wielu z nas, odgrodzić kordonem sanitarnym. A to oznacza, że technologie cyfrowe i cyfrowe rozwiązania muszą być w szko-

le obecne – wszakże pod warunkiem, że służy to do budowania i wzmacniania krytycznego myślenia i zdolności współdziałania, a także do budzenia refleksji etycznej.

Miasto-idea w okowach centralizacji

Opowieść siódma:

o arcyważnej roli samoorganizacji
społecznej, czyli o tym, że nie wystarczy
przeprowadzać wybory do samorządów,
żeby funkcjonowała samorządność



- Centralizm jest centralizmem, czyli raz przekroczona granica staje się nową normą
- Dlaczego powiodła się walka ze smogiem w Krakowie
- Realny wpływ mieszkańców na funkcjonowanie samorządu vs układ zamknięty
- Podtrzymywalność zamiast zrównoważonego rozwoju
- Warszawa, Kraków, Gdańsk, Wrocław, Poznań i inne duże miasta wysysają świeżą krew z mniejszych ośrodków – co robić
- Jak tworzyć archipelagi rozwoju
- Zazielenianie miasta nie polega na sadzeniu drzew

Mówimy tyle o idei oddolnej samoorganizacji, o zasadzie pomocniczości zapisanej wprost w preambule polskiej konstytucji, a tymczasem w trudnych czasach (swoją drogą: kiedy one są łatwe?) – politycy często sięgają po taki koronny argument, że im większe wyzwania, tym sprawniejsze musi być państwo. Sprowadza się to w praktyce do sięgania lub prób sięgnięcia przez władzę centralną po jeszcze więcej władzy. Teraz centralizacja odbywa się pod hasłem zapewnienia bezpieczeństwa oraz odbudowy demokracji.

Pokusa centralizacji faktycznie rośnie w sytuacjach kryzysowych. Politycy, niezależnie od deklarowanego przywiązania do demokracji, bardzo często uzasadniają koncentrację władzy właśnie koniecznością sprawnego działania czy ochrony przed zagrożeniem. Często wykorzystują te zagrożenia, by legitymizować działania, które w innych warunkach zostałyby uznane za niedemokratyczne. W istocie ta droga prowadzi zawsze ku autorytaryzmowi, jednowładztwu.

No dobrze, ale jeśli mamy taką sytuację, jak w Polsce: demokraci tłumaczą, że poprzednicy wyłączyli lub zniszczyli wiele mechanizmów demokratycznych i trzeba je przywrócić, ale nie da się tego szybko i sprawnie zrobić, że tak powiem, w białych rękawiczkach... Mają inny wybór?

Mają. To wybór pomiędzy łatwą ścieżką na skróty a trudniejszą ścieżką odwołania się do wartości. W Polsce nieliczni decydują się podążać tą drugą – wymaga ona konsekwencji, wyobraźni i cierpliwości. Przywracanie praworządności metodami niepraworządnymi – to błąd, który ostatecznie prowadzi do erozji społecznego zaufania do państwowych instytucji.

A nie można tłumaczyć przywracania praworządności niepraworządnymi metodami wyższą koniecznością?

Jestem przeciwnikiem takiego myślenia. Adam Bodnar, jako minister sprawiedliwości, a wcześniej jako Rzecznik Praw Obywatelskich, wielokrotnie podkreślał – i słusznie – że walka o praworządność, nawet w imię szczytnych celów, prowadzona metodami łamiącymi zasady państwa prawa, jest przeciwnie skuteczna, ponieważ prowadzi do podważenia fundamentów systemu.

Ale krocząc tą drogą napotykamy co chwila na bariery, na mur niemożności: weta prezydenta, blokady instytucjonalne, sabotaż ze strony polityków poumieszczanych przez antydemokratyczne siły w kluczowych instytucjach i całkowicie wypaczających sens działania tych instytucji – i to w ujęciu konstytucyjnym. No i są jeszcze zniecierpliwieni wyborcy żądający efektów – na już!

To prawda, powodów wzmacniających pokusę sięgnięcia po środki nadzwyczajne jest całe mnóstwo. Problem w tym, że raz przekroczona granica staje się nową normą. Z centralizmu trudno się cofnąć.

Raz przekroczona granica staje się nową normą. Z centralizmu trudno się cofnąć.

Z wszelkimi tego konsekwencjami. Trzeba uczciwie przyznać, że jeśli przyjrzymy się dziejom III RP, to zobaczymy, że narzędzia centralistyczne stosowały i stosują zarówno formacje jawnie autorytarne, jak i te, które deklarują przywiązanie do demokracji,

ale w praktyce kontrolują samorządy pod pozorem decentralizacji – przekazując zadania, ale nie dając środków i narzędzi do ich realizacji. Taki proceder sprawia, że władza samorządowa staje się atrapą.

To tragiczne, bo przecież my jesteśmy w Polsce bardzo dumni ze swojej reformy samorządowej z 1990 r. i późniejszych jej etapów. Pan profesor też wiele razy powtarzał, że sukces sprzed trzydziści pięciu lat zawdzięczamy w ogromnej mierze, obok rozkwitu przedsiębiorczości, właśnie samorządom, które wzięły sprawy w swoje ręce.

Autentyczna samorządność zaczyna się od aktywności obywatelskiej, od samoorganizacji społecznej.

Nie wystarczy przeprowadzać wybory do samorządów, żeby funkcjonowała samorządność. Autentyczna, a nie tylko formalna samorządność zaczyna się od aktywności obywatelskiej, od samoorganizacji społecznej. Samorząd rozumiany jako wspólnota mieszkańców rodzi się i rozkwita, kiedy mieszkańcy, poprzez inicjatywy, organizacje pozarządowe, gremia obywatelskie naprawdę współdecydują o swoim otoczeniu.

Jak rady rodziców w gminnych szkołach?

Dobrze, że pan przywołał ten przykład. Tak, rada rodziców w szkole może być przejawem i formą oddolnej samoorganizacji – ale tylko wtedy, kiedy faktycznie działa i spełnia swą funkcję kontrolną i prezentuje swą opinię oraz wolę, a nie przypomina bardziej radę parafialną, która w Polsce bywa często tylko narzędziem proboszcza do kontrolowania parafian. Nasz model samorządu został nadany odgórnie, a nie wyrósł oddolnie. Dlatego brak mu zakorzenienia społecznego, tradycji i praktyki samoorganizacji – zbyt często traktujemy samorząd jak instytucję państwową, a nie wspólnotę mieszkańców.

Nasz model samorządu został nadany odgórnie, a nie wyrósł oddolnie.

Jak kiedyś lokalne rady narodowe będące de facto niższym szczeblem centralnej administracji?

Chociaż samorząd terytorialny przyczynił się do rozwoju wielu polskich miast, to jego największa siła tkwi przede wszystkim

w oddolnej aktywności społeczeństwa. Świetnym przykładem jest walka ze smogiem w Krakowie – jej sukces wynika z samoorganizacji mieszkańców, a nie z odgórnych decyzji politycznych.

A może to nieprzypadkowo właśnie w Krakowie powstała taka oddolna inicjatywa?

Powiedziałem, że Polska nie ma tradycji samorządności – bo przecież w II RP de facto tej samorządności nie było; może mnie ktoś przekonywać, że jednak była, ale odpowiem, za przeproszeniem, że guzik prawda. Owszem, mieliśmy porządek demokratyczny na poziomie parlamentarnym w większości okresu międzywojennego, ale samorząd terytorialny to jest dla nas pewna nowość. Choć

**Walka ze smogiem
wynika właśnie
z samoświadomości,
a nie z arbitralnej
decyzji jaśnie
oświeconej władzy.**

nie wszędzie. Możemy przywoływać np. doświadczenia galicyjskie: Kraków miał, jeśli nawet ułomną, to jednak autonomię i samorządność w okresie austriackim. Wiemy, jak się rozwijał, mając takich prezydentów, jak Józef Dietl czy Juliusz Leo. To był samorząd miejski na miarę ówczesnej monarchii austro-węgierskiej. I odegrał ogromnie po-

zytywną rolę. Zresztą, można to odnieść także do Wiednia i Budapesztu. Wiec faktycznie w Krakowie trochę lepiej wiemy, bo mamy to niejako we krwi, czym jest prawdziwy samorząd terytorialny i jak wielkie znaczenie odgrywa samogospodarzenie. Walka ze smogiem wynika właśnie z samoświadomości, a nie z arbitralnej decyzji jaśnie oświeconej władzy.

Równolegle mieliśmy w Krakowie „epokę Jacka Majchrowskiego”. Historia ją oceni, ale faktem jest, że to były całe 22 lata rządów jednej osoby. Czy wprowadzenie limitu dwóch kadencji na stanowisku prezydenta, wójta, burmistrza wzmocniło samorządność rozumianą jako samorządzenie się?

Sprawa jest skomplikowana. Z jednej strony zwiększyła się rotacja na stanowiskach, co otworzyło szanse dla nowych kandydatów

i nadało samorządom nową dynamikę. Ale to nie rozwiązało fundamentalnego problemu, jakim są słabe mechanizmy kontroli obywatelskiej. W małych gminach, poprzez synekury i układy nieformalne, łatwo tworzy się i utrwała system samowybieralności władzy. Taki system oznacza często zabetonowanie władzy na wiele lat. Słyszymy głosy, że dwukadencyjność niewiele daje, ale w istocie nie o to chodzi czy jest limit, czy nie ma limitu kadencji, tylko czy istnieje realny wpływ mieszkańców na funkcjonowanie samorządu, by nie powstał układ zamknięty.

Jak wzmocnić ten wpływ?

Potrzebujemy rozwoju mechanizmów partycypacji, konsultacji społecznych, rad osiedlowych, inicjatyw obywatelskich. Przede wszystkim – edukacji obywatelskiej i budowania kultury wspólnoty. Bez tego nie ma mowy o autentycznej samorządności. Jest administracja lokalna, a to nie to samo.

Na razie jednak mamy wójtów, burmistrzów, prezydentów z silnym mandatem pochodzącym z wyborów bezpośrednich. Równocześnie oni często twierdzą, że tak naprawdę niewiele mogą: częściowo z powodów, o których pan wspomniał, czyli centralizacyjnych ciągłotek władzy centralnej i braku środków, a częściowo za sprawą procesów demograficznych i gospodarczych. Zwłaszcza tego, że społeczeństwo szybko się starzeje, a w dodatku Polacy, a zwłaszcza Polki, wyjeżdżają do dużych miast – Warszawa, Kraków, Gdańsk, Wrocław, Poznań itd. wysysają świeżą krew z mniejszych ośrodków. Pytają mnie burmistrzowie, wójtowie, ale też marszałkowie województw, jak w takich realiach realizować ideę zrównoważonego rozwoju opartego na wartościach i długofalowym myśleniu, a nie tylko na korzyściach tu i teraz, od wyborów do wyborów?

Najpierw wyjaśnię, że bez zaciętrzewienia podważam pojęcie „zrównoważony rozwój”. Uważam je za mocno nietrafione tłumaczenie angielskiego sustainable development, w którym nie chodzi

przecież o dążenie do równowagi, tylko o podtrzymywalność rozwoju. Powtarzam: podtrzymywalność – to jest klucz. Zmiana rozwojowa nigdy nie jest statyczna, zawsze jest dynamiczna i strukturalna, modyfikuje proporcje pomiędzy różnymi elementami naszej rzeczywistości. Powinniśmy robić wszystko, aby żaden element nie zdobył pozycji dominującej kosztem innych.

Na przykład?

Podam taki: rozwój przemysłu jest pożądaný, ale nie wtedy, gdy mamy do czynienia z monokulturą, bo ta obraca się w wielu aspektach przeciwko mieszkańcom; rozwój rolnictwa jest pożądaný, ale nie wtedy, gdy ono dramatycznie góruje, bo wtedy w okolicy zwyczajnie nie da się żyć; rozwój infrastruktury jest generalnie korzystny, ale nie wtedy, gdy prowadzi do zniszczenia środowiska, bo konsekwencją będzie zapaść, regres. W ostatnich latach skoncentrowaliśmy się w Polsce na infrastrukturze

Wyzwaniem jest takie kształtowanie rozwoju wielkich miast, by nie prowadziło to do wyniszczenia mniejszych ośrodków.

komunikacyjnej, ale nadmierna koncentracja na tym zadaniu nie doprowadziła do tego, że skróciliśmy dystans komunikacyjny i społeczny – bo im więcej wybudowaliśmy dróg i im więcej wprowadziliśmy ułatwień dla transportu samochodowego, tym więcej mieliśmy korków i dłużej w nich sta-

liśmy. To jest doświadczenie bardzo wielu miast, które się nam porozlewały. Czy warunki życia się dzięki temu poprawiały? Nie. Co więcej, koszty utrzymania infrastruktury gwałtownie wzrosły. Natomiast to, że utalentowani ludzie migrują do wielkich miast – po wykształcenie, kontakt z kulturą, lepszą pracę – jest naturalnym procesem i nie wyobrażam sobie walki z tym.

To mamy to zostawić, jak jest? Puścić na żywioł?

Wyzwaniem jest takie kształtowanie rozwoju wielkich miast, by nie prowadziło to do wyniszczenia mniejszych ośrodków. Trzeba traktować miasta i regiony jak archipelag – system powiązanych ze sobą

miejsc, które mogą się wzajemnie wzmacniać, a nie osłabiać. Paryż przez lata drenował Francję, Budapeszt Węgry – nie chcemy, by Kraków czy Warszawa powielały te błędy.

A czy można zaproponować jakiś uniwersalny wzór rozwoju miasta?

Bardzo bawią mnie wszyscy, którzy jeżdżą po świecie, żeby podpatrywać rozwiązania i przenosić je do Polski w skali 1 do 1. Oraz ci, którzy jako eksperci proponują takie same recepty w Bernie i Brnie. Tymczasem nie istnieje uniwersalny wzór ani model rozwoju i nigdy go nie będzie, ponieważ miasta bardzo się od siebie różnią w wielu aspektach funkcjonalnych i przestrzennych. Każde z nich musi więc znaleźć własną ścieżkę, własną ideę rozwojową, odpowiadając na lokalne potrzeby i próbując jak najlepiej wykorzystywać realny potencjał mieszkańców. Nie chodzi o kopiowanie rozwiązań z Berlina w Bergen. Trzeba przy tym pamiętać, że wąskie technokratyczne spojrzenie może prowadzić do przeoczenia wielu kluczowych kwestii. Inwestycje w infrastrukturę nie wystarczą, jeśli nie będą służyły poprawie jakości życia, a więc także np. adaptacji do zmian klimatycznych oraz wzmacnianiu lokalnych wspólnot, tworzeniu i powiększaniu przestrzeni do oddolnej samoorganizacji.

Inwestycje w infrastrukturę nie wystarczą, jeśli nie będą służyły poprawie jakości życia (...)

Największe polskie miasta chwalą się, że są zielone jak nigdy.

I świetnie. Ale ustanawianie rekordowej liczby obszarów zielonych nie wystarczy, jeśli nie pomyślimy o ich jakości i w parze z nimi nie pojawi się dobra edukacja na temat tego, po co w ogóle je tworzymy. Potrzebna jest też powszechna świadomość zagrożeń, wiedza o gatunkach ginących i inwazyjnych, o konsekwencjach zmian klimatu. Zazielenianie miasta nie polega na sadzeniu drzew. Ono bardziej polega na krzewieniu

Zazielenianie miasta nie polega na sadzeniu drzew.

wiedzy i podnoszeniu kompetencji mieszkańców w obszarze klimatu i środowiska. Sadzenie drzew będzie naturalną konsekwencją większej świadomości obywateli.

Powiedział pan, że nie powinniśmy powielać błędów Berlina czy Budapesztu, a czy możemy nie powtórzyć trajektorii Barcelony i innych ośrodków zapadających się pod ciężarem turystów?

Mamy tu do czynienia właśnie ze szkodliwą dominacją jednego elementu – kosztem innych. Jeśli mieszkańcy są całkowicie wypychani

Zdominowane przez sektor turystyczny miasto przestaje być miejscem do życia, a staje się produktem.

z historycznych centrów miast, a ich potencjał twórczy jest przez to tłumiony, jeśli cele turystyki i sektora hotelarskiego górują nad innymi, to rozwój miasta ulega zahamowaniu. Co więcej, zdominowane przez sektor turystyczny miasto przestaje być miejscem do życia, a staje się produktem. Prawo

do miasta to nie jest czcza deklaracja – ono oznacza realną możliwość wpływania przez mieszkańców na rozwój i kształt swojego otoczenia. Jeśli tego nie ma, to prawo do miasta zostaje im odebrane.

A jak powinna wyglądać relacja dużego miasta z otaczającymi je gminami?

To bardzo ważne pytanie. Była i jest w Polsce i na świecie tendencja do podboju terenów gmin położonych na przedmieściach. Mieszkańcy tych gmin sprzeciwiają się wielu pomysłom metropolitarnym, bo chcą żyć po swojemu. Sposobem na złamanie tego sprzeciwu ma być poszerzenie granic miasta. Problem w tym, że samo przejmowanie terenów czy zasobów bez uwzględnienia interesów lokalnych społeczności prowadzi do konfliktów i – w konsekwencji – do regresu, a nie rozwoju. Model obszaru metropolitalnego jest sensowny tylko wtedy, gdy opiera się na współpracy i negocjacji, nie na narzucaniu rozwiązań. To dotyczy edukacji, gospodarki wodnej, transportu i innych obszarów – musimy myśleć w kategoriach funkcjonalnej spójności całego obszaru.

Mamy w Polsce duże ośrodki oddziałujące na okolicę, a jednocześnie położone bardzo blisko siebie. Weźmy Warszawę i Łódź, Kraków i Katowice. One powinny ze sobą ostro konkurować, by w konsekwencji jedno rozwijało się kosztem drugiego, czy raczej tworzyć układy dwubiegunowe?

Myślenie, że jedno miasto może dominować nad innymi drenując otoczenie, jest bardzo krótkowzroczne. Jaka jest podtrzymalność takiego modelu rozwoju? Żadna. Musimy postawić na wzajemne wzmacnianie się miast – niech każde rozwija swoje unikatowe kompetencje i specjalizacje, a jednocześnie współpracuje z innymi. Jeśli spojrzymy szerzej, poza opłotki miast, ale także poza granice Polski, zrozumiemy, że tylko rozwijając się w ten sposób możemy przetrwać presję globalnych wyzwań i globalnej konkurencji.

Jako część większego archipelagu?

To określenie jest mi bardzo bliskie i często go używam. Np. miasta Małopolski powinny być przez nas wszystkich traktowane właśnie jako archipelag, a nie jako kontynent, w którym dominuje największe miasto drenujące wszystkich. Wspomniałem o Paryżu czy Budapeszcie. Paryż przez lata osłabiał wszystko, co było w oddali i blisko, czyli osłabiał Francję. Budapeszt osłabiał Węgry. Warszawa ze względu na to, że mamy całkiem inny układ miast i regionów, nigdy takiej roli nie odgrywała, aczkolwiek w wielu dziedzinach sporo miast cierpi – a klasycznym przykładem jest Łódź. I znowu – powinniśmy patrzeć na te miasta, Warszawę i Łódź oraz wszystkie pozostałe, jako część archipelagu pod nazwą Polska. Dla żadnego z nich nie jest na dłuższą metę korzystne osłabianie innych. Aglomeracja śląska i krakowska potrzebują siebie nawzajem, aglomeracja warszawska i łódzka – tak samo. Zastanówmy się, jak działać, by wzajemnie sobie służyły, wspierały się wzajemnie, a nie osłabiały.

Zastanówmy się, jak działać, by aglomeracje wzajemnie sobie służyły, wspierały się wzajemnie, a nie osłabiały.

Tym bardziej, że – co mocno wybrzmiało już na kilku OEES – każde z miast, a nawet każda mała gmina, mierzy się także z wielkimi wyzwaniami wynikającymi z trendów i zagrożeń globalnych.

Dokładnie tak. Są oddziaływania, których siła globalna jest tak duża, że żaden ośrodek, nawet najprężniejszy, samodzielnie się im nie przeciwstawi. Są zjawiska, które nie mają granic – np. związa-

Samorząd musi myśleć szerzej. I zarazem musi być rozumiany szerzej.

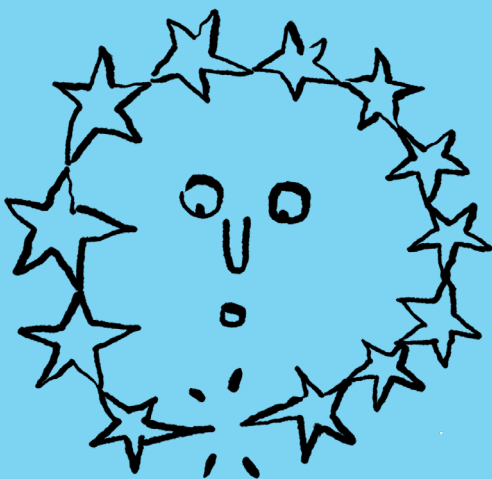
ne z klimatem i środowiskiem. Czy Kraków może myśleć o Wiśle w kategoriach odcinka rzeki znajdującego się na jego terenie? Albo czy może tak myśleć o ujęciach wody pitnej dla mieszkańców? Samorząd musi

myśleć szerzej. I zarazem musi być rozumiany szerzej. Powtarzam: kluczowe jest w tym wszystkim włączanie obywateli w decydowanie o sobie, tworzenie przestrzeni dla ich oddolnej samoorganizacji i wzmacnianie w ten sposób potencjału twórczego mieszkańców oraz realnych mechanizmów ich partycypacji w (samo)rządzeniu. Bez tego nie powstanie żadna prawdziwa wspólnota, a rozwój będzie chaotycznym rozrostem.

Europa – idea atakowana z zewnątrz i od środka

Opowieść ósma:

o tym, gdzie się podziła dusza
Starego Kontynentu i czy można
w nią tchnąć nowego ducha



- Skąd się wziął cywilizacyjny sukces Polski?
- Imigracja, czyli kto i dlaczego marzy o życiu w Unii Europejskiej
- Rozszerzenie Unii: kto pragnie, kto się nadaje
- Nieaktualne *polnische wirtschaft* i niemieckie *kaput*
- Dlaczego Polacy przestali masowo wyjeżdżać po 200 latach wielkich emigracji?
- Integracja Europy jako remedium na krwawe wojny i alternatywa dla kolonializmu
- Polska to nie Minnesota. Dlaczego Stany Zjednoczone Europy to totalna mrzonka?
- Pułapki nacjonalizmu. Kim jest „Polak z krwi i kości” i skąd się wziął Hausner?
- *Work-first state* zamiast *welfare state*
- Na Chiny i USA w pojedynkę czy razem?

Wszyscy mówią o kryzysie Europy, o utracie jej konkurencyjności, o malejącym udziale w globalnej gospodarce. Wielu, także w Polsce, stawia za wzór USA. Tymczasem fakty są takie, że jeśli spojrzymy na PKB na głowę mierzone z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej (PPP), to okaże się, że w XXI wieku Unia Europejska zmniejszyła dystans do USA, mimo że w tym czasie przyjęła trzynastkę (13!), często wyraźnie biedniejszych, państw – w tym Polskę, Rumunię i Bułgarię, a utraciła mocną Wielką Brytanię. W całej nowo przyjętej części Europy wartość PKB się potroiła, co oznacza sukces konwergencji i doganianie bogatych, a poziom życia skokowo się poprawił. Co istotne – wbrew wszelkim stereotypom, manipulacjom i kłamstwom europejskich ksenofobów i trolli Putina – ten skok, np. Polski z 33 do ponad 60 proc. PKB per capita, w USA dokonał się niejako „kosztem” mieszkańców Europy Zachodniej, którzy jako jedyni w całym zestawieniu stracili dystans do Ameryki (z 84 proc. do 76 proc. PKB na głowę w USA). Stało się to zgodnie ze świętą europejską zasadą wyrównywania poziomów – kompletnie nieznaną lub pogardzaną w USA. Zarazem wszystkie nasze kraje awansowały w *Human Development Index* do globalnej ekstraklasy. Mówimy więc o kryzysie Europy, a jednocześnie miliony ludzi chcą się do Europy dostać, żeby tu zamieszkać – i dotyczy to także Amerykanów czy – z drugiej strony – Chińczyków i Rosjan. Co więcej, wiele krajów chciałoby przystąpić do tej „pogrążonej w problemach UE”. Skąd ten dysonans?

Presja imigracyjna na UE i chęć przystąpienia do UE to są zjawiska zbieżne, ale nie tożsame. Dlaczego ludzie przybywają do Europy? Działa tu sprzężenie dwóch motywów: ludzie od czegoś uciekają i do czegoś dążą. Największa fala migracyjna jest z krajów objętych konfliktami, wojną. Bliski Wschód – Syria, Liban, Palestyna, to jest północna część Afryki, ale też Afryka subsaharyjska, to jest Afganistan. Niektóre kraje świata, zwłaszcza w Afryce, to państwa upadłe, jak Somalia. Ludzie uciekają stamtąd, bo zagrożone jest ich życie. Na to nakłada się marzenie o poprawie warunków materialnych. Europa jawiła się dotąd i wciąż jawi milionom ludzi jako kontynent dobrobytu, porządku i bezpieczeństwa – w szerokim tego słowa znaczeniu, od bezpieczeństwa osobistego po bezpieczeństwo kulturowe.

A czym się różni obecna wędrownia ludów do Europy od wędrowni z minionych epok?

Podstawowa różnica jest taka, że kiedyś, zwłaszcza w Średniowieczu i potem, aż do XVIII wieku, Europa była najeżdżana przez obce armie – przykładem jest ekspansja Imperium Osmańskiego, które zajęło nie tylko większość Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, ale też kawał południowo-wschodniej Europy. Dziś do Europy nie wkraczają armie, tylko – ludy. Dla większości z tych, którzy uciekają, może z wyjątkiem Afgańczyków czy Czeczenów, Europa jest blisko. Nie tylko pod względem geograficznym, ale też językowym – wielu migrantów wywodzi się z dawnych kolonii i zmierza do dawnych metropolii, jak Francja, Belgia, Włochy, a poza UE – Wielka Brytania. Wśród tych, którzy do czegoś dążą, czyli chcą poprawić swój materialny poziom życia, mamy przybyszy zarówno z tych bliższych krajów, jak i z dalekich, jak Filipiny czy Kolumbia. W Danii filipińskie opiekunki pełną taką rolę jak w Polsce ukraińskie.

A dlaczego tyle państw chce wejść do Unii Europejskiej?

Tu także myślenie przebiega przynajmniej dwutorowo: aspirujący chcą coś uzyskać, ale też przed czymś się zabezpieczyć. Weźmy Mołdawię. Dla niej wejście do Unii Europejskiej jest elementem

strategii bezpieczeństwa. Polska postrzegała NATO jako gwaranta bezpieczeństwa militarnego, a Unię Europejską jako gwaranta bezpieczeństwa gospodarczego – jedno z drugim szło w parze. Przynależność do UE miała nas zabezpieczyć przed losem obszaru leżącego pośrodku i ulegającego ciągle zagrożeniom ze Wschodu, głównie z Rosji, ale też Białorusi będącej wasalem Kremla. Był to zatem wybór strategiczny, który dawał nam także dostęp do wielkiego rynku, czyli stwarzał możliwości eksportowe, oraz włączał w system wspierania rozwoju oparty na zasadzie solidaryzmu: bogatsi składają się na budżet, który służy realizacji działań dostosowawczych podejmowanych przez tych biedniejszych.

Polska postrzegała NATO jako gwaranta bezpieczeństwa militarnego, a Unię Europejską jako gwaranta bezpieczeństwa gospodarczego – jedno z drugim szło w parze.

A tu bardziej ważyły te pieniądze czy zasady, jakie trzeba spełnić?

W przestrzeni publicznej mamy na pierwszym planie pieniądze, ale tak naprawdę dla rozwoju oraz zabezpieczenia przed wspomnianymi zagrożeniami ze Wschodu największe znaczenie mają pewne wspólne wartości i standardy. Członkostwo w UE wymaga spełnienia określonych wymogów infrastrukturalnych i technicznych, ale też prawnych i – można rzec – cywilizacyjnych.

Np. zwalczanie korupcji w przetargach poprzez ustanowienie przejrzystych standardów. I poddanie się orzecznictwu sądu UE, w tym Trybunału Sprawiedliwości UE.

Członkostwo w UE wymaga spełnienia określonych wymogów infrastrukturalnych i technicznych, ale też prawnych i – można rzec – cywilizacyjnych.

I przyjęcie tych standardów oznacza, że jest się częścią pewnego uporządkowanego obszaru prawnego i gospodarczego, o wysokiej wiarygodności i przejrzystych zasadach, przewidywalnego, bardzo ułatwiającego prowadzenie działalności gospodarczej oraz pozyskiwanie kapitału, a także know-how potrzebnego do rozwoju.

Unijne regulacje nie zabijają działalności gospodarczej tylko ją chronią?

Stwierdzam tylko i aż, że to nie jest dziki rynek, tylko rynek uregulowany. Czasem przeregulowany. Oczywiście, można prowadzić działalność gospodarczą np. na Ukrainie. Pomijam tu aspekt wojny i zagrożenia, ale mamy tam do czynienia z wysokim poziomem ryzyka gospodarczego wynikającego z braku przejrzystych zasad i braku regulacji lub nieskuteczności tych regulacji. Poziom skorumpowania jest tam tak wysoki, że tylko specyficzne rodzaje biznesu miały szansę trwałego zakorzenienia się – kto próbował tam prowadzić działalność, doskonale wie, że jest gigantyczna różnica między tym, w istocie wschodnim, porządkiem a porządkiem UE.

Ja bym się z tą przejrzystością regulacji i obowiązujących w krajach UE zasad nie do końca zgodził.

Oczywiście, że ten nasz zachodni porządek nie jest idealny. Ale nawet jeśli uznamy, że nie wszystkie rozwiązania wspólnego rynku są wystarczająco symetryczne, czy – jak kto woli – sprawiedliwe, oraz że są kraje, które mają lepszy dostęp do urzędników brukselskich i całej maszyny legislacyjno-decyzyjnej, a inne mają ten dostęp wyraźnie gorszy, to nie sposób zaprzeczyć, że mamy tu do czynienia z przestrzenią gospodarczą, która jest uregulowana i względnie stabilna – w tym sensie, że oferuje relatywnie czytelne i przejrzyste zasady, w ramach których można się poruszać, prowadzić działalność, planować inwestycje itd.

Ale Unia ma też swoją wewnętrzną dynamikę, tarcia, zaskakujące nieraz zmiany w temperaturze debat. I w tych dyskusjach często wszystko jest na wierzchu. O tysiącach poruszanych kwestii rzadko mówimy jednym głosem. To się wszystko moźlnie uciera...

Ale czy to jest wada, czy zaleta? Europa jest tworem dynamicznym, tkwiącym w nieustannym procesie redefinicji. Nigdy nie była

monolitem, lecz żywą, pulsującą siecią interesów, wartości, aspiracji, ale także lęków, rozczarowań i ambicji. Przełomowe momenty, jak ten obecny, nie tyle zmuszają nas do rewizji celów, ile do pogłębionej refleksji nad tym, co nas łączy i co naprawdę może dać nam przewagę i siłę rozwojową. Ta refleksja dokonuje się w nieraz zaskakujących okolicznościach. Weźmy Niemców, którzy przez długie lata mówili z przekąsem o polnische wirtschaft – to był synonim skrajnej niegospodarności oraz bałaganu – a dziś to oni sami zaczęli uchodzić za taki negatywny wzór, gdy my staliśmy się od tego stereotypu bardzo odlegli... Mówię tu nie tylko o spowolnieniu gospodarczym...

Europa jest tworem dynamicznym, tkwiącym w nieustannym procesie redefinicji.

Wolfgang Munchau w bestsellerowym *Kaput* obwieszcza nawet „koniec niemieckiego cudu gospodarczego”.

Tak, ale chodzi też o wiele problemów społecznych, cywilizacyjnych, w tym konfliktów i napięć rozsadzających państwo. Podobne procesy zachodzą też w innych krajach UE. Mimo to Europa pozostaje atrakcyjna zarówno dla milionów ludzi, którzy chcą tu odnaleźć bezpieczne i dostatnie życie, jak i dla państw pragnących stać się częścią tego organizmu. Atrakcyjność Europy wynika nie tylko ze względnego dobrobytu, bezpieczeństwa oraz wciąż wysokiej stabilności politycznej i społecznej, ale też historycznej roli kontynentu jako źródła idei, cywilizacji, praw człowieka. Z tego powodu, nawet jeśli w mediach wybrzmiewają głosy rozczarowanych, to nie można pominąć faktu, że tysiące ludzi każdego dnia podejmuje świadome ryzyko, by tu przyjechać, tu budować swoją przyszłość, i tu dbać o rodzinę i karierę. To także efekt soft power — siły kultury, edukacji, nauki, europejskiego modelu państwa opiekuńczego, sprawnych instytucji, które, choć krytykowane, są podstawą rozwoju. Unia przyciąga, bo jest wspólną szansą, nie tylko materialnych, ale także rozwojowych.

Europa pozostaje atrakcyjna zarówno dla milionów ludzi (...) jak i dla państw pragnących stać się częścią tego organizmu.

To co z tą Mołdawią? I co z Ukrainą?

Dla nich przystąpienie do Unii jest, jak kiedyś dla nas, kwestią strategiczną. Oznacza nie tylko bezpieczeństwo przed agresją zewnętrzną, lecz także szansę na stabilizację instytucjonalną, modernizację gospodarki, podniesienie standardów życia. Europa jest dla nich obietnicą i konkretnym zadaniem, jak kiedyś dla Polski. Polska jest zresztą przypadkiem mocno działającym na wyobraźnię krajów i społeczeństw aspirujących do Unii. Myśmy byli przecież przez całą epokę krajem o bardzo wysokim poziomie emigracji.

Jeśli liczyć od upadku powstania listopadowego, czyli Wielkiej Emigracji po 1831 roku, trwało to, bagatela, 180 lat. Były kolejne fale w XIX i na początku XX wieku, były w okresie międzywojennym, a potem po II wojnie światowej i w okresie PRL-u, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego. I wreszcie masowe wyjazdy na Zachód w pierwszych dwóch dekadach III RP.

Przypominam sobie lata 80., gdy niemal wszyscy uczestnicy moich seminariów magisterskich wyemigrowali. I potem lata 90., gdy zaczęliśmy być źródłem zasobów pracy dla wielu krajów, od Niemiec po Wielką Brytanię. Polskę opuszczali ludzie z wysokimi kwalifikacjami – żeby zbierać truskawki czy szparagi, pracować fizycznie na budowach, sprzątać pokoje w hotelach, rozlewać piwo po barach. Ludzie po studiach, ze stopniami naukowymi, wykonywali najprostsze prace. Tego typu drenaż ustał. Owszem, nasi specjaliści, zwłaszcza informatycy, ludzie związani z technologiami cyfrowymi, a także lekarze, ciągle jednak z Polski emigrują – mimo relatywnie bardzo wysokich wynagrodzeń – i to musi niepokoić.

Ale dekadę temu przestaliśmy być krajem emigracyjnym i staliśmy się imigracyjnym, o mocno dodatnim saldzie migracji zagranicznych. A od dwóch lat także więcej Polek i Polaków wraca do kraju niż wyjeżdża.

Nie cierpimy już za sprawą ciągłego upływu świeżej krwi, który odczuwaliśmy tak boleśnie przez dwa stulecia. On był spowodowany nie tylko przez emigrację, ale i wojny, przez zbrodnie Niemców – weźmy długofalowe skutki II wojny, w tym powstania warszawskiego, oraz Rosjan. To naprawdę wielka sprawa, że ten odpływ został zatrzymany. Jestem jak najdalej od pokazywania Polski jako kraju mlekiem i miodem płynącego – mamy mnóstwo problemów i dość ograniczone zdolności sprostanienia wyzwaniom – ale trzeba jasno powiedzieć, że nasz kraj relatywnie szybko się zmienia, rozwija i stwarza ludziom wiele szans. Choć rozkład tych szans jest wciąż mocno nierówny, to z tego, że zatrzymaliśmy wieloletni odpływ krwi, trzeba się cieszyć.

Nasz kraj relatywnie szybko się zmienia, rozwija i stwarza ludziom wiele szans.

Niemcy się nie cieszą. Brytyjczycy też tęsknią za porządną polską siłą roboczą.

Spójrzmy na to – znowu – szerzej. Największe kraje, które stworzyły Unię Europejską, to dawne potęgi kolonialne czerpiące przez wiele lat swoją moc z eksploatacji odległych terenów i ludów. Okres ich totalnej dominacji skończył się wraz z I wojną światową – wprawdzie nadal istniały kolonie, ale uruchomiony wtedy proces dekolonizacji był już nieodwracalny.

Mocno przyspieszył zaraz po II wojnie światowej – m.in. w 1947 niepodległość odzyskały wielkie Indie – oraz w latach 60. XX wieku.

Właśnie. I w efekcie to, co dla części krajów europejskich stanowiło źródło ich potencjału, skończyło się bezpowrotnie. To był bardzo ciężki proces.

Weźmy Algierię, którą Francuzi podbili w 1830 roku i od tego czasu powszechnie uważali za rdzenne terytorium Francji, naturalne przedłużenie metropolii po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

Utrata Algierii była dla Francuzów szokiem w wielu aspektach. I nie da się patrzeć na dzisiejszą Francję z pominięciem tej perspektywy: historia kolonialna odbija się na współczesności głośnym i szerokim echem. Podobne konsekwencje kolonializmu widzimy na Wyspach, w społeczeństwie brytyjskim. Mamy tam do czynienia z ogromnym napływem ludzi wywodzących się właśnie z dawnych kolonii. Kraje postkolonialne zmagają się więc ze związanymi z tą spuścizną wyzwaniem, a jednocześnie od dekad nie mają już dawnej mocarstwowej pozycji, co więcej – ta pozycja stale słabnie wraz z utratą ich znaczenia w gospodarce i polityce światowej.

Zerkam na nominalne PKB Francji i Wielkiej Brytanii, które pozostają europejskimi potęgami gospodarczymi, i widzę, że ich udział w światowym PKB w ciągu ostatnich 40 lat zmniejszył się dwukrotnie. Oba te kraje miały po 6,5 proc., a teraz Brytania ma 3,3, a Francja 2,8 proc. Międzynarodowy Fundusz Walutowy wróży im dalsze spadki. Byłe potęgi kolonialne zostały wyprzeżone przez dawną kolonię – Indie. Wprowadzie w PKB na głowę jest dalej gigantyczna przepaść, ale gospodarka indyjska była jeszcze 20 lat temu pięć razy mniejsza od francuskiej i brytyjskiej, a dziś jest o połowę większa. Notabene Polska od narodzin III RP, czyli 1990 r., zwiększyła swój udział w globalnym nominalnym PKB czterokrotnie.

Dobrze, że pan o tym mówi, bo m.in. te dane i fakty uświadomiły Europejczykom z byłych mocarstw kolonialnych, że dawne motory wzrostu to jest coś, co się bezpowrotnie skończyło. Jeśli istnieje jeszcze w Europie jakaś nostalgia i ambicja mocarstwowa, to raczej na wschodzie – weźmy Orbanowską ideę odbudowy Wielkich Węgier. W każdym razie Europa znalazła się po II wojnie w sytuacji, w której jej dotychczasowy model budowania cywilizacyjnej potęgi i przewagi, oparty na ekspansji na morza i oceany, ekspansji kulturowej i eksploatacji gospodarczej, umarł i nie da się go wskrzesić. Pojawiło się naturalne pytanie: czym wypełnić tę pustkę? Racjonalną odpowiedzią stała się integracja

Europy. Twórcy wspólnoty zdołali przezwyciężyć podziały po II wojnie światowej i w efekcie Europa weszła na ścieżkę integracji gospodarczej, a potem politycznej.

Ku Stanom Zjednoczonym Europy?

Porównywanie Europy do USA nie ma najmniejszego sensu. Z fundamentalnych powodów.

Ale w debacie publicznej często pojawia się postulat budowy „Europy narodów” — w opozycji do „Europy państw” czy federacji.

Europa jest konglomeratem narodów, ale także państw — z własnymi tradycjami, systemami politycznymi, kulturami. Próby porównywania jej do federacyjnych modeli, jak USA, są nieadekwatne. Mamy w Europie kraje o wielkiej tradycji państwowości. Mamy Francję, mamy Hiszpanię, mamy takie kraje jak Niemcy czy Włochy których państwowość jest krótszej daty. Jednakże Europa pełna jest organizmów państwowych, które zostały już utrwalone. Polska wprawdzie utraciła na ponad wiek swoje terytorium i swoją państwowość, ale przecież istniała jako państwo od przełomu dziesiątego i jedenastego wieku, a pod zaborami istniała w świadomości kolejnych pokoleń.

Nie da się porównać Polski z Minnesotą, prawda?

No właśnie, Minnesota nie ma tradycji odrębnej państwowości. Jest terytorium nazwanym stanem, a my jesteśmy państwem i ta państwowość ma dla nas tak ogromne znaczenie, że o jej odzyskanie i odbudowę przelewały krew kolejne generacje. Szczycimy się tym odrodzeniem narodowym, świętujemy je w Dniu Niepodległości – podobnie robią inne europejskie narody. W związku z tym Europa nigdy nie będzie organizmem federacyjnym, nawet gdyby to była federacja regionów. Możemy mówić o Unii Europejskiej jako porozumieniu międzypaństwowym opartym na państwach narodowych.

Pytanie, jak rozumieć ów „naród”?

Dotknął pan ważnej kwestii, bo to, czy my będziemy rozumieć to pojęcie etnicznie czy obywatelsko, ma duże znaczenie i może mieć bardzo różne konsekwencje.

Na początku przemian i pisząc konstytucję zdawaliśmy się je rozumieć obywatelsko, ale teraz na fali, a przynajmniej najgłośniejsze, wydaje się być podejście etniczne. Dla mnie absurdalne, zważywszy to, ile grup etnicznych przetoczyło się i siła rzeczy wymieszało na tej ziemi.

Zrozumienie pojęcia narodu to jest długi proces, który się toczy i oczywiście w tym procesie pojawiają się okresy regresu, tak jak u nas, kiedy myślenie o państwie, o patriotyzmie, o Polakach staje się myśleniem etnicznym, a nie obywatelskim.

Mój sąsiad mówi, że jest Polakiem z krwi i kości.

Ale co to znaczy? Kiedy się mieszka na terytorium, na którym – tak jak pan słusznie wspomniał – tyle razy nastąpiło wymieszanie krwi, takie stwierdzenie jest co najmniej ryzykowne. Kiedy patrzę na siebie, to wiem, że z jednej strony jest rodzina, która napłynęła z północnych Węgier, a obecnie Słowacji, w czasach dynastii habsburskiej. Inna część mojej rodziny, po stronie mojej mamy i jej mamy, mieszkała na terytorium częściowo Białorusi, częściowo Litwy. Była taką podupadłą szlachtą ze swoim herbem. Z kolei mama ojca mieszkała w Krakowie w Borku Fałęckim.

A skąd nazwisko Hausner?

Ono wzięło się stąd, że po pierwszym rozbiórze Polski, w ramach tak zwanej kolonizacji józefińskiej, trzech braci uczestniczyło w przedsięwzięciu ustanawiającym nową wieś niedaleko Leżajski. Jeden z nich był moim prapradziadkiem. Więc we mnie jest wymieszana krew niemiecka, austriacka, węgierska, polska, krakowska

i jakaś z północno-wschodniej części Polski, która też była wielokrotnie wymieszana. W rodzinie Hausnerów znajdziemy przykłady wojennego bohaterstwa patriotycznego, ale są też tacy, co podpisali volkslistę. Jedni szybko się spolonizowali i Polska stała się dla nich jedyną ojczyzną, a inni nigdy się nie spolonizowali. Jeśli spojrzymy na Polskę, ale też na Europę z lotu ptaka, to składają się one głównie z takich historii.

Tyle, że jedni mają je lepiej, a inni mniej udokumentowane, jedni są swych dziejów bardziej świadomi, a inni mniej...

Właśnie! Równocześnie wiemy, że nigdy nie wyeliminujemy tej podstawowej konstrukcji, na której musi się Europa oprzeć, jaką jest państwo narodowe. Problem w tym, że jeśli będzie to państwo narodowe rozumiane etnicznie, to ponieśliśmy wszelkie tego konsekwencje – od napięć dzielących nację, a przez to cały kontynent, po krwawe wojny. Dlatego my potrzebujemy Europy narodów rozumianych obywatelsko.

Potrzebujemy Europy narodów rozumianych obywatelsko.

Dziś nawet Francja, kolebka takiego podejścia, ma z tym problem.

On powstał dlatego, że na tle niekontrolowanej imigracji pojawiają się wewnętrzne konflikty i próby określenia, kim jesteśmy my, a kim są ci obcy. Niektórzy zarysowują ten podział bardzo ostro, co rodzi i będzie rodzić szereg problemów, bo przecież nie ma jednej sztancy Polaka, jednego zestawu atrybutów i poglądów, w której zmieściliby się wszyscy. Owszem, możemy zbudować kryteria w ujęciu obywatelskim, ale nie etnicznym. Rozróżnienie etniczne zawsze działa regresywnie, zasadniczo osłabia możliwości porozumiewania się i współpracy, a więc i rozwoju.

Z drugiej strony bardzo wielu ludzi w Europie rozumie, że bez integracji nasz kontynent utraci jakiegokolwiek znaczenie. 1,4 mld Chińczyków wytwarza dziś prawie jedną piątą globalnego PKB, 350 mln Amerykanów – jedną czwartą, a najwięk-

sza gospodarka Europy, czyli Niemcy, samodzielnie – 4 proc., z tendencją spadkową. I niedługo zostanie prześcignięta przez półtoramiliardowe Indie. A co może Polska, której udział nie przekracza 1 proc., a eksport jest w ponad jednej czwartej uzależniony od Niemiec?

Europa utraciła swoje znaczące naturalne przewagi cywilizacyjne, które pozwoliły jej kiedyś skolonizować Amerykę Południową, Amerykę Północną, Afrykę, sporą część Azji oraz Australię i Nową Zelandię. Tamto dziedzictwo jest dziś już tylko obciążeniem, a w najlepszym razie – zamierzchłą przeszłością. Unia Europejska była pomysłem na wyjście z tego impasu – ku przyszłości. Opiera się na idei wspólnego tworzenia ponadnarodowych mechanizmów porozumiewania się i współpracy w kluczowych kwestiach. Respektując istnienie państw narodowych tworzymy niejednolity organizm, a w nim złożone mechanizmy koordynacji działań w uzgodnionych uprzednio obszarach.

**Europa utraciła
swoje znaczące
naturalne przewagi
cywilizacyjne (...)**

Jakie nam to przynosi korzyści?

Można dość łatwo wyliczyć, jak bardzo wszyscy – choć pewnie nie w tym samym stopniu – skorzystali ze wzajemnego otwarcia i tworzenia pewnej wspólnej przestrzeni prawnej oraz gospodarczej. Wspólny rynek to projekt, który nigdy nie został doprowadzony do końca i zapewne nigdy nie będzie, ale... działa. I nawet w tej krytykowanej formie przynosi korzyści, choćby polskim rolnikom, którzy przecież zawojowali ten rynek europejski swoimi produktami. Teraz, w zmienionej rzeczywistości, Europa musi znaleźć swoją nową drogę.

**Można dość łatwo
wyliczyć, jak bardzo
wszyscy skorzystali
ze wzajemnego
otwarcia i tworzenia
pewnej wspólnej
przestrzeni prawnej
oraz gospodarczej.**

Taką próbą szukania drogi była strategia lizbońska.

Ona zakładała, że Europa musi być konkurencyjna w stosunku do Stanów Zjednoczonych oraz pozostałej części świata – wtedy nie chodziło nawet o Chiny. Ta strategia kompletnie się nie powiodła. Miała pewne pozytywne elementy, które częściowo udało się wcielić w życie, np. podstawą funkcjonowania państwa dobrobytu nie jest już zapewnianie świadczeń możliwie wielu ludziom, tylko aktywizowanie jak największej grupy obywateli do pracy zawodowej. Zamiast „welfare state” mamy „workfare state”. Bardzo zwiększyła się aktywność zawodowa, zwłaszcza kobiet. Ale mimo to, za sprawą tej strategii, Europa nie uzyskała statusu silnego międzynarodowego konkurenta w nowych dziedzinach, szczególnie tych zaawansowanych technologicznie.

Dlaczego?

Powody są różne. Być może skala wspólnego rynku jest za mała i nie do końca zadziałał on tak, jak byśmy chcieli. Być może problem polega też na tym, że niektóre kraje Unii Europejskiej były silnymi eksporterami, a inne importerami – i to spowodowało nierównowagę, asymetrię. Reakcją było między innymi silne dążenie do stworzenia i powiększenia strefy euro, która jednak nie okazała się sukcesem gospodarczym – co nie znaczy, że jest niepotrzebna. Intensywnie dyskutuje się też na temat tego, czy Europa dysponuje wystarczającym kapitałem do finansowania przełomowych innowacji i technologii, a więc realnego konkurowania w tym względzie ze Stanami Zjednoczonymi.

Odpowiedź wydaje się oczywista: żadne z państw, nawet tych największych, nie dysponuje takim kapitałem samodzielnie. A wspólny budżet UE na te cele był dotąd wręcz symboliczny.

Efekt jest taki, że jako Europa ciągle podlegamy drenażowi mózgów. Nasi czołowi specjaliści są wysysani przez Stany Zjednoczone.

Albo pracują dla amerykańskich gigantów w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu... Pod Wawelem firmy z USA zatrudniają ponad

40 proc. inżynierów IT, a wszystkie europejskie razem wzięte – 33 proc., Polskie – 7 proc.

Te i inne zjawiska spowodowały niepowodzenie strategii lizbońskiej i temat konkurencyjności wrócił ze zdwojoną siłą. Powstał raport Draghiego, raport Letty. O konkurencyjności rozmawiamy przy tym w innym kontekście – rywalizacji pomiędzy Chinami i Stanami Zjednoczonymi o przywództwo w rewolucji technologicznej i zarazem o przywództwo polityczne w świecie.

Europa ma w tym sporze ambicję pozostania trzecim – niezależnym, suwerennym obszarem. To realne?

Na pewno nie chcemy dać się włączyć w jeden obszar przeciwko drugiemu obszarowi. Uważamy, że wtedy utracilibyśmy naszą suwerenność, możliwość nie tylko współdecydowania o świecie, ale i o własnym losie. Ale też tożsamość. Jednocześnie – co dla nas szczególnie bolesne – nie jesteśmy dzisiaj w stanie samodziel-

(...) nie jesteśmy dzisiaj
w stanie samodzielnie
rozwiązywać
swoich problemów.

nie rozwiązywać swoich problemów. Dotyczy to nie tylko zapewnienia sobie bezpieczeństwa wobec agresywnej postawy Rosji, ale też istotnych kwestii gospodarczych. W obszarze nowych cyfrowych technologii, w tym rozwoju AI, Amerykanie i Chiń-

czycy mają znaczną przewagę. W kwestii źródeł energii też jesteśmy silnie zależni od podmiotów zewnętrznych, w tym Ameryki...

A w sektorze OZE – od Chin.

Oczywiście, Europa ma wciąż ogromny potencjał gospodarczy. On jest dużo większy niż rosyjski, ale był dotąd mniej intensywnie wykorzystywany do budowania własnych zdolności obronnych. Problem w tym, że nawet jeśli my zwiększymy to wykorzystanie, to i tak natrafimy na istotne bariery – bo nowoczesne systemy obronne wymagają wysokiego zaawansowania technologicznego. Bez niego same wydatki na zbrojenia niczego nie zmieniają. Potrzebujemy nie

pojedynczych elementów uzbrojenia, ale całych systemów powiązanych z innymi systemami, np. infrastrukturą w kosmosie. A Europa w ten obszar też mało inwestowała i dzisiaj dopiero próbuje nadrobić zapóźnienia w wyścigu, w którym nigdy de facto nie brała udziału. Żaden z krajów europejskich, działając pojedynczo, nie miał szans, a jednocześnie nigdy nie udało im się osiągnąć porozumienia na tyle silnego, żeby wspólnie działać. Wspólnie – na tyle poważnie, żeby się liczyć.

Jest Europejska Agencja Kosmiczna, która ostatnio wysłała naszego Sławosza w kosmos.

Owszem, ale to wszystko drobiazgi, wobec tego, co mają Amerykanie i czym dysponują Rosjanie oraz wobec potencjału, jaki szybko rozwijają Chińczycy. Są zatem dziedziny, które zyskały na znaczeniu, a w których Europa jest słaba i zależna od innych.

I co teraz: sięść i płakać?

Albo szybko znajdziemy europejskie sposoby – które nie mogą być takie same jak chińskie ani takie same jak amerykańskie – na to, żeby w tych strategicznych dziedzinach pojawiły się przełomowe technologie, przełomowe rozwiązania oraz sposoby ich wcielania w życie dostosowane do naszej mentalności, albo zostaniemy ostatecznie zdominowani przez zewnętrzne potęgi.

Jak się na to patrzy z tej perspektywy, to wewnętrzne właśnie między krajami i narodami Europy wydają się skrajnie nieodpowiedzialne, by nie rzec – kretyńskie.

Ale one mają przebogatą historię. Wojna trzydziestoletnia zniszczyła przynajmniej jedną trzecią Europy. Co trzeci Europejczyk zniknął w jej wyniku z tego świata! O pierwszej i drugiej wojnie światowej nie będę się rozwodził. Po II wojnie Europa wreszcie poszła po rozum do głowy i postanowiła się zintegrować i rozwijać w warunkach pokojowych. Jest oczywiste, że musimy opierać

tę integrację nie tylko na wspólnych korzyściach, czyli tym, co się opłaca, ale też na pewnych wspólnych wartościach.

Czyli tym, co warto.

Bez wspólnych wartości Europa będzie zbieraniną skłóconych nacji. Każda z tych nacji będzie przypominała, ile krwi obce siły im przelały i jakie są rachunki krzywd. To droga do dezintegracji Europy i całkowitej utraty jej znaczenia. Europa jeszcze przez jakiś czas pozostanie atrakcyjna, ale straci swój dynamizm rozwojowy i stanie się obiektem kolonizacji – ale już nie w stylu europejskim, lecz amerykańskim lub chińskim.

Powtórzmy: Europa nigdy nie będzie *melting pot*, w którym znikają różnice narodowe.

To, czym będzie Europa, zależy od tego, czy państwa narodowe będą inkluzywne, obywatelskie, otwarte na innych...

Nie będzie. Zarazem jednak każda z nacji musi zrozumieć, że siła Europy tkwi w wielości, różnorodności, a równocześnie w umiejętności budowania porozumień. To, czym będzie Europa, zależy od tego, czy państwa narodowe będą inkluzywne, obywatelskie, otwarte na innych, czy zamknięte,

te, etniczne, pogrążone w konfliktach i podziałach. Nacjonalizm, etniczne różnicowanie, tendencje do izolowania się będą prowadzić do osłabienia wspólnoty, a w konsekwencji do utraty sprawczości i do jej rozpadu.

Utrzymanie delikatnej równowagi między suwerennością narodową a wspólnotą wartości i interesów jawi się w tych realiach jako nie lada wyzwanie.

Pamiętajmy, że Europę wyróżnia wciąż nie tylko materialne bogactwo, ale przede wszystkim system wartości, porządek prawny, sprawne instytucje. Wspólna aksjologia, wyobrażenia o sprawiedliwości, solidarności, demokracji, wolności — to są filary, które

budują siłę Europy. Do tego dochodzi system instytucjonalny: sądy, media, organizacje społeczne, reguły gry gospodarczej. Bez nich nie byłoby trwałego rozwoju ani odporności na kryzysy. Owszem, wyzwań jest wiele: kryzys zaufania, spadek aktywności obywatelskiej, upadek autorytetów, fragmentacja społeczeństw, wzrost populizmu. Jednak to właśnie porządek aksjologiczny i instytucjonalny pozwala Europie przetrwać burze, kryzysy, konflikty. Musimy nieustannie go wzmacniać, modernizować, adaptować do nowych warunków.

Zaraz pan usłyszysz, że najlepsze, co Polska może zrobić, to opuścić „eurokołchoz”. Przyznam, że to sformułowanie doprowadza mnie do szału, bo nigdy nie słyszałem niczego głupszego.

Delikatnie mówiąc ci, którzy go używają, nie są reprezentantami racjonalnego myślenia. Kołchoz był rodzajem organizacji gospodarczej działającej w bardzo scentralizowanym systemie gospodarczym stworzonym przez dyktatorską władzę sowiecką. W żaden, a to w żaden sposób nie da się tego czegoś porównać do Unii Europejskiej. Komisja Europejska nie jest rządem europejskim, nie jest nawet żadną superwładzą. Środki, którymi dysponuje, stanowią znacznie poniżej 10 proc. budżetów, jakimi dysponują państwa. Budżety państw członkowskich nie podlegają kontroli KE. To sformułowanie nie ma zatem żadnego sensu, chodzi wyłącznie o wywołanie negatywnego skojarzenia, które całkowicie blokuje myślenie.

Na przykład podczas protestów rolników – widziałem to sformułowanie na co drugim transparencie.

No, to niech ci, co używają tego sformułowania, zaproponują rolnikom, żeby nie brali żadnych dopłat i żeby wyłączyć Polskę ze wspólnej polityki rolnej. Nie będziemy mieli wtedy unijnych ograniczeń, zastąpią je ustalenia i reguły WTO. Będziemy się musieli zdać na działania bilateralne, które w naszym przypadku skończyłyby się katastrofą, bo tylko Stany Zjednoczone mogą sobie

pozwolić na narzucanie innym swojej woli w stylu pana prezydenta Trumpa – „Dam wam 50-procentowe cła, ale jak się zgodzicie na 15, to nie puszczę was z torbami”. Polska na pewno nie ma takiej siły. Polski rolnik tym bardziej.

Wartość eksportu polskiej żywności od wejścia do Unii wzrosła z 4 mld euro do ponad 55 mld euro. Podbiliśmy wspólny rynek.

Kto chce, ten wie i rozumie.

Suwerenność, czyli korzystna współzależność

Opowieść dziewiąta:

o drodze od państwa „Misia”
do państwa zmierzającego ku idei
oraz o demonicznej mocy nacjonalizmu
i jego zgubnych skutkach



- Magiczne trio: pieniądze, wartości, instytucje
- Chrześcijańska spuścizna Europy
- Repolonizacja. Koniec ery naiwnej globalizacji?
- Interes Polski, interes Europy – w stronę win-win czy autarkii
- Czego nas uczy globalny sukces Airbusa
- Od czego zacząć budowanie konkurencyjności UE?
- Jak się ułożyć ze Stanami Zjednoczonymi?
- Interes Polski: dojść do porozumienia z krajami, z którymi najwięcej nas łączy
- Razem, choć trochę osobno: przypadki Szwajcarii i Norwegii
- Casus Turcji: gospodarka tak, a wartości?
- Pokój dla Ukrainy. Czy Europa potrafi uczynić wartości swoim atutem, motorem rozwoju i źródłem przewagi konkurencyjnej

Wróćmy na chwilę do tego, co bardzo pomogło Polsce rosnąć w ramach Unii Europejskiej, czyli do roli pieniędzy i wartości.

Dodałbym jeszcze trzeci, pośredni, ale niezwykle istotny element, jakim są instytucje i regulacje. Te trzy obszary mocno się ze sobą wiążą, splatają.

Bo ma ogromne znaczenie czy wydajemy miliard euro w posowieckich realiach prawnych i etycznych Ukrainy, Białorusi czy Rosji, czy też w realiach UE, prawda?

Oczywiście, że ma. Zaczniemy od tego, że już na pierwszym poziomie, mentalnym istnieje określone zbiorowe wyobrażenie Europy i tego, co to znaczy być jej częścią. I na przykład w naszej, zachodniej dziś, przestrzeni mentalnej nawet ludzie niewierzący gotowi są przywoływać chrześcijańskie tradycje Europy jako element tego naszego cywilizacyjnego uposażenia. Jasne, że z tym naszym chrześcijaństwem różnie bywało, pamiętamy historie Giordano Bruno, Galileusza, wojen religijnych, inkwizycji... Ale wartości chrześcijańskie stanowią niewątpliwie ważny element moralnego i cywilizacyjnego porządku. Wynika to także z tego, że myśmy za pośrednictwem chrześcijaństwa, m.in. za

Jasne, że z tym naszym chrześcijaństwem różnie bywało, pamiętamy historie Giordano Bruno, Galileusza, wojen religijnych, inkwizycji...

sprawą św. Tomasza z Akwinu, przyswoili sobie dorobek starożytnego Rzymu i starożytnej Grecji. W naturalny sposób tak przetworzona spuścizna Europy, spuścizna chrześcijańska, stała się punktem odniesienia aksjologicznego i ukształtowała nasze zasady etyczne.

Europa ze swymi snami o potędze stała się kolebką nie tylko wartości chrześcijańskich, humanizmu, Kaplicy Sykstyńskiej, ale i światowych wojen, ludobójstw, koszmaru Auschwitz.

Współczesna tożsamość Europejczyków rodziła się w bólach i zawiera w sobie elementy zarówno chwalebne, jak i tragicznego dziedzictwa. Kształtowały nas i jedne, i drugie. W Europie dokonano ludobójstw i obmyślano inne, ale też tutaj stworzyliśmy definicję ludobójstwa i postulat, by takie zbrodnie ścigać międzynarodowo.

Ocalony z holokaustu Rafał Lemkin, polski Żyd wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, stworzył tę definicję i poświęcił życie na jej uznanie na forum międzynarodowym.

My, Europejczycy, uznaliśmy, że pewien sposób myślenia o ładzie międzynarodowym, oparty na naszych doświadczeniach i wnioskach z tych doświadczeń, będzie elementem naszego wyposażenia kulturowego. Mamy, oczywiście, także swoje specyficzne narodowe wyposażenie kulturowe. Ale ono nie jest tak strasznie odległe od wyposażenia innych Europejczyków i stosunkowo łatwo potrafimy sobie przyswajać obyczaje sąsiadów, a także dzieła ich kultury, poezji, literatury, filozofii i nauki.

Wiemy czym są europejskie fundusze, wiemy, czym są europejskie wartości. A ten element pośredni? Przepisy i biurokracja. Bo pan profesor mówi o europejskiej biurokracji, prawda?

Ona ma, ogólnie rzecz biorąc, złą prasę. Ale za nią kryją się instytucje, które są absolutnie fundamentalne dla czegoś, co nazywamy

europejskim ładem prawnym. Chodzi mi o instytucje rozumiane szeroko, mówię tu o systemie prawnym i ludziach, którzy go tworzą, o całym wymiarze sprawiedliwości. Unia ma tutaj wielki dorobek, który składa się na pewien porządek instytucjonalny. Tak, jak pan powiedział, ten porządek jest zasadniczo inny od tego, który panował w Polsce i innych krajach byłego bloku wschodniego po upadku realnego socjalizmu w naszej części kontynentu. Inny niż jest dziś w Białorusi, i inny niż w Ukrainie.

Na pewno inny niż w Chinach.

A wszystko dlatego, że ten europejski ład odzwierciedla społeczne wyobrażenia Europejczyków o tym, co jest wartościowe, słuszne, etyczne, jest silnie zakorzeniony w naszych tradycjach i w naszych doświadczeniach, pięknych i tragicznych. A ściślej – wyrósł z głębokiej refleksji nad tymi naszymi zbiorowymi doświadczeniami.

Na przykład doszliśmy do wniosku, że nacjonalizm prowadzi do krwawych wojen, które wyniszczają Europę, osłabiają ją na dekady, więc będziemy współpracować i tworzyć takie więzi, by ograniczać pole do ewentualnych konfliktów.

To miało – nadal ma – przełożenie m.in. na to, jak gromadzimy w Europie środki finansowe, na co je gromadzimy i w jaki sposób je inwestujemy. Czyli najpierw są europejskie przekonania i wartości, potem europejskie fundusze, a łącznikiem między jednym i drugim są instytucje dbające o to, by te fundusze były wydawane na ustalony cel zgodnie z europejskimi standardami.

Ale wybucha „afera HORECA”. I co druga wypowiedź eurosceptyków lub wrogów Unii dotyczy tego, że „nasze wspólne pieniądze wydawane są na jachty i swingersów”.

Nie zamierzam usprawiedliwiać sprawców nadużyć – jeśli doszło tu do złamania prawa, standardów, to jako Unia dysponujemy przecież odpowiednimi instytucjami, by ukarać kogo trzeba

i wyciągnąć wnioski. To część instytucjonalnego ładu, porządku, o którym wspomniałem. Przypomnę równocześnie, że środki z Krajowego Programu Odbudowy, bo o nich mówimy, były w Polsce rozdzielane pod gigantyczną presją czasu.

Ta presja wzięła się z wiadomych grzechów poprzedniego rządu – PiS – którego działania doprowadziły do zablokowania należnych Polsce funduszy.

Wiadomo było, że presja na wydanie tych środków będzie ogromna, a wtedy łatwiej o błędy i nadużycia. Powtarzam: nie usprawiedliwiam tego w żadnej mierze.

Okazuje się zresztą, że w ich popełnieniu – czyli m.in. tworzeniu ram prawnych dla KPO i ocenianiu wniosków – uczestniczyli politycy i urzędnicy związani z PiS.

Niezależnie od wszystkiego – nie usprawiedliwiam tego. Instytucje unijne powinny tu zadziałać jak zawsze – czyli skutecznie wszystko i wszystkich rozliczyć. Warto przy tym pamiętać, że liczba przykładów, w których instytucje europejskie karały Polskę za złe czy nieefektywne wykorzystanie środków europejskich, jest generalnie bardzo niska.

Jesteśmy wręcz w UE stawiani za wzór efektywnego i poprawnego wykorzystania funduszy.

Jeśli porównamy Polskę z innymi krajami Europy Środkowej i Wschodniej, np. Czechami pod rządami premiera Babisa czy Węgrami Orbana, gdzie stworzono cały system politycznej korupcji, to okaże się, że myśmy sobie z funduszami europejskimi poradzili znakomicie.

To wymagało wyzwolenia z polnische wirtschaft. W dodatku po wyniszczającym doświadczeniu komunizmu, które przyniosło fatalne skutki nawet w Niemczech (weźmy powolny rozwój byłej

NRD), i którego przejawy młodszy mogą oglądać w filmach Barei, choćby w „Misiu”. To jak dokonaliśmy tego cudownego skoku – od „państwa Misia” do państwa służącego jednak jakiejś idei?

Cały sekret tkwi w tym, że od początku nasza transformacja nie polegała tylko na balcerowiczowskim otwieraniu rynku, ale także na budowaniu porządku prawnego, instytucjonalnego. Można dyskutować, czy wszystkie jego elementy są właściwe, ale obok wolnego rynku stworzyliśmy instytucje demokratycznego państwa. To, że prezydent ma dziś takie, a nie inne uprawnienia, wynika z historycznych uwarunkowań – te uprawnienia tworzono pod konkretnego kandydata w konkretnych realiach, a dziś ma to konkretne skutki.

Pewne „tymczasowe” decyzje bywają trudno odwracalne lub wręcz nieodwracalne i długo ponosimy ich konsekwencje.

Owszem, ale niezależnie od tego, jak ocenia się dziś strukturę naszych demokratycznych instytucji, musimy przyznać, że fakt, żeśmy je zbudowali, przyczynił się w ogromnym stopniu do tego, że Polska odniosła sukces. Pierwszorzędne było to, że ludzie wzięli się za biznes, wzięli się za aktywność, za pracę i byli za to generalnie nagradzani. Ale równie istotne było to, że mogli to robić w pewnych w miarę uporządkowanych i przewidywalnych ramach. Przy wszystkich naszych, przeważnie słusznych, narzekaniach – system regulacji gospodarki i wymiar sprawiedliwości działały: z opóźnieniem, nie do końca sprawnie, ale działały. To walenie przyczyniło się do napływu kapitału zagranicznego – on by się w takiej skali w Polsce nie pojawił wraz z technologiami, cennym know-how, gdyby nie to, że byliśmy w jednym obszarze gospodarczym i instytucjonalnym wraz z innymi krajami UE.

Pierwszorzędne było to, że ludzie wzięli się za biznes, wzięli się za aktywność, za pracę i byli za to generalnie nagradzani. Ale równie istotne było to, że mogli to robić w pewnych w miarę uporządkowanych i przewidywalnych ramach.

No i przedsiębiorcy i rolnicy polscy przestali się martwić o cła dyktowane przez kraje będące głównymi odbiorcami ich towarów i usług.

Dyskusja o porządku prawnym, o porządku normatywnym jako warunku powodzenia gospodarczego, właściwie nie istnieje...

To zdecydowanie wspomogło eksport z Polski. Dyskusja o porządku prawnym, o porządku normatywnym jako warunku powodzenia gospodarczego, właściwie nie istnieje, a ona powinna być w centrum debaty publicznej. Widzimy, że ten porządek normatywny może być psuty od góry i od

dołu, można go niszczyć także poprzez anarchizowanie społeczeństwa i działania prowadzące do upadku aktywności obywatelskiej albo ograniczenie jej do roszczeń protestów przeciwko UE.

Jak ostudzić spór polityczny w tym obszarze?

Nie chodzi o to, by go studzić. Spór może być gorący, ale niezwykle ważne jest to, by rywalizacja odbywała się w ramach określonego porządku i nie prowadziła do naruszania fundamentów europejskiego ładu. Naruszenie fundamentów prowadzi zawsze do regresu, czyli bardzo szybko będziemy obserwowali cofanie się tych pozytywnych tendencji, których jesteśmy beneficjentami. Nie mówię, że wszystko zostanie zmarnowane, ale Polska straci i dynamikę, i sprawczość. Przestaniemy doganiać i przeganiać inne kraje.

PKB krajów naszej części Europy po wstąpieniu do UE wzrosło przeciętnie ponad trzy razy, a Węgier tylko nieco ponad dwa razy. To efekt ciągłego podważania instytucjonalnego porządku, naruszania fundamentów?

Z pewnością tkwi tu klucz. Jeśli nie ma porządku normatywnego, to pojawia się jakiś inny. Jesteśmy skazani na prywatne „instytucje” egzekwowania zasad tworzonych przez różne układy, przez uznaniowość urzędniczą, przez korupcję polityczną i tak dalej. Ukraina nadal jest przykładem takich zjawisk.

To porozmawiajmy teraz o interesach, które poszczególne państwa Unii potrafią definiować i realizować nieco inaczej w ramach tego samego unijnego ładu instytucjonalnego. Na prawicy dominuje opinia, że Polska była w ostatnich latach ofiarą kolonizacji przez kraje UE. W reakcji na tego typu nastroje premier Donald Tusk wygłosił wiosną 2025 r. mowę do biznesu, w której stwierdził, że „kończy się era naiwnej globalizacji, a Polska nie będzie naiwnym partnerem w konkursie egoistów na rynkach i frontach wojen”. Zapowiedział preferowanie polskiego kapitału przy realizacji ambitnych inwestycji oraz „repolonizację gospodarki”. To się jakoś wpisuje w proces integracji Europy czy wręcz przeciwnie? Ja rozumiem, że na fali trumpizmu wszyscy krzyczą dziś *France first*, *Italy first*, *Poland first*, a nawet *Lichtenstein first*, jakbyśmy się na gale wszyscy stali gospodarczymi nacjonalistami, narodami etnicznymi, a nie obywatelskimi. Jednocześnie wielu z nas czuje, że to idiotyzm, który może ostatecznie zniszczyć Europę, bo cały nasz powojenny dobrobyt, poziom i jakość życia zawdzięczamy współpracy. Ba, w obszarze gospodarczym też łatwo udowodnić, że konkurencyjni globalnie możemy być wtedy, gdy umiejętnie łączymy najlepsze zasoby. Weźmy Airbusa, który zrodził się w roku 1967, kiedy ministrowie Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii zobowiązali się do podjęcia odpowiednich działań „w celu wzmocnienia współpracy europejskiej w dziedzinie techniki lotniczej, a tym samym wsparciu rozwoju gospodarczego i postępu technologicznego w Europie”. Firma osiągnęła spektakularny sukces i sprzedała od tego czasu kilkanaście tysięcy maszyn na całym świecie. Dzięki niej Europa jest na rynku lotniczym kluczowym graczem. Nie dominatorem, ale bardzo mocnym konkurentem.

Przykład Airbusa pokazuje właśnie to, czego Europa potrzebuje do wzmocnienia swej konkurencyjności.

Przykład Airbusa jest bardzo dobry, bo pokazuje właśnie to, czego Europa potrzebuje do wzmocnienia swej konkurencyjności.

Mamy tu do czynienia ze znaczącym przedsięwzięciem w strategicznej, innowacyjnej branży. I ono sytuuje Europę jako jednego z rozgrywających w świecie, a nie rozgrywanym.

Mamy w ręku mocne karty...

I trzeba ten efekt zwielokrotnić, gdzie się da. Być może nie w każdej dziedzinie łatwo o powodzenie, ale ten przykład pokazuje, jak dobre efekty może dać połączenie zasobów. To jest konsorcjum firm z różnych krajów Europy, dla którego regulacje unijne nie były przeszkodą lecz wsparciem. Można rzec, że współpraca uwolniła drzemiący w nich potencjał. Dziś chodzi o to, żeby tego rodzaju konsorcja, które zajmą się na przykład technologiami kosmicznymi albo różnymi składowymi świata cyfrowego albo różnymi elementami transformacji energetycznej albo tworzeniem nowoczesnych systemów uzbrojenia uwolniły potencjał Europy i pozwoliły jej odzyskać lub uzyskać konkurencyjną pozycję strategicznych dziedzinach.

Ale na jakich zasadach my mamy tworzyć te konsorcja.

Oczywiście – partnerskich. Ważne, żeby byli to partnerzy z różnych krajów dobierający się na zasadzie koalicji chętnych, a nie „jestem liderem i narzucę innym warunki”. Tacy partnerzy muszą mieć nie tylko aspiracje, ale też konkretny wkład: pieniądze, wiedzę, kompetencje, umiejętności. I teraz jest niezwykle ważne, by unijne regulacje sprzyjały tworzeniu takich inicjatyw i pomagały im osiągnąć sukces. To ma wzmacniać Europę jako całość. Tu kłania się kwestia wyboru priorytetów, dziedzin, w których mamy być razem mocni i rozgrywający. Tego dotąd brakowało. Budowania konkurencyjności nie można zaczynać od dyskusowania o regulacji czy deregulacji, a więc od przepisów. Trzeba zacząć od ustalenia, w których obszarach mamy dzisiaj dobrą pozycję konkurencyjną i jak ją umocnić oraz w których dziedzinach kluczowych nasz potencjał jest za słaby i chcemy to zmienić.

Budowania konkurencyjności nie można zaczynać od dyskusowania o regulacji czy deregulacji, a więc od przepisów. Trzeba zacząć od ustalenia, w których obszarach mamy dzisiaj dobrą pozycję konkurencyjną

Potrzebujemy jej np. w rozwoju baterii, fotowoltaiki, energetyki wiatrowej, energetyki jądrowej...

No, to ją tworzymy. Chińczycy świadomie zbudowali swoją przewagę w zakresie baterii. Jak ma na to odpowiedzieć Europa? To samo dotyczy chipów; notabene potęga Tajwanu w tym obszarze oparta jest na dorobku firmy holenderskiej. Zastanówmy się szybko, co było przeszkodą w jej wykorzystaniu i dyskontowaniu na Starym Kontynencie i co może być zachętą do tworzenia międzynarodowych konsorcjów w skali całej Unii i wspierania ich konkurencyjności oraz sukcesów w wymiarze globalnym.

To wracam do pytania: jak się do tego ma deklaracja Donalda Tuska dotycząca m.in. repolonizacji gospodarki.

Nie chcę komentować słów Donalda Tuska, który jest politykiem i wypowiada się w przestrzeni wypełnionej przez przeciwników określonymi treściami – być może i po to, by odebrać im paliwo.

I dlatego promuje nacjonalizm?

Pytanie, czy „polonizację” i „repolonizację” należy interpretować jako nacjonalizm. Moim zdaniem o wiele pojemniejsze i ważniejsze jest tu słowo „suwerenność”. Nie przez przypadek zaczęliśmy teraz mocno dyskutować o suwerenności cyfrowej – Polski i Europy. Bo ta suwerenność, w wielu kontekstach, wydaje się kluczowa dla naszej przyszłości. Proszę zważyć, że nacjonalizm ma inną funkcję, inne cele, inną temperaturę niż dbanie o suwerenność. Rozmawiajmy zatem o suwerenności.

Wielu politykom i ich zwolennikom te dwa pojęcia zbijają się w jedno credo Romana Dmowskiego: „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie”.

To znowu: możemy się zastanowić, czy suwerenność należy rozumieć jako autarkię, czyli zamknięcie się w swoich narodowych

granicach. Zamknięcie w wielu wymiarach, także w tym gospodarczym.

Jak Albania Envera Hoxhy. Z katastrofalnym skutkiem.

W Europie autarkia jest absurdem, czymś po prostu niemożliwym. Wolę więc we współczesnym, bardzo złożonym i powiązanym ze sobą świecie, postrzegać suwerenność jako korzystną współzależność.

Pytanie, jak stworzyć sytuację korzystnej współzależności.

W tak rozumianej suwerenności chodzi o to, aby nie być zależnym, tylko odnosić korzyści ze współzależności. I tu pojawia się pytanie, jak stworzyć sytuację korzystnej współzależności. Bo współzależność to jedno, a korzyst-

na współzależność to drugie. I my musimy najpierw wiedzieć, co jest dla nas korzystne, pamiętając, że współzależność z kimś polega na tym, że ten ktoś też ma prawo mówić o swoich interesach i korzyściach.

Czyli np. nasz przemysł samochodowy korzysta na współzależności od Niemiec, a niemiecki korzysta na współzależności od Polski. To się nazywa efekt win-win. Fundament UE. Ale diabeł tkwi w szczegółach.

Wewnętrzne relacje między krajami członkowskimi UE to jedno, a relacje UE z krajami trzecimi to jeszcze co innego. Dziś bardzo aktualne jest pytanie, czy Europa jest w stanie uzyskać korzystną współzależność z Chinami albo ze Stanami Zjednoczonymi oraz pod jakimi warunkami.

W realiach transakcyjnej polityki Trumpa działającego z pozycji siły? Hmm...

Moim zdaniem w relacjach ze Stanami, których potrzebujemy, możemy sobie mówić, że jesteśmy strategicznym partnerem Stanów Zjednoczonych i każdy kraj może wmawiać sobie i innym, że jest strategicznym partnerem USA. Ale to nie zmienia faktu, że to będzie zawsze do jakiegoś stopnia jednostronna zależność.

Jesteśmy i będziemy zdani na łaskę i niełaskę?

Taka jednostronna zależność ma to do siebie, że może być jednostronną zależnością korzystną dla obu stron, ale może być też wszechogarniającą zależnością powodującą duży dyskomfort, dlatego musimy zrobić wszystko, by jako Europa i jako Polska nie skazywać się na nią. Zgódźmy się, że potrzebujemy dzisiaj zależności od Stanów Zjednoczonych w obszarze bezpieczeństwa. To bezpieczeństwo jest oparte w znacznej mierze na gwarancji amerykańskiej, nawet jeśli chodzi bardziej o systemy obronne i uzbrojenie niż fizyczne oddziały US Army.

Na dziś dopuszczamy też korzystną zależność od Ameryki w obszarze wysokich technologii cyfrowych.

Tak, ale pragniemy wyjść z tego uzależnienia, a zarazem zdajemy sobie sprawę, że w pozostałych dziedzinach powinniśmy robić wszystko, by wytworzyć korzystną współzależność. Dla Polski jedynym obszarem budowania takiej korzystnej współzależności o rozwojowym, a nie operacyjnym charakterze, są wyłącznie kraje Unii Europejskiej, przede wszystkim te najbliższe – Niemcy, Francja, państwa Europy Środkowej i Skandynawii. Możemy mieć bardzo dobre stosunki gospodarcze z Portugalią – zresztą mała rodzinna firma portugalska potrafiła stworzyć w Polsce potężną organizację odgrywającą kluczową rolę w naszym handlu detalicznym; i nie ma przy tym żadnego zagrożenia, że Portugalczycy nas od siebie uzależnią – jest obopólna korzyść. W tym właśnie tkwi istota myślenia suwerennego: chodzi o rozwój własny, a nie zamknięcie się, kisenie we własnym świecie.

Żeby zgnić w chacie z kraja, na marginesie świata.

Właśnie. I tu wracamy do naszej europejskiej triady: wartości, pieniądze, instytucje. W realiach, w których funkcjonują te trzy elementy, o niebo łatwiej tworzyć warunki dla korzystnej współzależności.

Czyli – budować własną suwerenność.

Dokładnie tak. Łatwiej dochodzić do porozumienia co do korzystnej współzależności z krajami, z którymi, z punktu widzenia mentalności, kultury, dziedzictwa historii, doświadczeń, ale też wartości, całej tej ramy aksjologicznej, tak wiele nas łączy.

Tu niektórzy wyciągną Grunwald, Auschwitz i Powstanie Warszawskie, komentując, że więcej nas jednak dzieli. I do widzenia, Niemcy, pardon, Krzyżacy-hitlerowcy. Chociaż od chwili słynnego „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie” skierowanego przez biskupów polskich do niemieckich, minęło w tym roku 60 lat.

Deptanie bogatego dorobku pojednania polsko-niemieckiego jest właśnie przykładem bezmyślności i całkowitego ignorowania tego, co służy tworzeniu korzystnej współzależności, a w konsekwencji jest to działanie przeciwko polskiej suwerenności.

Równie często dziś wybrzmiewa pytanie, dlaczego Polska nie miałyby iść drogą Szwajcarii albo Norwegii?

Ale od razu powiedzmy, że i Norwegia, i Szwajcaria należą do wspólnego Europejskiego Obszaru Gospodarczego. To jest mniej zaawansowana forma integracji, dotycząca przede wszystkim obszaru gospodarczego, ale będąca czymś znacznie szerszym niż proste porozumienie handlowe porównywalne z tym, jakie łączyło np. USA i Kanadę albo USA i Meksyk. Jest tu więcej elementów integracji – w obszarze choćby układu komunikacyjnego, systemów transportu, wymogów technolo-

Kraje, które nie zdecydowały się na wejście do Unii Europejskiej, o wiele więcej z nami łączy niż dzieli.

gicznych; większość rzeczy przynależy tu do jednego systemu regulacji. Intensywna współpraca dotyczy też nauki, kultury, widzimy to także w Polsce. Słowem: kraje, które nie zdecydowały się na wejście do Unii Europejskiej, o wiele więcej z nami łączy niż dzieli.

Ale są formalnie poza UE.

W przypadku Szwajcarii związane jest to głównie z jej kantonalnym ustrojem. Ich państwowość jest osobiwa. Ukształtowała się dlatego, że ludy posługujące się trzema różnymi językami były oddzielone górami od innych nacji i postanowiły się jakoś zorganizować, tworząc ustrój, w którym tak naprawdę mieszkańcy kantonów sami się rządzą, natomiast ich wspólnie wyłonioną reprezentację w postaci quasirządu trudno porównywać z jakimkolwiek innym rządem. Jedną z konsekwencji jest wytworzenie przez Szwajcarów specyficznych form gospodarczych, np. niezwykle specyficznego systemu bankowego.

I tego modelu nie da się nijak skopiować w naszej części Europy?

Jego się nie da skopiować nigdzie. To wynika z położenia i bardzo długiej tradycji realnej neutralności oraz tego, że wspomniany szwajcarski system bankowy zawsze bardzo premiował Szwajcarię, więc Szwajcarii nigdy nie brakowało kapitału i zawsze miała mocną walutę. Właśnie dlatego ten kraj rozwijał ją inaczej niż inne. Nie wykluczałbym, że Szwajcaria kiedyś wejdzie do Unii Europejskiej, ale w to wątpię – zwłaszcza, że nie jest do końca jasne, czy ona tego potrzebuje i czy Unia z tego powodu bardzo by się zmieniła. Mamy tu przypadek korzystnej współzależności bez pełnej akcesji, ale przy dużym poziomie integracji w ramach EOG oraz innych form współdziałania.

Norwegia jest jeszcze innym przypadkiem.

Z pozostałymi krajami skandynawskimi, zwłaszcza z Szwecją, ale także z Finlandią i Danią, łączą ją bardzo głębokie powiązania. To, że Norwegia nie jest w Unii Europejskiej, a pozostałe kraje są, wydawało się wielu dziwne. Z drugiej strony jeszcze niedawno trudno było sobie wyobrazić Finlandię i Szwecję, kraje przez dekady neutralne, jako członków NATO. A one są dzisiaj w NATO – z powodu agresywnej postawy Rosji. Ta sama Rosja penetruje teraz obszar

Arktyki, więc kto wie, czy Norwegia nie zdecyduje się także na wejście do Unii Europejskiej – aby wspólnie się tej rosyjskiej ekspansji przeciwstawiać. Wszystko wskazuje na to, że taka współzależność będzie dla niej korzystniejsza.

Mamy jeszcze przykład dużego kraju, który bardzo chciałby być w Unii.

W przypadku Turcji przedmiotem sporu nie jest to, czy ona ma nowoczesną i rozwiniętą gospodarkę.

Jej PKB potroiło się w dwie dekady i jest większe niż Polski...

Tak, więc tu nie ma wątpliwości. 85-milionowa Turcja znacznie poszerzyłaby potencjał gospodarki oraz obszar wspólnego rynku, co mogłoby zwiększyć dynamikę europejskiego rozwoju. Podstawowy problem tkwi w porządku prawnym, w kwestii praw człowieka oraz instytucjonalnego ładu, w ramach którego muszą być rozstrzygane wszelkie spory. Nie ma takiego obszaru integracji europejskiej, w którym nie byłoby sporów i musiałyby one być rozstrzygane. Dzieje się to przede wszystkim w sądach. Te sądy nie działają w próżni aksjologicznej. Istotnym elementem europejskiego ładu jest interpretacja przepisów prawa, która musi się odwoływać do wspólnych zasad, reguł, wartości. I tego właśnie dotyczy dyskusja na temat Turcji, dotyczy tematu wartości. Dlatego Unia Europejska jest ostrożna, zwłaszcza że widzimy, jaką drogę przeszły Węgry i jaką zmierza w tej chwili Słowacja. Polski przypadek też pozapalał wiele czerwonych lampek i pozostaje swoistym memento: każe się nad każdym potencjalnym rozszerzeniem zastanawiać znacznie dłużej niż to miało miejsce poprzednio. Z drugiej strony mamy przykład Bałkanów, gdzie po wejściu do Unii Europejskiej, po akcesji Słowenii i Chorwacji konflikty osłabły. Ważne jest to, by do Unii Europejskiej weszła Serbia oraz Kosowo i Albania razem, bo wtedy będą miały ten sam porządek prawny i ten sam porządek normatywny. Nawet jeśli pozostaną tam elementy etnicznych waśni, nienawiści, to pod kontrolą jurysdykcji sądów

europejskich. Przyjęcie jurysdykcji UE wiąże się z przyjęciem zestawu nadrzędnych wartości, odniesień aksjologicznych.

No, dobrze, ale jak my już połączymy harmonijnie te naszą triadę: wartości, pieniądze i instytucje, a 27 obywatelskich narodów Europy poczuje satysfakcję z korzystnej współzależności, to czy staniemy się dzięki temu nie tylko globalnie konkurencyjni, ale i sprawczy? Jako Europa? I jako Polska? Słyszę na okrągło – na przemian od rosyjskich trolli i z ust „niepodległościowej” prawicy – że poza Unią Polska byłaby bardziej sprawcza, bo mogłaby mówić własnym głosem.

A kto kiedykolwiek przeszkadzał Polsce mówić własnym głosem?! Jarosław Kaczyński i Andrzej Duda mówili głosem Ursuli von der Leyen czy własnym – w imieniu Polski? Andrzej Duda miał całych 10 lat, by przemawiać, gdzie się da jako „głos narodu”. Czy ktoś mu to blokował? Inna sprawa, czy ten głos był słuchany.

W świecie? W Europie? Nie bardzo.

Bo to zależy od wielu innych czynników. Na pewno nie od tego, czy odpowiednio głośno mówisz lub krzyczysz. Prezydentowi Dudzie nie brakowało okazji, by zabierać głos nie tylko w Polsce, ale choćby na dorocznym Davos. W imieniu Polski artykułował tam to, co uważał za najważniejsze. Problem w tym, że w sprawczości nie chodzi o mówienie własnym głosem, a o znalezienie porozumienia z tymi, do których się mówi. Zwłaszcza tymi, którzy są kluczowi dla podjęcia decyzji, na jakich nam zależy. Czyli w tym przypadku – kluczowych dla interesu Polski, dla realizacji jej celów rozwojowych.

Mimo ogromnego skoku gospodarczego i cywilizacyjnego, nie mamy wystarczającej siły, by wyrażając jasno swoje oczekiwania, wymusić na innych pożądane decyzje.

Nikt nie ma. Żaden kraj świata – może z wyjątkiem dwóch największych globalnych graczy. Jeśli mówimy o dostępie do kapitału

czy topowych technologii, o wspólnym rynku czy bezpieczeństwie – wszędzie jesteśmy skazani na zależność lub możemy próbować budować korzystną współzależność. Tylko wielkie mocarstwa mogą skutecznie stwarzać wrażenie, że są w stanie samodzielnie ustalać warunki korzystne dla wzmacniania swej mocarstwowości.

Ale zaraz okaże się, że nawet największym firmom amerykańskim bardzo zależy na rynku europejskim. Chińskim zresztą też.

Co więcej, o ile w niektórych obszarach mają tę przewagę, że mogą narzucać warunki innym, to zwykle nie decydują się na jej czę-

Jeśli mówimy o dostępie do kapitału czy topowych technologii, o wspólnym rynku czy bezpieczeństwie – wszędzie jesteśmy skazani na zależność (...)

ste wykorzystywanie, ponieważ wiedzą, że w różnych innych kwestiach potrzebują partnerów, sojuszników. Więc muszą dumać nad tym, jak porozumiewać się ze słabszymi od siebie, by ich mieć po swojej stronie – nie tylko z przymusu, ale z uwagi na wzajemne korzyści. Cała rozgrywka mocarstw dotycząca Ukrainy dobrze to obrazuje: Europa zdecydowanie sygnalizuje, że chce pokoju, ale takiego, który będzie pokojem sprawiedliwym. Odwołujemy się przy tym do wartości: pokój sprawiedliwy w Europie oznacza, że nie ma możliwości zmiany granic poprzez użycie siły.

Bo to obiektywnie złe, ale zarazem – potencjalnie groźny precedens?

Europa wie, że każde ustanawianie granic w konsekwencji użycia przemocy będzie początkiem, a nie kresem wojny. Rosjanie wyraźnie mówią o nowym porządku europejskim, kwestionują to, na co zgodzili się dekady temu w konsekwencji przegrania zimnej wojny i co podtrzymywali do czasów Putina: że Europa ma być obszarem pokojowej koegzystencji. Podważyli te ustalenia, te zasady, te normy, domagają się jednostronnie ich zmiany. Chcą uzyskać od Stanów Zjednoczonych przyzwolenie na to.

Pesymiści wieszczą, że przy takim prezydencie, takim typie przywódcy – narcyza i biznesmena od transakcji, Putin może osiągnąć swój cel. Już został awansowany z agresora i zbrodniarza mordującego codziennie kobiety i dzieci na lidera trzymającego mocne karty mocarstwa.

Dla Europy to jest wojna o wszystko. Ewentualna zgoda Ameryki na warunki Rosji nie może być zobowiązaniem dla Europy, bo wtedy Europa przestanie istnieć w znaczeniu, jakiego nabrała po II wojnie, czyli pokojowego kontynentu współpracujących narodów. Rozpadnie się na zwaśnione państwa narodowe – i to takie, w których narodowość będzie pojmowana coraz bardziej etnicznie, a nie obywatelsko. To jest śmiertelne zagrożenie dla Europy i trzeba sobie z tego zdawać sprawę.

Dla Europy to jest wojna o wszystko (...)

Czyli jako Europa musimy mówić jednym głosem: chcemy pokoju, nie wojny, ale dopuszczamy wyłącznie taki pokój, który respektuje ustalone wcześniej wspólnie zasady i nie dopuszcza zmiany tych zasad poprzez przemoc i wymuszenie przez silniejszego.

I związku z tym Europa stoi przed największym wyzwaniem ostatnich dekad: czy potrafi uczynić wartości swoim atutem, motorem rozwoju, źródłem przewagi konkurencyjnej? Bez wspólnego systemu wartości Europa stanie się nie tylko zbiorem skłóconych narodów, ale też obszarem bardzo podatnym na wpływy zewnętrzne, ekonomiczną czy technologiczną kolonizację. Tylko jeśli potrafi zbudować model korzystnej współzależności, oparty na instytucjach, partnerstwie i szacunku dla różnorodności, będzie mogła nadal inspirować świat, być aktywnym uczestnikiem globalnych przemian. Wartości nie są balastem, lecz źródłem siły — jeśli potrafimy je praktykować, nie tylko deklarować.

Wartości nie są balastem, lecz źródłem siły — jeśli potrafimy je praktykować, nie tylko deklarować.

Dobry klimat dla wartości

Opowieść dziesiąta

(ale równie ważna jak pierwsza i cała reszta):
o tym, co możemy zrobić ze spalaniem węgla
w Azji i amerykańskim *drill baby, drill*



open eyes
economy

- Po nas choćby potop (i pożary)?
- Chiny spalają w miesiąc więcej węgla niż Europa w rok.
Czy to oznacza, że mamy porzucić wartości i nic nie robić?
- Jak to robią w Hiszpanii?
- Polska bez wody i inne zagrożenia
- Poczta Polska, zegarek Made in China za 100 zł
i 12 milionów paczek z Chin w Lublinie
- Śmiertelna pułapka niskiej ceny
- Czego możemy się nauczyć od Philipsa i lotniska w Amsterdamie
- Jeszcze nigdy zabicie konkurencji nie zapewniło
lepszego jakości życia
- Dlaczego ekonomia wartości wygra z ekonomią chciwości

Prowadziłem seminarium dla dziennikarzy z kilkunastu państw znacznie mniej rozwiniętych od Polski – z Azji, Afryki i z Ameryki Południowej. W założeniu oni mieli ode mnie się dowiedzieć, jak buduje się demokrację i wolne media w kraju przez tyle lat niesuwerennym i niedemokratycznym. W pewnym momencie pojawił się problem, jak pisać o zmianach klimatu w krajach będących na dorobku i bazujących wciąż na kopalnych źródłach energii. Usłyszałem od Kolumbijczyka i Brazylijczyka, że my w Europie przejmujemy się wycinką Puszczy Amazońskiej, ale jak się sami rozwijaliśmy i potrzebowaliśmy zasobów, tośmy je pozyskiwali rabunkowo, jak nikt na Ziemi. Na te słowa brawo zaczęli bić Azjaci. Powiedzieli mi prosto w oczy: żeście sobie wymyślili fit for 55 i zieloną gospodarkę obiegu zamkniętego, a my jesteśmy biedni, więc Chiny palą 4 miliardy ton węgla rocznie, czyli CODZIENNIE więcej niż Polska w miesiąc. Cała Europa zużyła w 2024 r. 300 milionów ton, czyli mniej niż Chiny w miesiąc. A są jeszcze Indie, też na dorobku. Konkluzja moich młodszych kolegów była taka, że jeśli mają się rozwijać i próbować nas gonić, muszą przejść taką samą ścieżkę jak my. Czyli eksploatować zasoby. No i teraz mamy Trumpa, lidera najpotężniejszego kraju globu, który przyznaje im rację, wrzeszcząc: *Drill baby, drill*. Więc jest tak, że my wiemy, że to wszystko zniszczy naszą wspólną planetę, mamy w sercu wartości, całe to kantowskie „prawo moralne we mnie”, a jednocześnie nad sobą niebo

gwiazdziste zasnute chińskim smogiem i amerykańskimi starlinkami. Co możemy zrobić?

Dobrze, że pan powiedział o zielonej gospodarce i gospodarce obiegu zamkniętego, bo warto na początku wyjaśnić, że pewne idee związane z szeroko pojętą ochroną klimatu są łatwiej przyswajalne przez ludzi i biznes, a inne nieco mniej. Idea GOZ – gospodarki obiegu zamkniętego – należy do tych najłatwiej przyswajalnych. Zaryzykowałbym nawet pogląd, że nie ma w niej niczego, co mogłoby być kontestowane – zarówno w kręgu zwolenników ekonomii wartości, jak i wśród wyznawców ekonomii chciwości. Kluczowym pojęciem w GOZ jest recykling odzyskanych surowców. Jego istotą jest to, że tak reorganizujemy proces techniczno-gospodarczy, że coś, co było dotąd odpadem, staje się surowcem. I staje się nim przede wszystkim dlatego, że to się opłaca.

Ale też warto?

To jest jakby drugi aspekt, na który my, zwolennicy ekonomii wartości, będziemy zwracać uwagę. Przykładowo: zamiast budować nowe kopalnie kamienia niezbędnego do produkcji cementu, część firm, także w Polsce, pozyskuje surowiec z hałd odpadów i z domów do rozbiórki – i to, że – mówiąc kolokwialnie – bardziej nie rozpruwamy Ziemi tworząc kolejne zakłady wydobywcze, ma niewątpliwie korzystny wpływ na nasze wspólne środowisko. Podobnie wygląda to w przypadku aluminium – tu efektywność recyklingu sięga 97 proc. Owszem, to nie jest jedna linia technologiczna, tylko cały szereg rozproszonych linii technologicznych, ale one razem tworzą GOZ w tym sektorze i to jest dobre. Jednocześnie wiemy, że to jest dobre nie dlatego, że u źródła tego gospodarowania była ekonomia wartości, czyli myślenie, że to będzie dobre dla nas i dla planety, tylko głównie z tego powodu...

Że tak jest taniej?

Że to jest bardziej efektywne.

I to jest zarzut?

Absolutnie nie! Nie kwestionuję myślenia o gospodarowaniu w kategoriach efektywności, zwłaszcza takiej techniczno-gospodarczej, w ramach której wytwarzamy coś taniej – zużywając o wiele mniej zasobów. Czemu mielibyśmy tego nie robić?

Takie pytanie dotyczyło w Polsce przez lata systemu kaucyjnego. On nie mógł wejść w życie, bo wielu przedsiębiorców wskazywało nie tylko na własne koszty, ale np. na koszty spalanej benzyny, zużytej energii.

Oczywiście zużycie energii i innych surowców musi być w procesie recyklingu uwzględnione, aby ten proces miał sens i można było go nazwać gospodarowaniem w obiegu zamkniętym. Na tym polega rola inżynierów i innych specjalistów, by się z tym uporać.

Ale teraz ci inżynierowie i specjaliści mówią, że możliwa jest nie tylko GOZ w kolejnych obszarach i sektorach, ale i inna technologia wytwarzania energii. Np. z wiatru, fotowoltaiki, wodoru, bez spalania paliw kopalnych. A 75 proc. świata mówi: „Dobra, dobra, wy sobie tam róbcie wiatraki i blackouty po hiszpańsku, a my będziemy robić dokładnie to, co wy 100 czy 50 lat temu”.

Faktem jest, że kraje najbardziej uprzemysłowione, mówię tu o europejskich, nie stawiały sobie żadnych ograniczeń w kwestii spalania kopalin. Przez cały XIX i większość XX wieku nie było norm, zakazów i innych barier środowiskowych ani tym bardziej klimatycznych.

Przypomnijmy, że w USA wprowadzono normy środowiskowe dopiero w latach 70. XX wieku, choć pierwsze zakłady przemysłowe pojawiły się na przełomie XVIII/XIX w. To jest minimum 170 lat jazdy bez trzymanki!

To prawda. Ale było to możliwe wyłącznie dlatego, że nie istniała jeszcze świadomość potencjalnych konsekwencji, a nawet jeśli taka

świadomość w końcu się pojawiła, to ludziom nie było dane doświadczyć następstw na własnej skórze.

Skutki pojawiły się szybko, już w XIX wieku. Zatrute rzeki, w miastach nie było czym oddychać. Ale potrzebny był aż wielki smog londyński z 1952 r. i śmierć 4 tysięcy ludzi, żebyśmy w kolebce globalnego przemysłu zaczęli działać. Cztery lata później powstała pierwsza ustawa o czystym powietrzu...

Refleksja i świadomość ekologiczna w społeczeństwach najbardziej zaawansowanych cywilizacyjnie pojawia się już w dziewiętnastym wieku, a może i wcześniej, ale faktycznie działania przyszły później i – znowu – służyły ochronie najbliższego środowiska po to, by uchronić zdrowie i życie ludzi. Nie mieliśmy wtedy dość wyobraźni, a może i wiedzy, żeby przewidzieć dalekosiężne konsekwencje. To się jednak zmieniło: dziś mamy i wiedzę, i dość wyobraźni, by rozmawiać o skutkach dla całej planety, a w konsekwencji – dla nas wszystkich. Bo przecież Ziemia w jakiejś formie sobie poradzi i ocaleje bez nas. Mówimy więc o życiu ludzi na trzeciej planecie od Słońca. Z tej perspektywy, jeśli nawet przyjmiemy rozumowanie kolegów dziennikarzy z pańskiego seminarium, to – czy oni myślą, że konsekwencje drill, baby, drill i spalania miliardów ton węgla w Azji dotkną tylko nas, w krajach rozwiniętych? Przecież to bzdura.

Narzucanie biedniejszym krajom o wysokiej emisji nierealistycznych celów klimatycznych to nie jest podejście racjonalne i sprawiedliwe...

Ale nośna.

Do czasu. Ludzie odczuwają skutki zmian klimatycznych pod każdą szerokością geograficzną. Świadomość konsekwencji rośnie. Dyskusowanie w tym momencie o tym, kto w jakim stopniu przyczynił się do tej katastrofy mija się z celem. Oczywiście, narzucanie biedniejszym krajom o wysokiej emisji nierealistycznych celów klimatycznych przez kraje bogatsze, które po dekadach zdołały ograniczyć emisję, to nie jest podejście racjonalne i sprawiedliwe. Krajom mniej rozwiniętym trudniej jest

dokonać transformacji. Dlatego należy je wspierać, a jednocześnie budować wspólne działania oparte na wspólnej narracji dotyczącej zmian klimatu i ich skutków.

Ale nawet w wielu krajach rozwiniętych są silne ośrodki negacjonistów klimatycznych i zagorzałych zwolenników totalnie nieodpowiedzialnego *drill baby, drill*.

Szczęśliwie nie wszystko dzisiaj toczy się wokół prezydenta Trumpa. W Hiszpanii, kraju co najmniej tak samo podzielonym politycznie jak Polska, z bardzo silnym obozem socjaldemokratycznym i równie mocnym obozem konserwatywnym, po kolejnej fali rekordowych upałów i niszczycielskich pożarów premier Pedro Sanchez powiedział: „Nie mamy wyjścia, musimy w Hiszpanii uczynić z adaptacji do zmian klimatu przedsięwzięcie, które nas wszystkich łączy politycznie, a nie dzieli, bo to jest kwestia bezpieczeństwa wszystkich mieszkańców, niezależnie od poglądów”. To jest racjonalne podejście, a nie to, które zakłada, że „jeśli nawet Polska przestanie spalać węgiel, to i tak nic to nie da, bo Chińczycy dalej będą spalać 4 mld ton”.

Może to jest kwestia przyjęcia na siebie koniecznej części odpowiedzialności?

Właśnie tak postępują ludzie odpowiedzialni: „zrobię wszystko, by mój kraj nie przyczyniał się do niszczenia Ziemi, ale robię to, bo traktuję to jako priorytet naszego bezpieczeństwa wewnętrznego, narodowego”.

Ale chcielibyśmy też jednak jakoś wpłynąć na tych Chińczyków, na Hindusów, na USA.

Wielkie konferencje, na których dyskutowane są globalne zagrożenia, pewnie w końcu doprowadzą do jakiegoś porozumienia, którego wszyscy będą się trzymać. Nie zmienia to faktu, że Hiszpanie mają w tej chwili to, co mają i muszą sobie z tym radzić, tak samo

muszą sobie radzić Australijczycy, Grecy i inni. My w Polsce nie mamy na razie takich katastroficznych pożarów, ale potężne problemy z zasobami wody – już tak.

Już wcześniej mieliśmy ich – w przeliczeniu na mieszkańca – prawie najmniej w Europie. Pod względem odnawialnych zasobów słodkiej wody zajmujemy 24 miejsce w Unii...

Należymy do krajów zagrożonych niedoborem wody. Hydrologi wskazują na suszę hydrologiczną charakteryzującą się niedoborem

Należymy do krajów zagrożonych niedoborem wody. Hydrologi wskazują na suszę hydrologiczną charakteryzującą się niedoborem wody w rzekach, jeziorach i innych zbiornikach wodnych.

wody w rzekach, jeziorach i innych zbiornikach wodnych. Cierpimy w efekcie braku opadów atmosferycznych, zwłaszcza śniegu zimą i niewystarczającej wilgotności gleby, co prowadzi do spadku przepływów i obniżenia poziomu wód. Ten etap suszy jest trudny do odwrócenia, ponieważ czas potrzebny do odnowienia zasobów wodnych jest długi, a skutki dla społeczeństwa i gospodarki mogą być długotrwałe. Z kolei wysuszenie mokradeł powoduje, że praw-

dopodobnie co roku będziemy mieli pożary. Obserwujemy teraz np. wysuszenie Biebrzy i terenów podmokłych w Biebrzańskim Parku Narodowym.

Ornitologowie alarmują od dawna, że prowadzi ono do pogorszenia stanu siedlisk ptaków wodnych i utrudnia zatrzymywanie się ptaków wędrownych.

Jednocześnie zwiększa zagrożenie pożarowe dla torfowisk osuszanych przez działania człowieka, głównie meliorację oraz zmiany klimatu. Niski stan wód gruntowych i wysuszona gleba, zwłaszcza torfowiska, mocno zwiększają ryzyko pożarów, które mogą strawić znaczną część parku, jak to miało miejsce w przeszłości. I tu pojawiają się dwie linie rozumowania. Pierwsza radzi, żeby utrzymać lub wzmocnić ludzką działalność, mimo świadomości, że ona rodzi

takie skutki i ryzyka. Druga zakłada zwiększoną ochronę tych zasobów, mimo świadomości, że ich eksploatacja byłaby zapewne – na krótszą metę – niezwykle opłacalna.

Co na to ekonomia wartości?

Ekonomia wartości wyraźnie wskazuje, że na mokradła i torfowiska nie wolno patrzeć wyłącznie przez pryzmat opłacalności: nie myśmy te torfowiska i mokradła stworzyli, a one są nam niezbędne do życia, więc musimy nimi tak gospodarować, aby chronić tę wspólną wartość. Ekonomia chciwości odpowiada, że dzisiaj biznes torfowiskowy jest tak opłacalny, że eksploatujemy i reszta nas nie obchodzi, bo potrzebujemy pieniędzy i budżet państwa też potrzebuje pieniędzy – a my jesteśmy „fajni”, bo płacimy podatki i jeszcze zatrudniamy wielu ludzi, którzy też płacą podatki.

Ekonomia wartości wyraźnie wskazuje, że na mokradła i torfowiska nie wolno patrzeć wyłącznie przez pryzmat opłacalności (...)

A jakby pan był politykiem, wicepremierem od gospodarki, jak kiedyś, to co by pan zrobił?

Zawsze starałem się patrzeć na interes Polski szerzej. Bo takich dylematów jest co nie miara. Weźmy gospodarkę leśną i pozyskiwanie drewna. Ekonomia wartości mówi, że musimy pozyskiwać drewno, bo potrzebujemy przemysłu meblarskiego, który jest ważną gałęzią naszej gospodarki i naszego eksportu. Przemysł musi mieć dostęp do surowca. Ale zadbajmy przy tym o dwie fundamentalne kwestie: odtwarzalność zasobów, czyli żeby to pozyskiwanie nie było rabunkowe, oraz o uczciwą konkurencję. I mówiąc o odtwarzalności zasobów mam na myśli nie tyle ilość, co jakość, czyli strukturę zalesienia. Ona jest niezwykle ważna, bo już wszyscy ponieśliśmy konsekwencje rozwoju przemysłu hutniczego w pierwszej fazie rewolucji przemysłowej w południowej części naszego kraju, kiedy kultura leśna została zmieniona przez wycinanie lasów bukowych i zastępowanie ich świerkowymi. Dziś ponosimy

różnorodne tego konsekwencje – nie tylko dla zwierząt czy roślin, lecz także dla ludzi. To są konsekwencje ekonomiczne i społeczne. Do tego prowadzi ślepa na wszystko prócz zysków ekonomia chciwości. W tej ekonomii zarabiają nieliczni, a konsekwencje ponosi wielu. Polityk, podejmując decyzje, musi być tego świadom.

A może przy tym skorzystać z jakiegoś gotowego przepisu?

Każdy kraj będzie musiał odpowiedzieć na występujący na jego terenie zestaw i rodzaj zjawisk. Program adaptacji do zmian klimatu będzie inny nie tylko w Polsce i Portugalii, ale też w Krakowie,

Ekonomia wartości polega na tym, że społeczność na danym terenie patrzy na swoje zasoby z perspektywy techniczno-gospodarczej i jednocześnie z perspektywy społecznej...

Warszawie czy Łodzi, bo każde z tych miast boryka się ze specyficznymi wyzwaniami. Nie ma kanonu prawdy, który można by zanieść i powiedzieć: „To jest ekonomia wartości i tak macie postępować”. Ekonomia wartości polega na tym, że społeczność na danym terenie patrzy na swoje zasoby z perspektywy techniczno-gospodarczej i jednocześnie z perspektywy społecznej – potrzeb ludzi, zdrowia, kultury, satysfakcji, długofalowych konsekwencji. Ocena zasobów

musi uwzględniać wszystkie te elementy, a nie tylko to, że ktoś coś się opłaca. I nie ma tu żadnej złotej metody matematycznej, która pozwoli wyliczyć wszystko niezawodnie i automatycznie. Tę metodę musi wypracować społeczność sięgając do uznawanych przez siebie i podzielanych społecznie wartości.

Brzmi to wszystko dobrze, ale ja mam tu zegarek *made in China* wyprodukowany zapewne bez brania pod uwagę całej tej perspektywy społecznej, a już na pewno bez uwzględnienia skutków środowiskowych i klimatycznych. I on kosztuje w Polsce ok. 100 złotych z dowozem do domu przez Poczta Polską, która ma w Lublinie specjalny oddział dla sprawdzania wraz z Krajową Administracją Skarbową i ekspediowania milionów takich przesyłek z Chin. Bo Polacy je kochają jak mało kto. Sprowadzają

masowo wszystko. Byłem jedynym dziennikarzem na zjeździe europejskiego przemysłu skórzanego – zjechali m.in. potentaci z Włoch, Hiszpanii, Portugalii – i usłyszałem, że Polska z dużego producenta obuwia przemieniła się w głównego importera i zarazem eksportera obuwia z Chin. Miliard par w trzy lata. A polski przemysł skórzany się zwija i jako powód wskazuje to, że musi spełnić wyśrubowane normy ekologiczne i społeczne wynikające z europejskich wartości, a chiński produkt zwyczajnie tych norm nie spełnia. A się sprzedaje. Tu i teraz. My, Europejczycy, zachowujemy się tak, jakbyśmy chcieli nawracać świat na ekonomię wartości, a jednocześnie jako konsumenci jesteśmy hipokrytami. Na skalę masową. I to ma swoje konsekwencje – ekonomiczne, społeczne, środowiskowe i klimatyczne.

To wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy: system kapitalistyczny, system gospodarki rynkowej, znajduje swe uzasadnienie w układzie: przedsiębiorczość – konkurencyjność – innowacyjność. Jeden element napędza tu drugi, drugi trzeci itd. Mam świadomość tego, że nie zawsze wszystko tutaj działa dobrze. Generalnie jednak ten układ: przedsiębiorczość – konkurencyjność – innowacyjność przyzwoicie działa, jeśli żaden z jego elementów nie jest tłumiony. Dlatego nie wolno dopuszczać na rynek nieuczciwej konkurencji. Nie może być tak, że ktoś nie przestrzega zasad, które obowiązują wszystkich i zawdzięcza temu rynkowy sukces. Z tej perspektywy spójrzmy na Chiny: cała Unia i wszystkie kraje z osobna mają podobny problem z napływem dóbr z tego kraju. Rozwiązanie tego problemu nie może jednak polegać na wyeliminowaniu konkurencji.

Nikt tego nie chce. Natomiast wszyscy postulują, żeby ona była uczciwa. A tu mamy do czynienia z produkcją odbywającą się bez uwzględnienia naszych europejskich wartości i zasad oraz z eksportem dóbr subsydiowanym przez rząd.

Powtarzam: rządy mają obowiązek nie dopuścić do nieuczciwej konkurencji. Mogą to robić przy użyciu nałożenia określonych wymogów i ich skutecznej egzekucji oraz przy pomocy ceł i innych

mechanizmów. Równocześnie byłbym daleki od takiego postępowania, w którym polityka celna – pod hasłem „ochrony rodzimego rynku” – służy de facto wykluczeniu konkurencji. Jest zbyt wiele dowodów na szkodliwość takiej polityki. Gorąco zachęcam, żeby nie zadawać pytania, jak zatrzymać konkurencję.

To jakie mamy zadawać?

O wiele lepiej pytać: jak sprostać konkurencji? Ono zresztą odnosi się lub powinno odnosić nie tylko do Chin, ale też do Ukrainy czy krajów Mercosuru, czyli bloku handlowego Brazylii, Argentyny,

Paragwaju, Urugwaju i Boliwii. Słyszę, że nie powinniśmy pozwolić na wejście do UE Ukrainy, bo jej rolnictwo jest bardziej konkurencyjne od polskiego. Tyle, że nasze rolnictwo też było kiedyś bardziej konkurencyjne od rolnictwa innych krajów UE – a mimo to zostaliśmy przyjęci i (co niezwykle istotne!) to przysłużyło się rolnic-

Czymś radykalnie innym jest zatem niedopuszczanie do nieuczciwej konkurencji, a czymś innym zablokowanie konkurencji.

twu całej Unii Europejskiej i wpłynęło pozytywnie na jakość życia mieszkańców krajów członkowskich. Czymś radykalnie innym jest zatem niedopuszczanie do nieuczciwej konkurencji, a czymś innym zablokowanie konkurencji.

Zresztą jak niby mielibyśmy blokować? Zakazać? To pół Europy się zbuntuje, bo miliony ludzi stracą dostęp do wielu dóbr. Nakładać cła? Nawet jak to będzie 200 proc., to i tak ten zegarek będzie kosztował 200 zł, a odkurzacz 500 zł. Czyli tanio.

Rozmawiałem kiedyś z producentem ceramiki w Polsce, który mówił, że chińskie produkty wypierają polskie z rynku, bo myśmy się ulokowali i walczymy w kategorii najniższej ceny. Co jest błędem. Jeśli postawimy pytanie, jak sprostać konkurencji, to odpowiedzią nie musi być, że będziemy produkować taniej, zrzucimy z siebie koszty zabezpieczeń ekologicznych i zapłacimy ludziom wystarczająco mało.

To zresztą w realiach Unii i polskiego rynku pracy niemożliwe.

Musimy się zastanowić, w czym nasz produkt, o podobnej funkcjonalności, ma być lepszy. Tu przypomina mi się doświadczenie z lotniska Amsterdam-Schiphol, które kupowało przez lata lampy od Philipsa. Gdyby dzisiaj miało nadal kupować tylko lampy, to znalazłoby z pewnością dostawców tańszych niż Philips. Niewykluczone, że w Chinach. Ale ten port lotniczy już nie kupuje lamp, tylko kompleksową usługą pt. oświetlenie lotniska. To jest cały system, złożony nie tylko z licznych elementów, ale i parametrów – to światło musi mieć odpowiednią barwę, natężenie, oświetlenie musi być funkcjonalne i przyjemne, muszą się za nim kryć efektywne systemy sterowania i oszczędzania energii. Philips musiał stworzyć partnerską sieć wytwarzania wartości, by osiągnąć odpowiedni efekt. Pewnie Chińczycy będą dalej taniej produkowali lampy, ale doświadczenie i wiedza europejskiej firmy pozwala jej dostarczać lepszy system, wytwarzać w kreatywnej sieci większą wartość.

Tak ekonomia wartości wygrywa z ekonomią chciwości?

To jeden z licznych przykładów. Ale warto go mieć zawsze z tyłu głowy. Np. wtedy, gdy planujemy największe po II wojnie światowej dozbrajanie Europy. Czym innym jest wyprodukować czołg czy myśliwiec, a czym innym stworzyć funkcjonalność w postaci sprawnych i niezawodnych systemów obronnych. Systemy składają się z wielu różnych, skomplikowanych i powiązanych ze sobą elementów, a to wymaga harmonijnej współpracy z wieloma różnymi partnerami. Jak przy Airbusie. W konkretnej pojedynczej dziedzinie zapewne każdy będzie prędzej czy później narażony na konkurencję chińską. Chodzi o to, by z jednej strony nie dopuścić do tego, by to była konkurencja nieuczciwa, a z drugiej – aby nie podejmować z nią rywalizacji samą tylko ceną. W taniości z nimi nie wygramy.

W konkretnej pojedynczej dziedzinie zapewne każdy będzie prędzej czy później narażony na konkurencję chińską.

Powtarza pan, że zmiana myślenia musi objąć wszystkie sektory, zwłaszcza te strategiczne, jak energetyka, ale także tzw. dostawców mediów.

Już dawno przekonywałem energetyków, że zakłady energetyczne produkujące energię prądem czy później staną się w Polsce nieopłacalne. Zatem już dziś powinny sobie zadać pytanie: czy powin-

Czy powinno nam zależeć na wytwarzaniu prostego „produktu”, jakim jest energia elektryczna, czy też raczej powinniśmy się stać najwybitniejszymi specjalistami od zarządzania energią, w tym od energooszczędności?

no nam zależeć na wytwarzaniu prostego „produktu”, jakim jest energia elektryczna, czy też raczej powinniśmy się stać najwybitniejszymi specjalistami od zarządzania energią, w tym od energooszczędności? To samo pytanie powinny sobie postawić przedsiębiorstwa wodne: czy jesteśmy od dostarczenia wody, czy najwybitniejszymi ekspertami od gospodarowania wodą? Centrami wiedzy, centrami technologii, a nie tylko dostawcami określonej usługi.

Mówię im wprost: jeśli pozostaniecie tylko providerami, dostawcami, to prędzej czy później nie utrzymacie się, nie wytrzymacie konkurencji. I co, będziecie ją blokować? O wiele więcej sensu ma przyznanie, że proste produkty przestały być fundamentem przewagi konkurencyjnej. Stała się nim funkcjonalność, bazująca na eksperckiej wiedzy.

Mam w domu system pomagający ograniczyć zużycie wody bez utraty komfortu. Wraz ze zbiornikami na deszczówkę dał 40 proc. oszczędności.

Europa ma zasoby, by podjąć wyzwania w każdej dziedzinie.

A są jeszcze na przykład systemy wtórnego obiegu wody w gospodarstwie domowym itd. To jest cała dziedzina wiedzy. I przyszłość ludzkości. Chińczycy, wbrew pozo-

rom, też już myślą w tych kategoriach. I bardzo wiele w różnych obszarach robią. Powtarzam: musimy twórczo myśleć, jak stawić czoła ich konkurencji, a nie jak ją ubić. Europa ma zasoby, by

podjąć wyzwania w każdej dziedzinie. Najpierw jednak musimy otworzyć oczy i wejść na drogę ekonomii wartości – poszukując rozwiązań właśnie na tej drodze, a nie w ślepej uliczce wyłączania konkurencji, budowania murów celnych i gospodarczej autarkii.

Na wspomnianym zjeździe przemysłu skórzanego producenci z Włoch mówili, że nie mają problemu z Chińczykami, bo grają w całkiem innej lidze – stworzyli słynne studia projektowe, kreują modę, zbudowali silne globalne marki. Zresztą chętnie kupowane przez zamożnych Chińczyków.

Nie chcę wchodzić w politykę handlową UE i poszczególnych krajów, która musi jakoś uregulować wymogi wobec chińskich produktów i egzekucję tych wymogów, a ewentualnie może ograniczać zbyt agresywny napływ niektórych dóbr przy pomocy cel. Natomiast bardzo mocno zwracam uwagę na konieczność budowania przez europejskich, w tym polskich, przedsiębiorców zupełnie innej przewagi konkurencyjnej – nie opartej na taniości danego produktu czy usługi. W tym celu musimy wytwarzać i oferować bardziej zaawansowane i złożone dobra, których nie da się wyprodukować przy pomocy niskopłatnego pracownika i prostej technologii. Musimy się przesunąć w naszym sposobie funkcjonowania biznesu właśnie w kierunku innego myślenia, np. o tym, czym jest but. Albo czym jest bluzka.

100 lat temu statystyczny Europejczyk rzekłby, że but jest po to, żeby nie dreptać boso, a koszulka po to, by się odziać.

Ale my jesteśmy w XXI wieku i... Warto pamiętać, że tureckie i azjatyckie tekstylia bardzo mocno uderzyły w przemysł odzieżowy we Włoszech – ale tylko do pewnego momentu. Podobnie jak wspomniany przez pana przemysł skórzany, przemysł odzieżowy we Włoszech zaczął być w coraz większym stopniu przemysłem designerskim. Istnieje pojęcie „trzecich Włoch”, między południem a tradycyjnie przemysłową północą. Rozwinęła się tam cała masa działań przemysłowych opartych na budowaniu i rozwijaniu

regionalnej sieci wytwarzania wartości. Np. z małych zakładów rzemieślniczych, które z jednej strony ze sobą konkurują, co napędza innowacyjność, a z drugiej – współpracują. Kryje się za tym dojrzałość organizacyjna i nowoczesność technologiczna.

Przestańmy więc
przekonywać innych
i samych siebie, że
bez konkurencji
będzie nam lepiej.
Guzik prawda!

A wszystko składa się na silną markę.

Tak jest! Przestańmy więc przekonywać innych i samych siebie, że bez konkurencji będzie nam lepiej. Guzik prawda! Jesz-

cze nigdy zabicie konkurencji nie napędziło postępu i nie zapewniło lepszej jakości życia. Owszem, konkurencja musi być uczciwa, etyczna, odpowiedzialna. I w takiej konkurencji ekonomia wartości wcale nie jest skazana na porażkę z ekonomią chciwości. Jestem pewien, że wręcz odwrotnie.

Rozmawiał Zbigniew Bartuś.

Część 2.

Esej

Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości – w poszukiwaniu idei i nadziei

Jerzy Hausner



Współczesny człowiek wkroczył w okres głębokiego kryzysu swej nadziei. Kryzys nadziei jest kryzysem podstaw. Kiedyś ludzie zabijali się w imię wiary w wyższość własnej nadziei nad nadzieją cudzą. Dzisiaj „doduszają się” własną beznadziejnością.

Ks. Józef Tischner,
Kraków, listopad 1981

W niniejszej części publikacji stawiam tezę, że dominujący model gospodarczy – nazwany tu ekonomią chciwości – jest bezpośrednią konsekwencją przyjęcia instrumentalnego i uprzedmiotawiającego podejścia do wartości. Taka ekonomia sprowadza wartość do ceny, a etykę do logiki środków i celów, co prowadzi do uprzedmiotowienia człowieka i środowiska.

W poszukiwaniu fundamentu dla paradygmatu ekonomii wartości, na początku odwołuję się do myśli przedstawicieli Krakowskiej szkoły fenomenologii wartości, które skupiają się na egzystencjalnym i relacyjnym wymiarze wartości. Choć jej przedstawiciele – Roman Ingarden, Józef Tischner, Władysław Stróżewski i Antoni Kępiński – wywodzili się z różnych dyscyplin, łączyła ich tradycja fenomenologii i głębokie przekonanie, że wartości nie są ani subiektywną projekcją, ani transcendentnym absolutem, lecz rodzą się w ludzkim doświadczeniu spotkania z Innym. Odrzucając instrumentalne podejście, przedstawiciele tego nurtu kładli nacisk na aksjologiczną naturę wartości, która ujawnia się w działaniu, dialogu i aktywnym zaangażowaniu w tworzenie Dobra. Dla nich wartości stanowią horyzont etyczny istnienia, są osadzone w więziach społecznych i stanowią klucz do zrozumienia kondycji współczesnego człowieka.



Roman Ingarden (1893–1970) Filozof, twórca tzw. drugiej szkoły fenomenologicznej – realistycznej, odmiennej od idealistycznej fenomenologii swojego nauczyciela Edmunda Husserla. W swoich pracach podejmował problematykę m.in. ontologii, etyki, estetyki, teorii poznania, teorii wartości. Stworzył własną odmianę etyki aksjologicznej opartej na analizie istoty wartości moralnych w szczególności odpowiedzialności, szlachetności postępowania moralnego, czy bezinteresownego pomnażania dobra w świecie.



Antoni Kępiński (1918–1972) Wybitny psychiatra i psychopatolog. Przeniósł refleksję filozoficzną na grunt psychologii i kliniki, stając się jednym z najbardziej wpływowych humanistycznych myślicieli medycznych. Opisywał lęk, schizofrenię i patologie jako efekty kryzysu więzi i kryzysu aksjologicznego – niemożności nawiązania autentycznej relacji z Innym lub ucieczki w postawy obronne (np. postawę konsumpcyjną). Podkreślał, że zdrowie psychiczne jest powiązane ze zdolnością do postawy twórczej i aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym, a nie z biernym przyjmowaniem bodźców.



Józef Tischner (1931–2000) Ksiądz, filozof i publicysta, jeden z najważniejszych polskich myślicieli XX wieku. Był twórcą Filozofii Dramatu i autorem przełomowego dzieła *Myślenie według wartości*. Wniósł do szkoły perspektywę dialogiczną i etyczną, twierdząc, że wartości nie są abstrakcyjnymi bytami, lecz rodzą się w relacji „ja–Ty”, czyli w doświadczeniu spotkania z drugim człowiekiem. Podkreślał, że autentyczne bycie jest nierozzerwalnie związane z czynem ratowania Innego z jego tragiczności, co stanowi fundament aksjologiczny dla idei wspólnoty i Dobra.



Władysław Stróżewski (1933-) Filozof, profesor nauk humanistycznych, wybitny dydaktyk i naukowiec. Główne obszary badań: ontologia, filozofia wartości, estetyka, filozofia człowieka, historia filozofii. Bada naturę, hierarchię i sposób istnienia wartości, zwłaszcza tych najwyższych, które utożsamia z bytem (co oznacza, że wartość jest zakorzeniona w samym istnieniu) oraz zajmuje się fundamentalnymi zagadnieniami dotyczącymi natury człowieka, m.in. zagadnieniem negacji, niebytu, wolnej woli oraz aksjologicznej struktury człowieczeństwa.

Dla filozofii Józefa Tischnera (2002, s. 10) kluczowe jest „myślenie według wartości”. Takie myślenie nie musi być subiektywizmem, o ile jest odniesione do innego człowieka. Tyle że wtedy myślenie łączy się z działaniem, nie jest czystą kontemplacją, a fenomenem doświadczenia – spotkaniem z innym. Relacja między człowiekiem a człowiekiem jest więc relacją *par excellence* etyczną, a przez to staje się najbardziej źródłowym doświadczeniem (tamże, s. 32).

Tischner podkreśla, że doświadczenie drugiego człowieka oznacza otwarcie etycznego horyzontu istnienia. Jego istotę stanowi pojęty egzystencjalnie dialog dobrej woli. Gdy ratuję drugiego z jego tragiczności, to jednocześnie ratuję siebie z mojej (tamże, s. 365). Dobro rodzi się z dobrej woli. Zła wola niszczy wszelkie dobro.

Tylko drugi człowiek jest zdolny wyprowadzić człowieka z obsesji skierowanej do samego siebie. Ale współczesna cywilizacja techniczna sprawia, że stajemy się istotami coraz bardziej otopiałymi na drugich, coraz mniej rozumiejącymi drugich, coraz bardziej w ucieczce od ich konkretnych bólów (tamże, s. 366).

Nauczycielem Tischnera był Roman Ingarden, dla którego człowiek to istota skierowana ku wartościom. To świadczy o jego wolności i w tym najpełniej wyraża się to szczególne zaufanie człowieka do własnego istnienia, które nie pozwala mu tracić „swego czasu”. Być wolnym w tym sensie oznacza dawać świadectwo wartościom tylko dlatego, że są wartościami: jest się prawdomównym

dla samej prawdomówności, sprawiedliwym dla samej sprawiedliwości, wiernym dla samej wierności. Wtedy wartości są istotne dla siebie samych i samoistne (tamże, s. 43-44).

Ingarden (1966, s. 125) uważa, że wartości odnoszą się do ludzi. Także te, które są uprzedmiotowiane. Sam przedmiot nie jest wartością, ale uprzedmiotowiona wartość może pośredniczyć w relacjach między ludźmi. Wartościowość (wartościowanie) jest zatem fenomenem społecznym. Wartości nie są absolutem. Społecznie odniesione wartościowanie je subiektywizuje i zarazem obiektywizuje. Nabierają tym samym egzystencjalnej mocy. Nie mają wówczas przyczyny czy motywu. Istnieją, bo przenikają myślenie i działanie ludzi. Ono je wytwarza i podtrzymuje, w przeciwnym razie nikną. Wywodząca się z fenomenologii filozofia wartości nie przypisuje im bytu realnego. Nie znaczy to, że wartości nie mają żadnego bytu, że trzeba je sprowadzać do aktów wartościowania (Tischner, s. 267).

Do grona przedstawicieli krakowskiej szkoły fenomenologii wartości włączyłem Antoniego Kępińskiego - wybitnego psychiatrę, gorącego orędownika psychiatrii humanistycznej. Skłoniła mnie do tego lektura cytowanej książki Tischnera. Kępiński uważa, że świadomość sytuacji etycznej budzi się w człowieku wtedy, gdy odkrywa, że przed nim stoi drugi człowiek. Dlatego jest tak ważne, aby dopuścić do głosu doświadczenie przeżycia, świadomość, że człowiek jest istotą wolną, która nawet poprzez chorobę szuka swego ethosu – miejsca zdomowienia (tamże, s. 398). Kępiński, badając i lecząc więźniów obozów koncentracyjnych, dostrzegał fundamentalne znaczenie nadziei. Podkreślał, że wyznacza ona sens ludzkiemu heroizmowi, umożliwia go nie tylko jako czysto wewnętrzne doznanie, ale jako czyn, jako wydarzenie. Nadzieja odsłania jakąś przyszłość, a jednocześnie stwarza możliwości autentycznego przeżywania teraźniejszości. Dzięki niej jest możliwa zarówno wolność od teraźniejszości, jak i zanurzenie w nią poprzez przyjęcie odpowiedzialności za to, co „teraz”. Brak nadziei sprawia, że człowiek odrywa się od świata i od siebie (tamże, s. 409).

Przejmujący jest przedstawiony przez Kępińskiego opis „człowieka z kryjówki”, którym jest ten, kto cierpi na chorobę nadziei:

jego nadzieją rządzi zasada ucieczki od ludzi (tamże, s. 413). Wprawdzie w kryjówce nadzieja nie znika bez reszty, tylko maleje, ale maleje do tego stopnia, że staje się jedynie nadzieją przetrwania. Ta zaś jest pasywna. Może zbliżać ludzi, ale nie pozwala im twórczo współdziałać. Do tego potrzebna jest nadzieja aktywna. To ona jest źródłem zasilania energii społecznej.

Człowiek w kryjówce wierzy, że nosi w sobie jakiś skarb. Skarb ten stara się głęboko schować. Sam staje przy schowku i pilnuje. Miejsce, w którym stoi, otacza ścianą lęku. Wszystkich ludzi zbliżających się do kryjówki podejrzewa o to, że przychodzą po to, by go okraść i zniszczyć. Droga z przestrzeni nadziei w przestrzeń kryjówki jest upadkiem człowieka o znaczeniu głęboko etycznym. I chociaż nie jest to upadek w grzech, w świadomą i dobrowolną winę, jest to jednak naprawdę upadek. Człowiek żyje na poziomie nijakości, poza dobrem i złem, jest ani winny, ani niewinny, jego odpowiedzialność znalazła się w stanie uwięźdzenia. Nie znaczy to jednak, że stracił tym samym ludzką godność. Rzecz w tym, że cała ta godność sprowadza się do wartości cierpień, którym człowiek podlega. Znamienным rysem ludzi z kryjówek jest to, że sami cierpią i przysparzają cierpień innym. I, co najgorsze, ich cierpienia są równie wielkie, jak niepotrzebne (tamże, s. 413).

Kępiński uważa, że sposób doświadczania przez człowieka wartości jest miejscem skrzyżowania dróg wiodących bądź w stronę kryjówki, bądź w stronę przestrzeni otwartej nadziei. W zależności od podjętego wyboru albo będzie się szło przez życie drogą tworzenia, albo pozostanie się przy pewności schronienia. Kryjówka to miejsce wolności załęcznionej, wolności zatroskanej potrzebą chronienia samej siebie. Otwarta przestrzeń nadziei to przestrzeń wolności zatroskanej potrzebą realizowania wartości (tamże, s. 414).

Jeśli przestrzeń społeczna jest wypełniona lękiem, to w ostatecznym rozrachunku jest to lęk przed człowiekiem. Bierze z niego początek struktura aksjologicznego przeciwieństwa: drugi jest moim przeciwnikiem, moim mniej lub bardziej jawnym wrogiem (tamże, s. 419).

Człowiek nie jest skłonny obdarzać uczuciami pozytywnymi świat, który jest mu obojętny, a nawet wrogi. Kępiński powiada:

można stwierdzić, że świat z jego wojnami i zbrodniami zawsze był dla rozumnego człowieka źródłem jakiegoś lęku. Problem leży w tym, jak ów lęk pokonać (tamże, s. 421).

W ocenie Kępińskiego warunki naszej cywilizacji utrudniają przyjęcie odpowiedzialności za siebie i za otoczenie, utrudniają też wyładowanie tendencji twórczych. Postawa konsumpcyjna wyrażnie przeważa nad postawą twórczą. Psychiatra pyta, czy znajdziemy dość siły, aby to odmienić. Niezbędny jest przy tym przewrót w przeżywaniu wartości. A punktem wyjścia musi być ten gest serca i rozumu, dzięki któremu człowiek wymyka się samej zasadzie przeciwności, będącej współcześnie podstawowym czynnikiem organizującym przestrzeń obcowania z innymi (tamże, s. 428).

W myśleniu przedstawicieli krakowskiej szkoły fenomenologicznej filozofii wartości znamienny jest motyw wolności. Tischner ujmując to następująco: „Cały urok świata wartości bierze się zapewne stąd, że nic z tego świata nie narzuca się nam przymocą. Niemniej dzięki wartościom czujemy niewyraźnie, że jeśli tego świata nie uznajemy, możemy ulec jakiejś przemocy” (tamże, s. 482). Przemoc niszczy materię wartości. Amen.

Przemyślenia cytowanych przedstawicieli krakowskiej szkoły filozofii wartości stanowią dla mnie kanwę dalszych rozważań o naturze wartości.

John Dewey (1939) dokonuje rozróżnienia między dwoma rodzajami wartościowania. W pierwszym przypadku używa określenia *Valuing*, które można przetłumaczyć jako „cenić” i/lub „wycenić”. Ten rodzaj wartościowania odnosi się do intencji określonego działania, jego podstawowego motywu – pragnienia czy interesu. Drugi rodzaj wartościowania Dewey określa jako *Valuation*, co oznacza ocenić (*appraising*) i odnosi go do wyniku działania. Ta propozycja łączy wartościowanie z jednostką. Jest głęboko osadzona w koncepcji indywidualizmu metodologicznego. Wartościowanie polega tu na uznaniu wartości czegoś lub nadawaniu czemuś wartości przez jednostkę.

Takie rozumienie wartościowania przypisuje je – moim zdaniem – do pola wartości instrumentalnych. W tym polu kluczowe znaczenie ma relacja podmiot–przedmiot. A więc wartość nie może być

oderwana od czegoś, co jest jej uprzedmiotowionym nośnikiem. Dewey ma tu na względzie określony akt lub środek. Wartości są ujęte w porządek teleologiczny, porządek celowego działania i relację środki-cele. W ten sposób wartościowanie wiąże się z działaniem, wysiłkiem, staraniem się, a nie z samym pragnieniem posiadania.

Nie ma tu jednak w zasadzie miejsca na wartości egzystencjalne. Według mnie świat bez nich oznacza życie pozbawione sensu, który wynika nie z celowościowego, ale ze źródłowego usytuowania wartości. Dopiero w polu wartości egzystencjalnych postępowanie jednostki transcenduje i przyczynia się do wytwarzania/podtrzymywania tego pola.

Odnoszenie wartości do konkretnego celu działania je instrumentalizuje. I jeśli „wartościowanie” zostaje do tego sprowadzone, to w konsekwencji instrumentalizacja wartości je niweluje, pozbywając społecznej treści i nośności. Wprzęganie wartości w relację środki-cele uprzedmiotowia je, co w skrajnym przypadku prowadzi do uprzedmiotowiania ludzi, do traktowania ich jako narzędzi.

Aby uniknąć tego rodzaju negatywnych implikacji, Dewey uzupełnia relację środki-cele o relację środki-konsekwencje (tamże, s. 24). Ma to umożliwić włączenie do wartościowania jako oceniań (*valuation*) uprzednich doświadczeń, a tym samym wyprowadzić z nich generalizacje wskazujące reguły „dobrego”, właściwego użycia określonych środków. Wartości są tu ujmowane jako cele nadrzędne (*end-values*). Formowana jest w ten sposób podstawa naukowego ugruntowania poprawności działań i ich weryfikowania pod względem zgodności zamierzenia i wyniku.

To wprost wyrażona propozycja ujmowania wartości w sposób analityczny, techniczny. W tym sensie można je empirycznie weryfikować, a także mierzyć. Da się więc w ten sposób wyznaczyć najkorzystniejsze metody wycinania lasu, projektowania ubezpieczeń na życie czy konstruowania więzień. Generalnie tworzy to grunt optymalizacji ludzkich zachowań.

Dewey zdaje sobie dobrze sprawę z moralnego zagrożenia wiązania środków i celów w kontekście wartości. Odrzuca i przeciwstawia się absolutyzowaniu celów zgodnie z zasadą „cel uświęca środki”. Dlatego tak mocno akcentuje konieczność rozróżnienia

wartościowania środków na początku działania oraz wyniku po jego zakończeniu. Dodaje, że relacja środki-cele nie powinna być ujmowana jednostkowo i jednostronnie.

Biorąc pod uwagę konsekwencje działania, jego wynik należy odczytywać jako początek kolejnego działania, środek prowadzący do dalszego celu, w tym celu nadrzędnego. Każdy wynik działania staje się środkiem dla kolejnego. To próba wyjścia poza schemat środki-cele i włączenia w działanie jednostki szerszego, społecznego kontekstu. Dlatego Dewey zaleca, aby w ocenie wyniku działania analizować wszystkie okoliczności, w tym te brane pod uwagę u początku działania, których zmiana stanowi uwarunkowanie kolejnych działań i których ocena stanowi weryfikację pierwotnego wartościowania. Z tego rozumowania praktycznie ma wynikać następujące przykładowe zalecenie (tamże, s. 46): „Lekarz ma obowiązek rozważyć wartość różnych działań medycznych i ich rezultaty w odniesieniu do konkretnego pacjenta, mając na względzie jego dobro”. Pacjent w tym ujęciu pozostaje jednak uprzedmiotowiony, jest obiektem medycznego działania lekarza.

Nawet poszerzona perspektywa poznawcza proponowana przez Deweya – w mojej ocenie – niewiele zmienia. Nadal oznacza instrumentalizację wartości i niedostrzeganie ich egzystencjalnego zakorzenienia. Dla mnie kluczowe jest to, że wartości egzystencjalne, jeśli działają, to działają u początku działania – źródłowo. „Działają” oznacza, że przenikają działanie, otaczają je, nadają mu sens. W tym przypadku wartości nie można przypisać do czegoś. Nie mają swojego uprzedmiotowionego nośnika. Ich nośnikiem, przekaznikiem (rozpylaczem), napędem są więzi między ludźmi tworzące się w ich wspólnym działaniu. Wartości istnieją poprzez te więzi i ich społeczne (kulturowe) umocowanie.

Podzielał pogląd Hansa Joasa (2009, s. 170), który uważa, że wywody Deweya w niewielkim stopniu przyczyniają się do odpowiedzi na pytanie o powstawanie wartości – jeśli rozumieć przez to co innego niż racjonalną reinterpretację orientacji działania w świetle sytuacji problemowych.

U Deweya to, co egzystencjalne, wyłania się na końcu wartościowania, a nie od początku. Egzystencjalne mieści się tylko

w świecie wyobrażonym, a nie w świecie realnym. Wkracza do świata realnego wtórnie, niejako od góry. Twarde wiązanie przez Deweya wartościowania z relacją środki–cele nawet w tej poszerzonej cyrkularnej interpretacji prowadzi do instrumentalnego i proceduralnego rozumienia wartości, z czego nieuchronnie wynikać będą zalecenia w rodzaju: bierz pod uwagę, bądź odpowiedzialny, przewiduj, postępuj racjonalnie.

Tak rozumiane wartości tkwią z pułapce metodologicznego indywidualizmu i antropologii człowieka racjonalnego. Dewey uparcie utrzymuje, że pragnienia i interesy mogą być kontrolowane racjonalnie – intelektualnie i empirycznie. Metoda góruje nad sensem. Aby włączyć do rozważań o wartościach sens – który odnosi się do wartości egzystencjalnych – powinny one być rozumiane nie tylko jako magnesy, jak tego chce Dewey, ale także jako napęd.

Jednocześnie niezbędne jest odróżnienie wartościowania w dwóch sferach wartości: instrumentalnych i egzystencjalnych. Choć się przenikają, jakościowo są odmienne. W przypadku wartości egzystencjalnych wartościowanie jest przewartościowaniem wynikającym ze współdziałania z innymi oraz nabywanego doświadczenia. Bycie to stawanie się, co Kant genialnie ujął, konstatuując: „Istnienie nie jest predykatem deskryptywnym” (Dukaj 2021, s. 223).

Społeczne wartościowanie jest zarazem wytwarzaniem wartości, które społecznie promieniają. Przewartościowanie nie jest tu odrzuceniem, negacją, a społeczno-kulturową przemianą. Nie ma żadnej obiektywnej miary, idealnego wzorca. Polega ono na stopniowym przeobrażaniu się pola aksjologicznego danej społeczności. Transcendowaniu w ponadczasowość tego, co ją etycznie spaja. Indywidualne doświadczenia formują empatyczną wspólnotę losu.

Jacek Dukaj (2021, s. 58–59) celnie postrzega, że jeśli wartości nie działają jako egzystencjalny napęd, ciężko dźwigać się rano z łóżka, iść w świat, między ludzi i ludzkie sprawy i wystawiać się na ryzyko niepowodzenia; ciężko robić cokolwiek; ciężko żyć. Jednostki są wówczas poddawane „inżynierii zajętości” (tamże, s. 79). Robią coś, aby robić cokolwiek. Mogą w tej „zajętości” nie odczuwać pustki, „obrabiane” przez technologie pobudzania pragnień

i likwidacji nadziei (tamże, s. 102). Same się uprzedmiotowiają, pozostając w świecie izolacyjnego niespełnienia.

Dukaj ostrzega (tamże, s. 180, 173): „Jeśli zaś nie ma nikogo, kto mógłby współodczuwać – gdy tak się rozmył, odpodmiotowił i zdekonstruował – wracamy do samego początku cyklu przeżywania, do tej półzwierzęcej „empatii” prostego kopiowania, naśladowania, udawania, do pustego w środku pudła rezonansowego udawanego człowieczeństwa”. Można w ten sposób odcisnąć się w innym, ale nie można go odnaleźć. Bowiem nie ma pomostu porozumienia i współdziałania. Taki pomost znika, kiedy interakcja sprowadza się do bodźca i reakcji, trwa momentalnie – tu i teraz. Czas i przestrzeń są nieistotne, bo nie można ich zobaczyć, dotknąć, usłyszeć. Przeżycie nie staje się doświadczeniem: jest za bardzo skrócone, przyspieszone i eliptyczne (tamże, s. 263).

Ogarnia nas pandemia osamotnienia.

Zdecydowana większość ludzi na świecie ma trudności z rozpoznaniem, w jakiej aktualnie pozycji znajdują się poszczególne postulaty egzystencji – czy są to propozycje wartości, których realizacja należy do nas, czy też zideologizowane atrapy, których „przyswajanie” zamienia nas w niewolników ideologii. Kultura nie wypracowała wystarczająco skutecznych mechanizmów, zdolnych do sformułowania prostego i jasno wyrażonego ostrzeżenia.

Wartości egzystencjalne powinny mieć specjalny czujnik, który włącza alarm w momencie, kiedy jakiś polityk zaczyna przy nich manipulować i zamieniać je w narzędzia sterowania umysłami (zob. Potocka 2020, s. 6). Zideologizowanie wartości pociąga za sobą ich schematyczne narzucanie w masowej skali. Służą wtedy jako broń masowego rażenia.

Ingarden pisze: „Nawiązując do terminologii Schelera, można by powiedzieć, że wartość (...) to ten zespół momentów, które występując na pewnym «dobru», sprawiają, iż ono nie jest po prostu jakąś rzeczą tylko, lecz że jest właśnie «dobrem» w rozumieniu Schelera” (1966, s. 102). Uważam, że wartość egzystencjalną nie-sie „dobro”, „dobro” zaś jest nośnikiem wartości instrumentalnych. Tym samym wartości egzystencjalne istnieją inaczej niż instrumentalne. Pierwszych nie można przypisać do konkretnych osób

czy czynów. Cecha czy umiejętność nie jest wartością, ale umożliwia wytwarzanie wartości, których nie można wyprowadzić z samych intencji. Wynikają wprost z działania/zaniechania.

Wartości nie są też bytem idealnym. Ingarden mówi o „procesie realizowania się wartości” (tamże, s. 105). Oznacza to, że ujawniają się w określonych warunkach.

Odwołując się m.in. do Schelera, Ingarden podkreśla „powinnościową” (*Seinsollen*) naturę wartości, co w szczególności odnosi do wartości moralnych. Można to rozumieć w dwojaki sposób. Powinność tkwi w wartości i przyciąga, wywołuje działanie i/lub działanie wypełnia powinność jako warunek realizacji wartości (tamże, s. 109). To objaśnienie bez wątpienia pasuje do wartości egzystencjalnych, jest natomiast wątpliwe w odniesieniu do wartości instrumentalnych.

W ekonomii wartość została zrównana z ceną, wartościowanie z wycenianiem, a gospodarowanie z zarabianiem. Dominującą osią gospodarowania staje się wówczas wymiana a nie wytwarzanie.

Wartość ekonomiczna jest ukonstytuowana społecznie, tak jak i inne wartości. Inaczej jednak przebiega jej instrumentalizacja. Kluczową rolę wypełnia tu rynek, który nadaje dobrom wartość wymienną, dokonuje ich wyceny. A rynkowa wycena zależy od „społecznej”, instytucjonalnej obudowy rynku. To, jak indywidualne działania komponują się w wartościotwórcze więzi społeczne, zależy do tego, jak działa rynek.

W ekonomii głównego nurtu wycena stała się synonimem wartościowania. Sam problem wytwarzania wartości został natomiast pominięty. Dominacja wyceny ujawnia się szczególnie wtedy, kiedy szacuje się – różnymi metodami – wartość „hipotetyczną”, warunkową (*contingent valuation*), nawet wtedy, gdy nie zachodzą rynkowe transakcje i dane dobra nie są bezpośrednio użytkowane. W konsekwencji wartości samoistne, np. lasu czy życia – generalnie wartości egzystencjalne – są rugowane. Fourcade (tamże, s. 58) celnie to punktuje, podkreślając, że tzw. „warunkowa wycena” służy wycenianiu wartości środowiska naturalnego poprzez statystyczną agregację indywidualnych preferencji. W tym rachunku człowiek jest sprowadzony do roli konsumenta, który dokonuje zakupu

wypreparowany ze społecznego kontekstu. W realiach takiego myślenia, jeśli przemysł farmaceutyczny lub kosmetyczny wypracowuje wysokie zyski, to dopuszczanie do zanieczyszczania przez niego wód jest ekonomicznie uzasadnione, jeśli tylko odpowiednia część podatku od tych zysków przepłynie do firm wodociągowych, które wodę oczyszczają. To się przecież opłaca.

Wartościowanie (*valuation*) jest czymś szerszym niż wycena. To wprawdzie proces, w którym uczestniczą jednostki, ale ma on społeczną naturę – bazuje na relacjach międzyludzkich. Wartość jest wartością nie tylko dla kogoś, ale także przez kogoś. Las jest drewnem, jeśli pominiemy jego życiową i społeczną funkcję.

Wartości ekonomicznych (dobra) nie można objaśnić w perspektywie indywidualistycznej – indywidualizmu metodologicznego – i użytecznościowej. Instrumentalne podejście jest niezbędne, ale jednostronne. Aby tego uniknąć, trzeba dostrzec wartości egzystencjalne (dobro). Bez tego można rozważać wartość inwestycji (*investment value*) wyłącznie poprzez rynkową wycenę zwrotu z kapitału, z pominięciem jej materialno-rzeczowego czy intelektualno-twórczego wymiaru (Beckert i Aspers 2011, s. 11).

Ekonomia wartości przeciwstawia sobie dwie odmienne filozofie gospodarowania. „Zużyj mniej, wytwórz więcej” to fundament gospodarowania bazującego na wytwarzaniu dóbr. W przypadku gospodarowania skoncentrowanego na rynkowej wymianie dominuje inna logika – „wydaj mniej, zarób więcej”. Wówczas gospodarowanie nie polega na wytwarzaniu, a na zarabianiu. Thomasowi A. Murphy’emu, prezesowi i dyrektorowi generalnemu General Motors w latach 1974–1980 przypisywana jest następująca sentencja: *„General Motors is not in the business of making cars. It is in the business of making money”*.

Powyższe przeciwstawienie nie oznacza negacji gospodarki rynkowej. Pozwala jednak dostrzec, że nieograniczona komercjalizacja, poddanie wszystkiego rynkowej wymianie, przekształcanie każdego dobra w towar odrywa je od jego wartości społeczno-egzystencjalnej, a umacnia jego wartość instrumentalną. W skrajnym przypadku ta wartość społeczno-egzystencjalna jest rugowana – wszystko zyskuje swoją rynkową wycenę, nawet miłość.

Przekreśla to odpowiedzialność i przezorność, skłania do amoralnego oportunizmu. Prowadzi do przerzucania kosztów i ryzyka na innych a zachowywania zysku dla siebie – co w istocie oznacza jego przechwytywanie i zawłaszczanie. Gdy doszczętnie wyekspluatuujemy dany teren, przerzucamy się na kolejny. Zanim zniszczymy Ziemię, przeniesiemy się na inną planetę.

Porządek wartości egzystencjalnych to porządek dobra. Jeśli tylko dba się o dobra, a nie tworzy się samego dobra, panuje zło. Wartość jako dobro nie jest czymś, po co można sięgnąć i wykorzystać. Nie jest to też wybór albo-albo. Jak podkreśla Stanisław Brzozowski, to nie stan mentalny, to akt społeczny [za: Walicki 2011, s. 42]. Ujawnia się w szerokim, egzystencjalnym polu aksjologicznym, wiążąc ludzi w działaniu. Dobro jest dobrem wspólnym, bo wspólnie wytwarzanym: inaczej go nie ma.

Wartości społecznie wiążą – wynikają z więzi społecznych i podtrzymują je. Trafnie uchwycił to Émile Durkheim, uważając, że anomia jest równoznaczna z osłabieniem wiążącej mocy wartości (Joas 2009, s. 14). Więzi społeczne są więc relacją, przez którą przebiega wartościowanie. Dlatego wartości nie należy sprowadzać do relacji podmiot–obiekt. Uprzedmiotowienie wartości urzeczowia świat społeczny. Hans Joas (tamże, s. 81) celnie podkreśla, że w świecie samych „urzeczowionych” faktów nie moglibyśmy działać, nie moglibyśmy żyć. Dlatego warto i należy rozróżniać instrumentalną narzędziową użyteczność od społecznej pożyteczności przypisanej instytucjom. Z tego, co użyteczne, korzysta przede wszystkim ten, kto danej rzeczy używa. Z tego, co pożyteczne (przynosi pożytek społeczny), korzysta wielu. Użyteczność wiążemy z różnego rodzaju dobrami. Pożyteczność natomiast z kategorią dobra.

U Durkheima (2004, za: Joas 2009) „dobro” implikuje „obowiązek”. Te kategorie przenikają się: pojęcie dobra rozciąga się na dziedzinę obowiązku, tak jak pojęcie obowiązku i zobowiązania rozciąga się na dziedzinę dobra (tamże, s. 104). To powiązanie jest przekonujące, gdy obowiązek staje się samozobowiązaniem, wynika z etycznej powinności. Przydajemy tym samym wartościowaniu odniesienie etyczne. A jeśli je całkowicie odrzucimy, to naszym działaniem będziemy niszczyć dobro i przyczyniać się do zła.

Max Scheler podkreśla, że to nie wola sankcjonuje pierwotny związek między osobą a wartościami (1954, za: Joas, s. 143). Kiedy wola usprawiedliwia (chcę dobrze), świat wartości staje się światem narzuconego przymusu, a nie dobrowolnie przyjętej powinności. Znika wtedy związek wartości i dobra.

Dla Georga Simmela zrozumienie naszej skończoności staje się konieczną przesłanką powstania wartości (Simmel 2007, za: Joas, s. 125). Jeśli wiążemy je z ludźmi, to nasza indywidualna skończoność musi mieć istotne znaczenie dla istnienia wartości. Sens naszego własnego życia musimy odczytać w relacji do innych. Inaczej nic z nas nie zostanie, znikamy. W takim rozumieniu nie odnosimy transcendencji do innego świata: jest immanentna dla ludzkiego życia. Wyraża jego wartościujący wymiar. Na zasadzie biegunowej opozycji sędzę, że jeśli życie wieczne uznać za wartość absolutną, to żadne inne wartości nie są nam w istocie potrzebne.

W podobnym kierunku zmierza myśl Charlesa Taylora. Podkreśla on, że nie możemy obejść się bez orientacji względem dobra, w którego kontekście pojawia się pytanie o kierunek naszego życia. Z quasi-przestrzennej struktury naszego stosunku do wartości wynika czasowy wymiar naszego rozumienia siebie. Nie znaczy to, że przez całe życie musimy trwać przy niezmiennie tym samym wyobrażeniu dobra i opowiadać nasze życie jako historię wolną od jakichkolwiek załamań. Często zmienia się przecież nie tylko miejsce, do którego dążymy, ale także wyobrażenie, ile to nasze dążenie jest warte (Taylor 2001, za: Joas, s. 204–205).

Z tej perspektywy Taylor krytykuje dominujące współcześnie filozofie moralne, ponieważ:

Skupiają się na zasadach, nakazach lub standardach, które kierują działaniem, ignorując zarazem całkowicie problem wizji dobra. Moralność zawęziła swoją problematykę do pytań o to, co powinniśmy czynić, ignorując pytania o to, co jest samo w sobie wartościowe (...) (Taylor 2001, s. 166, za: Joas, s. 222).

W rozważaniach o wartościach kluczowa jest kwestia wiązania ich z jednostką z jednej strony i społecznością z drugiej. Powin-

nościowego umocowania wartości nie sposób oderwać od osoby, od konkretnej jednostki. To obszar, do którego odnosi się Dewey i którego znaczenie akcentuje. Nie pomija on przy tym roli relacji międzyludzkich w kontekście komunikacji i dzielenia się ludzi własnym doświadczeniem, które staje się poprzez to intersubiektywne. A to pozwala racjonalnie ocenić, co w danej sytuacji jest możliwe. Według mnie wchodzenie w relację nie oznacza jeszcze wytworzenia zobowiązującej więzi. Dlatego rozróżniam instrumentalny i egzystencjalny wymiar komunikacji międzyludzkiej. Uczestnictwo w tym drugim rodzaju komunikacji (wspólna przestrzeń znaczeniowa) pozwala rozpoznać nie tylko to, co możliwe, ale przede wszystkim to, co zbiorowo, społecznie pożądane i uzasadnione.

Podejście Taylora do genezy wartości – tak jak w przypadku Deweya – jest intersubiektywne. Uważa on, że intensywność religijnych doświadczeń łączenia się [z innymi] oraz transcendowania siebie wynika właśnie stąd, że również jednostki społecznie konstytuowane [i osadzone] we wspólnej kulturze mogą doświadczać jedności z innymi tylko w krótkotrwałych momentach przekraczania granic własnego Ja. Ostatecznie źródłem wartości jest dla Taylora doświadczenie autokreacji i autotranscendencji (Joas, s. 254-255).

Akcentując społeczne osadzenie wartości, nie podważam roli jednostek i ich zdolności do wartościowania. Nie opowiadam się za jakkolwiek rozumianą absolutyzacją wartości i możliwością wypracowania uniwersalnej ramy aksjologicznej. Świat wartości jest światem napięcia i konfliktu, światem zderzania się wielu różnych partykularnych racji i uzasadnień. To świat, w którym wartościowanie oznacza też przewartościowanie; w którym to, co wypracowane, osiągnięte jako wspólne, działa tylko wtedy, kiedy jest wzajemnościowe i nieustannie współwytwarzane.

Przekonuje mnie stanowisko Floriana Znanieckiego, który uważa, że wartości są zakorzenione w doświadczeniu (szerzej dziedzictwie) i wytwarzane w działaniu (1988, s. 46). W tym kontekście krytycznie odnosi się on szkoły behawiorystów. Podkreśla, że zamykają oni jednostkę w teraźniejszości, co najwyżej sekwencyjnie powtarzalnej. W ujęciu Znanieckiego porządek aksjonor-

matywny zyskuje czasoprzestrzenne odniesienie, a doświadczenie rozwojową moc (tamże, s. 61).

Jeśli wartościowanie jest oderwane od społecznego wytwarzania wartości, to zwolennicy tego sposobu myślenia nieustannie poszukują jakichś punktów, odniesień referencyjnych obiektywizujących wartościowanie. Sądzą, że należy i można wypracować jakieś miary wartościowości alternatywne dla cen (Stark 2011). Podejście pragmatystów sprowadza problem do wartościowania z pominięciem wartości – nie ma wartości, jest tylko wartościowanie.

Przykładowo, Michael Hutter (2011, s. 207–208) dowodzi, że takim wspólnym punktem referencyjnym jest „kotwica wartości”, co umożliwia jej zobiektywizowanie. Dla mnie zakotwiczenie wartości nie dokonuje się w jakimś absolutie, ale w więziach społecznych. To, co transcendentne, oznacza nie dane, ale społecznie uzewnętrznione. Dla mnie to idee wytworzone przez ludzi, stanowiące dla nich istotnościowy punkt odniesienia; to z jednej strony coś wyobrazonego, a z drugiej też doświadczonego, bo praktycznie wytworzonego, stworzonego wewnątrz, ale działającego na zewnątrz, chociaż wewnętrznie przyswojonego przez jednostki, ich etyczność, sumienie.

Jednostkowe wartościowanie dynamizuje rzeczywistość społeczną, z kolei społeczne wytwarzanie wartości ją stabilizuje, przestaje być płynna. Dzięki temu ludzie mogą się w niej odnaleźć. Wartości są osadzone, zakotwiczone w społecznie wykreowanych instytucjach, które ludzi ograniczają, ale jednocześnie umożliwiają im współdziałanie bazujące na zaufaniu. Kiedy gospodarowanie jest skoncentrowane na zarabianiu, na tym, co opłacalne i opłacone, to każdy krach finansowy jest równoznaczny z załamaniem gospodarki i podważeniem jej podstaw, w tym wiarygodności ekonomicznej państwa. Dlatego wiarygodność ta nie może być warunkowana jedynie wydolnością finansową i sprawnością budżetową, ale musi mieć silne oparcie instytucjonalne – tu musi działać siła reguł, a nie reguła siły.

Różne mechanizmy wartościowania tworzą odmienne środowiska społeczne. Przekonująco przedstawił to Lucien Karpik, opisując różne systemy ewaluacji osiągnięć naukowych. Karpik (2011, s. 73, 82–83) rozróżnia mechanizmy rzeczowe (*substantial*) oraz formalne (*formal*) i omawia ich atrybuty. W pierwszych

możliwe jest współdziałanie w warunkach współzawodnictwa, w drugich dominuje rywalizacja niwelująca współpracę. W pierwszych dominujące znaczenie ma jakość osiągnięć naukowych, w drugich ich sformalizowana ilość.

Kenneth Boulding twierdzi:

Niemniej to nieunikniona logika przekształciła badania cen w teorię wartości, system cen stanowi bowiem po prostu jeden z przejawów ogólnego problemu rzadkości, przy czym wybór między orzechami a jabłkami tylko swą prostotą różni się od wyboru między dochodem a czasem wolnym, między wolnością a bezpieczeństwem, miłością a władzą, kolorem a formą, wreszcie między dobrem a złem. Wartość w sensie tego, z czego jesteśmy skłonni zrezygnować, by uzyskać jednostkę czegoś innego – tzw. stopa transformacji – jest zjawiskiem, które napotykamy w każdej dającej się wyobrazić dziedzinie ludzkiej działalności. Gdziekolwiek bowiem występuje ograniczenie, gdziekolwiek istnieje wybór „albo–albo”, tam pojawia się zjawisko wartości (1985, s. 33).

Całkowicie odrzucam powyższy pogląd, stanowiący kwintesencję rozumienia wartości na gruncie ekonomii neoklasycznej (ekonomii głównego nurtu). Po pierwsze dlatego, że wartość została osadzona na gruncie wymiany zinterpretowanej tu jako wybór dokonywany przez jednostkę, która rezygnuje z czegoś na rzecz czegoś innego, co Boulding nazywa „stopą transformacji”. Wartość pojawia się samoczynnie w sytuacji wyboru „albo–albo”. Nie ma przy tym znaczenia, czego ten wybór dotyczy: wybór między jabłkami i orzechami jest istotnie tym samym, co wybór między dobrem i złem. Zawsze jest to alternatywa rozłączna, a wybór zależy od preferencji jednostki i dostępnych jej sposobności. Dlatego nawet niewielkie zmiany preferencji czy sposobności prowadzą do znaczącej zmiany dokonywanych wyborów (tamże, s. 48). Wartość zatem jest pochodną indywidualnych preferencji i ujawnia się w dokonywaniu jednostkowego wyboru (Boulding 1985, s. 59).

Boulding (1985) nie ogranicza ekonomii do interpretacji zjawisk rynkowych. Przeciwnie, rozciąga jej domenę na wszystkie

dziedziny życia. Tym samym „wartość” staje się z zasady pojęciem ekonomicznym, ma ekonomiczną naturę, a badacz życia społecznego nie może pominąć instrumentarium ekonomicznego. Ekonomia staje się tym samym uogólnioną teorią wyboru (tamże, s. 32). Boulding jest przekonany, że taka generalizacja pozwala traktować ekonomię jako naukę moralną (tamże, s. 40). Z drugiej strony sam zawęża domenę tej dziedziny, twierdząc, że specjalizuje się w badaniu tej części systemu społecznego, która jest zorganizowana na zasadzie wymiany i zajmuje się tym, co wymienialne (tamże, s. 46).

Intryguje go odniesienie ekonomii do etyki. Stara się ten związek wykazać poprzez przełożenie jednostkowych wyborów na etyczny system wartości, który charakteryzuje daną kulturę lub subkulturę. Píše o tym tak: „Zakłada się, że spośród wszystkich możliwych sposobów wyboru – to znaczy ze wszystkich możliwych systemów wartości – tylko jeden jest «prawidłowy» lub «najlepszy». To właśnie jest etyczny system wartości” (tamże, s. 60). To aprioryczne twierdzenie pozwala mu uznać, że w danej społeczności wyłania się – bazujący na indywidualnych systemach wartości – system etyczny, który jest przez nią tworzony i ją wytwarza (tamże, s. 61).

Jednocześnie Boulding utrzymuje (tamże, s. 62), że w każdym społeczeństwie występują napięcia między jego jawnym a ukrytym systemem etycznym. Występowanie tego rodzaju hipokryzji jest niezbędne, aby można było uniknąć stagnacji. Społeczeństwo pozostaje w dynamice, gdy zmiany w sposobach wyboru prowadzą do zmiany jego systemu etycznego.

W rozumowaniu Bouldinga, którego podstawowe założenia odrzucam, ciekawe wydaje mi się zaakcentowanie etycznego wymiaru biznesu. Stwierdza on (tamże, s. 68): „Napotykaemy więc następujący problem: jeśli społeczeństwo biznesu ma przetrwać, musi rozwijać system i instytucje integrujące, przy czym instytucje dlań specyficzne (rynek, korporacje, banki itp.) mające w zasadzie charakter instrumentalny, nie są zdolne do rozwijania silnych systemów integracji we własnym zakresie”. W dodatku instytucje rynkowe mogą w jednostkach zarządzających rozwijać typ etyki osobistej, szkodliwy dla przetrwania tychże instytucji.

Warto nieustannie przypominać tezy profetycznego raportu Klubu Rzymskiego na temat „Granic wzrostu” (Meadows i in. 1973). Opublikowany ponad pięćdziesięciu lat temu nadal zaskakuje swoją aktualnością i intelektualną przenikliwością.

Wartości aktualności zachowuje między innymi potraktowana jako credo wypowiedź z 1969 roku ówczesnego Sekretarza Generalnego ONZ Sithu U Thanta:

Nie chciałbym, aby moje słowa zabrzmiały zbyt dramatycznie, ale na podstawie danych, do których mam dostęp jako sekretarz generalny, mogę wysnuć tylko jeden wniosek, a mianowicie, że członkom Narodów Zjednoczonych pozostało może dziesięć lat na uregulowanie zastarzałych waśni i podjęcie wspólnej, ogólnoswiatowej inicjatywy w celu zahamowania wyścigu zbrojeń, poprawy warunków środowiskowych człowieka, zlikwidowania groźby eksplozji demograficznej oraz nadania należytego rozmachu wysiłkom w dziedzinie rozwoju. Jeżeli w ciągu najbliższego dziesięciolecia nie zorganizuje się takiego współdziałania na skalę światową, to obawiam się, że wspomniane przeze mnie problemy osiągną tak zatrważające rozmiary, że ich opanowanie nie będzie już w naszej mocy (tamże, s. 37).

Dzisiaj – w sytuacji wojny na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie, narastającej geostrategicznej konfrontacji Chin i USA, kryzysu

migracyjnego w Europie, niepowstrzymanej eksplozji demograficznej na niektórych kontynentach – wskazane w tej wypowiedzi ostrzeżenia brzmią jeszcze bardziej dramatycznie.

Przykładanie do myśli i tez zawartych w tym raporcie miary kalendarzowej i weryfikowanie z dzisiejszej perspektywy przedstawionych w nim analitycznych prognoz ma niewiele sensu i jest pójściem na łatwiznę. Tym bardziej że autorzy raportu podkreślili występowanie naturalnych opóźnień w procesach ekologicznych, co tym bardziej zwiększa prawdopodobieństwo niepodejmowania kroków zapobiegawczych i, tym samym, niespodziewanego osiągnięcia górnych granic wytrzymałości ekosystemu (tamże, s. 86). Dzisiaj ta myśl stała się intelektualnym kanonem.

Prognozy Klubu Rzymskiego mówiły zresztą o okresie najbliższych stu lat, w ciągu którego ludzkość osiągnie granice wzrostu, jeśli nie ulegną zmianie panujące wówczas trendy rozwojowe w zakresie zaludnienia, uprzemysłowienia, zanieczyszczenia środowiska, produkcji żywności i wyczerpywania się zasobów naturalnych. Zespół Meadowsów przewidywał przy tym, że w rezultacie nastąpi nagły i niedający się opanować spadek liczby ludności oraz zdolności produkcyjnej przemysłu. Nadal nie można wykluczyć trafności tej prognozy (tamże, s. 61). Do jej horyzontu wciąż pozostaje blisko pół wieku.

Przewidując wskazano w raporcie, że najpoważniejszą konsekwencją długofalowego podtrzymywania modelu globalnego wzrostu gospodarczego będzie nasilenie jego termodynamicznych, entropijnych następstw, gdyż zużywane na coraz większą skalę energia pierwotna i wytwarzana muszą w końcu ulec rozproszeniu w postaci ciepła. A to termiczne „skażenie” środowiska będzie miało negatywny wpływ na klimat na całym świecie, jeżeli osiągnie wielkość stanowiącą uchwytty ułamek energii słonecznej w normalnych warunkach pochłanianej przez Ziemię. Już wtedy autorzy raportu przestrzegali m.in. przed burzeniem równowagi hydrobiologicznej rzek i miejskimi „wyspami ciepła” (tamże, s. 89-90).

Ponowna lektura omawianego raportu uświadomiła mi także jego znaczenie dla obecnie toczącej się dyskusji na temat wzrostu gospodarczego i konieczności jego ograniczenia. Pojawia się w nim

stwierdzenie o związku ekspansywnego globalnego wzrostu z powiększaniem przepaści między bogatymi a biednymi narodami świata (tamże, s. 61). Dzisiaj wiemy już, że dotyczy to także narastania nierówności i dystansu społecznego wewnątrz państw, także tych ogólnie najbogatszych. Możemy zatem stwierdzić, że obecny ekspansywny wzrost gospodarczy nieuchronnie pogłębia ogólnoludzkie nierówności społeczne, wywołując zwrótnie konsekwencje przewidziane już przez U Thanta, które z czasem zablokują wzrost, zniwelują nagromadzone w jego wyniku bogactwo i zniszczą związaną z nim cywilizację.

Autorzy raportu zwrócili uwagę na to, że kiedy w rozwoju ludzkości ujawniały się jakieś fizyczne bariery, na ogół odkrywała ona rozwiązania techniczne umożliwiające ich usunięcie lub ominięcie. Kolejne skoki technologiczne pozwalały przełamywać występowanie ujemnych sprzężeń zwrotnych, które hamowały wzrost gospodarczy. To się udawało, ale za cenę kumulacji nieoczywistych i w dużym stopniu nieprzewidywalnych sprzężeń dodatnich o efektach mających konsekwencje w przyszłości, np. środowiskowych. Użycie do połowów dalekomorskich wydajniejszych trałowców pozwoliło podtrzymywać wzrost produkcji i konsumpcji, ale towarzyszyły mu wytrzebienie kolejnych łowisk i redukcja bioróżnorodności. To samo można powiedzieć o każdej dziedzinie wytwarzania. Autorzy raportu konkludują ten wątek następująco: rozwiązania techniczne mogą wyrzucić pewien krótkotrwały wpływ przez złagodzenie napięć wywoływanych wzrostem, ale na dłuższą metę nie przyczyniają się w niczym do zapobieżenia przekroczeniu granicy i następującemu po nim załamaniu systemu (tamże, s. 168).

Pożądaną ścieżką postępowania byłoby natomiast rozpoznanie tych dodatnich, nieuchronnie kumulatywnych sprzężeń i ich świadome osłabianie. Niezbywalnym warunkiem jest jednak ewaluacja nowych rozwiązań technicznych, która ma przynieść odpowiedzi na trzy kluczowe pytania (tamże, s. 168):

1. Jakie będą uboczne skutki, zarówno fizyczne, jak i społeczne, zastosowania nowego osiągnięcia na wielką skalę?
2. Jakie zmiany społeczne będą niezbędne, zanim się to osiągnie

w sposób właściwy, zostanie wprowadzone w życie, i ile czasu zajmie ich przeprowadzenie?

3. Jeżeli to nowe osiągnięcie będzie w pełni udane i usunie jakąś naturalną granicę wzrostu, to jaka będzie następna granica, którą napotka ów rosnący system?

Istotne jest także przyjęcie założenia, że zaspokojone mają być podstawowe potrzeby materialne każdego człowieka na ziemi oraz że każdy powinien mieć jednakowe szanse wykorzystania swoich osobistych możliwości (tamże, s. 43-44). Te założenia mają stanowić podstawowe odniesienie dla oceny wzrostu gospodarczego i produktywności. Celem nie może być wzrost produkcji i konsumpcji, ale podniesienie jakości życia jako podstawowej wartości społecznej. Autorzy raportu Klubu Rzymskiego wierzyli, że społeczeństwu – uwolnionemu od borykania się z wieloma trudnościami związanymi ze wzrostem – pozostanie więcej energii i pomysłów na rozwiązywanie innych problemów (tamże, s. 185).

Do czego doprowadziła ekonomia chciwości

Popatrzmy teraz na problemy świata, szczególnie globalnej gospodarki, z perspektywy opisujących je współcześnie badaczy.

Wolfgang Streeck (2016) dla scharakteryzowania stanu społecznego kapitalizmu używa określenia „społecznej entropii”. W jego ocenie społeczeństwo kapitalistyczne podlega deinstytucjonalizacji i pozostaje poniżej niezbędnego dla spójności progu instytucjonalizacji (*under-institutionalized*) (tamże, s. 13-14). Trwały deficyt instytucjonalizacji życia zbiorowego powoduje masową indywidualizację strategii życiowych. Jednostki dostosowują swoje zachowanie wobec narastającej presji rynkowej. W ten sposób starają się – często z umiarkowanym skutkiem – nie poddawać desperacji i rezygnacji (tamże, s. 41-43). Jaskrawym przejawem entropijnego życia społecznego (*entropic social life*) jest narastanie nierówności społecznych, co w skrajnej postaci prowadzi do tego, że bogaci w żadnej mierze nie wiążą losu swego i swych rodzin z losem pozostałej części społeczeństwa (tamże, s. 28).

Swoje spostrzeżenia dotyczące entropii życia społecznego Streeck podsumowuje następująco:

Im bardziej stawiające opór jednostki potrafią dostosować swoje codzienne życie na poziomie mikrospołecznym, tym mniejsze staje się zapotrzebowanie na działanie zbiorowe na poziomie makrospołecznym, które pozwoliłoby ograniczyć niepewność wytwarzaną przez siły rynkowe (tamże, s. 40).

Spółeczna entropia oznacza zatem takie rozproszenie energii społecznej, które staje się destrukcyjną siłą rozsadzającą porządek instytucjonalny. Z tej perspektywy autorytaryzm jawi się jako reżim dążący do powstrzymania tego procesu przez skoncentrowanie władzy i siły. Powodzenie tej strategii politycznej prowadzi do oligarchizacji gospodarki i państwa: fuzji władzy ekonomicznej i władzy politycznej. Teraz państwo lokuje swoją potęgę na rynkach, a nie jak uprzednio, gdy to one determinowały swoją siłą ekonomiczną działanie państwa (tamże, s. 24, 28).

Ta zasadnicza zmiana odzwierciedla zerwanie związku demokracji i modelu wzrostu gospodarczego. Powiązanie to stanowi kwintesencję demokratycznego kapitalizmu, który przez kilka dekad po II wojnie światowej połączył rynkową konkurencję i prywatną przedsiębiorczość z państwem opiekuńczym, ochroną pracy i zbiorową konsumpcją. Ten egalitarny model wzrostu został zastąpiony modelem, którego siłą napędową jest indywidualna konsumpcja i pragnienie indywidualnego posiadania kolejnych dóbr nieustannie i agresywnie oferowanych przez rynek (tamże, s. 24).

Tu na zasadzie dygresji wrócę do przemysłów Tischnera (cyt. wyd., s. 171-172). Cytując Lévinasa, przypomina on, że pragnienie to nie to samo, co odczuwanie potrzeby. Potrzeba jest zawsze związana z jakimś „nasycaaniem się” tym, ku czemu się zwraca. Natomiast w pragnieniu to, co upragnione, nie wypełnia pragnienia, ale je drażni. Niezaspokojenie jest jego naturą. Marketingowe rozbudzenie pragnień napędza nienasyconą konsumpcję.

Do podtrzymywania takiego modelu wzrostu demokracja nie jest potrzebna. Przeciwnie – przeszkadza. Ogranicza bowiem rynkową komodyfikację i komercjalizację – utowarowienie wszystkiego. Warunkiem hegemonii kapitału finansowo-cyfrowego jest wyłączenie demokracji, sprowadzenie jej do ustroju fasadowego.

Stało się normą podważanie demokratycznego porządku przez przedstawicieli wielkiego kapitału finansowo-cyfrowego z jednej strony i populistycznych polityków z drugiej. Demokracja jest przez nich przedstawiana jako system irracjonalny, niezdolny do podejmowania największych i złożonych wyzwań, za wolny w reagowaniu na szybko zmieniające się uwarunkowania globalnej go-

spodarki i utrwalający skłonność do podejmowania nieefektywnych interwencji rynkowych.

Polityka Donalda Trumpa nieustannie dowodzi, że polityczno-ekonomiczni oligarchowie łatwo dogadają się na płaszczyźnie transakcyjnej. Tym łatwiej, im mniej będą ich ograniczały reguły konstytuujące praworządny i demokratyczny porządek. Autorytarny populizm jest reżimem politycznym, który ma podtrzymać konsumpcyjny i rynkowy model wzrostu.

Rodzi się więc pytanie, czy jest inny rodzaj kapitału, któremu demokracja jest potrzebna i który za demokracją się opowiada i ją wspiera? Sądzę, że jedynie kapitał wytwórczy buduje swoją pozycję na przedsiębiorczości, produktywności i innowacyjności. Taki, któremu hegemonia kapitału finansowo-cyfrowego uniemożliwia samodzielną i przedsiębiorczą ekspansję, który nie dąży do monopolu i nie unika rynkowej rywalizacji, ale odwrotnie – domaga się uczciwej konkurencji i jej ochrony przez przejrzyste publiczne regulacje.

Ten rodzaj kapitału jest rugowany w następstwie nadużyć typowych dla rynków i instytucji finansowych, jak np. wykorzystywanie informacji poufnych (*insider trading*), stosowanie niedozwolonych klauzul czy wykorzystywanie dominującej pozycji kapitałowej. Natomiast sprzyja mu wysoka wiarygodność ekonomiczna państwa, bazująca na przestrzeganiu reguł i zobowiązań.

Istotne dla uchwycenia podstawy wiarygodności ekonomicznej państwa w obu wyróżnionych modelach wzrostu gospodarczego jest omawiane przez Streecka rozróżnienie między państwem podatkowym (*tax state*) oraz państwem długu publicznego (*debt state*) (tamże, s. 113). W pierwszym przypadku aktywność fiskalna państwa jest skoncentrowana na efektywnym opodatkowywaniu różnych form działalności gospodarczej dla uzyskania przychodów umożliwiających ponoszenie wydatków publicznych na poziomie zapewniającym utrzymanie porządku społecznego i wywiązywanie się z szeroko rozumianych zobowiązań socjalnych. W drugim aktywność państwa jest skoncentrowana na konsolidacji fiskalnej, która ma pozwolić na obniżenie podatków do możliwie niskiego poziomu przy jednoczesnym utrzymywaniu długu

publicznego w ryzach. Ta zasadnicza zmiana instytucjonalna dokonała się za sprawą „neoliberalnej rewolucji” w latach 80. XX w. W rezultacie stopniowo następowała – szczególnie w krajach anglosaskich – prywatyzacja usług publicznych (doktryna „nowego zarządzania publicznego”) oraz ograniczanie demokratycznej redystrybucji dochodów.

Czynnikiem o zasadniczym znaczeniu dla dokonywania się tej zmiany była globalizacja gospodarki, która osłabiła ekonomiczną rolę państw narodowych. O wiele trudniejsze stało się opodatkowywanie działalności globalnych korporacji, szczególnie cyfrowych. Baza podatkowa zaczęła topnieć, a w związku z tym rządy musiały sięgnąć po inne źródła finansowania wydatków budżetowych. Konieczne stało się regularne pozyskiwanie finansowania na globalnych rynkach kapitałowych. Ich gwałtowny rozrost to finansowanie zapewniał. Dług publiczny nieustannie rósł, ale stosunkowo łatwo można go było obsługiwać. Państwa gwarantowały bezpieczną i wydajną lokatę prywatnego kapitału, a rynki kapitałowe nader chętnie go pożyczwały. Im bardziej pieniądź taniał, tym łatwiej było pożyczać, a trudniej opodatkowywać (tamże, s. 51).

Towarzyszy temu zjawisku i pobudza je zasadnicza zmiana funkcji pieniądza i kapitału. Ramy państwa podatkowego sprzyjały kierunkowaniu kapitału na działalność wytwórczą – podażową stronę gospodarki. Państwo konsolidacji fiskalnej sprzyja pobudzaniu konsumpcji. Powszechnie dostępny kredyt konsumpcyjny oraz kredyt hipoteczny stały się kompensatą za destabilizację warunków zatrudnienia i niegodziwe wynagradzanie pracowników (tamże, s. 149). Dzięki temu konsumpcja na kredyt stała się podstawowym czynnikiem wzrostu gospodarczego i nakręcania koniunktury. Dostarczanie kredytowanej przez rynki finansowe „kasy” stało się podstawową formą populistycznej polityki społecznej. Wielka Iluzja trwała do wybuchu Globalnego Kryzysu Finansowego.

Warunkiem powodzenia konsolidacji fiskalnej jest wiarygodność państwa. Streeck (tamże, s. 122) celnie to ujął, podkreślając, że w istocie konsolidacja fiskalna jest działaniem polegającym na budowaniu zaufania. Dlatego nie należy jej pozorować i nie wolno

podejmować działań osłabiających wiarygodność państwa. Przy czym nie chodzi tylko o wiarygodność wobec rynków finansowych, do tego wystarczy odpowiednio wysoki rating finansowy i terminowa obsługa długu finansowego. Potrzebna jest wiarygodność w relacji do wszystkich stron gospodarowania. Ekonomicznym fundamentem wypłacalności państwa jest bowiem wzrost gospodarczy warunkowany aktywnością wielu różnych aktorów (podmiotów), nie tylko tych po stronie popytu i konsumpcji, ale głównie tych po stronie podaży i produkcji.

Kiedy konsolidacja jest pozorem, pozostaje podtrzymywanie konsumpcji i wzrostu poprzez deregulację rynków finansowych, utrzymywanie superniskich stóp procentowych, co otwiera przestrzeń jednostkom i gospodarstwom domowym do kredytu podtrzymującego konsumpcję i sprzedaż. W rezultacie prowadzi to jednak do narastania rozwarstwienia społecznego i stagnacji gospodarczej (tamże, s. 215).

Zdaniem Streecka (tamże, s. 65) opisywane przez niego zjawiska prowadzą do pojawienia się pięciu rodzajów nieładu współczesnego kapitalizmu: stagnacji, oligarchicznej redystrybucji, zgrabienia domeny publicznej, korupcji oraz globalnej anarchii.

Przyjmując zaproponowaną przez niego perspektywę poznawczą i opis rzeczywistości, stawiamy wobec fundamentalnego pytania: jakie siły społeczne (gospodarcze i polityczne) mogą ten destruktyny proces powstrzymać i wyznaczyć inną trajektorię rozwoju – ścieżkę wychodzenia z entropii do spójności społecznej?

Tę refleksję warto zacząć od zastanowienia się nad tym, dlaczego doszło do Globalnego Kryzysu Finansowego (*Global Financial Crisis* – GFC) i dlaczego nie doprowadził on do oczekiwanego przełomu.

Jeszcze na rok przed wybuchem GFC eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego dowodzili, że innowacje finansowe (*fintech*) przyczyniają się do umocnienia stabilności globalnego systemu finansowego. Faktycznie jednak nowe narzędzia i produkty finansowe, pomyślane jako forma ograniczenia i ubezpieczenia ryzyka, podnosiły zagrożenie. Innowacje doprowadziły do tego, że bankowa dźwignia finansowa (stosunek aktywów do kapitałów

własnych banku) przekraczała wskaźnik 25, co było skrajnym przejawem niekontrolowanego apetytu na kapitał oraz instynktu stadnego (*animal instinct*), który zapanował na rynkach finansowych (Turner 2016, s. XI, XII).

Adair Turner (tamże) określił tego rodzaju działalność finansową jako społecznie bezużyteczną (*socially useless*). To określenie ma sens tylko wtedy, kiedy „społeczną użyteczność” uznamy za integralną kategorię ekonomiczną. Tyle że wtedy trzeba przejść na pole ekonomii wartości, a tym samym zanegować „ekonomię chciwości”, która jest kwintesencją neoliberalizmu. W ekonomii chciwości liczy się nie to, co się robi, ale ile się zarobi: *the business of business is business*. Wysoki zwrot z kapitału usprawiedliwia i przesłania wszystko.

Wynikający z tego model gospodarowania dobrze opisuje to, że w gospodarkach wysoko rozwiniętych dług sektora prywatnego wzrósł z 50% PKB w roku 1950 do 170% w 2006 roku. Jednocześnie handel walutami rósł szybciej niż eksport i import, obroty towarowe rosły szybciej niż produkcja, przepływy kapitałowe rosły wielokrotnie szybciej niż długoterminowe inwestycje wytwórcze (tamże, s. 3). Te porównania znakomicie obrazują konsekwencje dominacji kategorii finansowych nad kategoriami realnymi oraz dominację kapitału finansowego nad kapitałem rzeczowym (wytwórczym). Gospodarka wyniku finansowego marginalizuje gospodarkę potrzeb. W rezultacie rośnie dług publiczny, a produkt społeczny pozostaje w stagnacji lub nawet spada.

Należy jednocześnie pamiętać, że rosnący skokowy dług publiczny ogranicza możliwość adekwatnego i skutecznego prowadzenia różnego rodzaju polityk publicznych. Konsekwencje tego można opisywać jako ujawnianie się innego rodzaju długów, np. długu środowiskowego – wzrostu poziomu zanieczyszczenia środowiska, długu edukacyjnego – obniżenie jakości kształcenia czy długu zdrowotnego – obniżenie poziomu zdrowotności populacji. Publiczny dług finansowy jest transferowany i stopniowo przeobraża się w dług cywilizacyjny – obniżenie jakości życia szczególnie najsłabszych ekonomicznie grup i społeczności. Doświadczenie GFC potwierdza, że niepoahamowany wzrost długu

prywatnego doprowadził do wielkiego długu publicznego i recesji, a zatem do obniżenia materialnego poziomu życia, także pogłębienia ubóstwa i zwiększenia bezdomności.

Jeśli do gry na aktywach finansowych zostają w masowej skali włączone gospodarstwa domowe po to, aby państwo, sprzedając obligacje skarbowe, mogło finansować wysoki deficyt budżetowy, to w rezultacie rosną ich oszczędności, ale nie popyt konsumpcyjny. Podtrzymywane są w ten sposób nadmiarowe wydatki publiczne, co jednak nie prowadzi do pobudzenia wzrostu gospodarczego. Może natomiast prowadzić do długookresowej stagnacji gospodarczej, czego książkowym przykładem jest gospodarka Japonii.

Neoliberalny model gospodarowania pobudza kreację pieniądza przez prywatne instytucje finansowe (*credit money*). Ten pieniądz na ogół nie trafia do sfery wytwórczej. Stymuluje natomiast grę na aktywach finansowych, a także spekulację nieruchomościami i gruntami. Pośrednio stymuluje także wzrost konsumpcji (zob. tamże, s. 6). Jego płynność i nadmiar powodują przekształcanie użytkowanych aktywów rzeczowych w aktywa finansowe. To forma zawłaszczania materialnych dóbr i pozbawiania ludzi na masową skalę materialnych podstaw egzystencji.

Dramatyczne konsekwencje tego obserwujemy w mieszkalnictwie. Wartość nieruchomości szybko rośnie, a wraz z tym z jednej strony rośnie liczba niezamieszkiwanych lokali, a z drugiej liczba bezdomnych. Najjaskrawiej widać to w miastach amerykańskich. Emisja kredytu hipotecznego i wzrost cen mieszkań są silnie sprzężone, co regularnie wywołuje spekulacyjną bańkę na rynkach mieszkaniowych i wzmacnia deweloperską presję na władze dużych miast. W wielu z nich ślepe dążenie do przyciągania inwestorów wyśrubowało wysokość renty gruntowej i zwrot z kapitału zainwestowanego w nieruchomości. W rezultacie rosną zyski inwestorów i jednocześnie koszty rozbudowy i utrzymywania miejskiej infrastruktury komunalnej, co przywiodło wiele miast na skraj bankructwa, a szereg z nich do społeczno-ekonomicznego załamania.

Równoległe aktywami finansowymi stają się inne kluczowe zasoby i dobra. O ile jeszcze w 1984 roku globalny handel kontraktami terminowymi obejmował mniej niż 10% rzeczywistej produkcji

i konsumpcji oleju napędowego, o tyle trzydzieści lat później wartość kontraktów terminowych 10-krotnie przewyższała wartość produkcji i konsumpcji tego surowca (Turner, tamże, s. 25). Podobne zjawisko wystąpiło na innych globalnych rynkach surowcowych, np. zbóż, powodując systematyczny wzrost ich cen i ograniczenie dostępności. Powoduje to przesuwanie kapitału i aktywności gospodarczej do rynków o wysokiej płynności i wysokiej stopie zwrotu. Kapitał spekulacyjny nie angażuje się w działalność wytwórczą. Synonimem przedsiębiorczości stała się więc spekulacyjna gra na aktywach finansowych.

W neoliberalnej gospodarce dominuje płynny, spekulacyjny pieniądź, oderwany od swej pierwotnej materialnej podstawy. Rodzi to kolosalne konsekwencje: z jednej strony rosnące nierówności materialne, z drugiej pogłębiające się zadłużenie, co łącznie powoduje, że gospodarowanie staje się niepodtrzymywalne. Jednocześnie debata ekonomiczna jest pełna gadaniny o zrównoważonym rozwoju.

Ten spekulacyjny pieniądź rodzi pieniądź w innym sensie niż tradycyjny. Pierwotnie ta fraza odnosiła się do akumulacji kapitału rzeczowego, szczególnie majątku wytwórczego, i oznaczała, że kredyt bankowy (kapitał finansowy) służył przedsiębiorcom do uruchamiania działalności wytwórczej, z której nadwyżka pozwalała powiększać majątek wytwórczy i pomnażać kapitał. Teraz akumulacja kapitału finansowego odbywa się bez pośrednictwa działalności wytwórczej: pieniądź rodzi pieniądź, ale od strony wytwórczej jest on „pusty”. Obserwujemy powszechną pogoń za zyskownością w oderwaniu od produktywności.

John Keynes w swej teorii procentu i pieniądza rozróżniał tworzenie aktywów i handlowanie nimi, nazywając wprost takie transakcje spekulacją. Społeczno-ekonomiczne efekty obu tych rodzajów działań są odmienne, choć mogą i powinny być komplementarne. Akumulacja wytwórcza bazuje na przedsiębiorczości, produktywności i konkurencji, natomiast akumulacja finansowa na transakcjach (*trading*). W jednym i drugim przypadku akumulację warunkuje kredyt. Jeśli jednak akumulacja finansowa zaczyna w danej gospodarce dominować, wzrost gospodarczy

tak silnie zależy od kredytu (w mniejszym stopniu od czynników wytwórczych), że jest finansowany głównie narastającym długiem. A to nieuchronnie prowadzi do pogłębienia nierówności społecznych, co pociąga wzrost wydatków publicznych, deficytu budżetowego i dodatkową emisję pieniądza kredytowego (Turner, tamże, s. 119, 120). W rezultacie aktywność ekonomiczna przesuwają się w kierunku akumulacji finansowej. Uruchomione zostaje diabelskie błędne koło.

Parę dekad po Keynesie Hyman Minsky podkreślał, że finansowym zabezpieczeniem mechanizmu akumulacji kapitału wytwórczego jest spłata zaciągniętego kredytu z zysku będącego zwrotem z zainwestowanego kapitału. W przypadku dominacji mechanizmu akumulacji *stricte* finansowej – gry na aktywach, czyli akumulacji spekulacyjnej – zabezpieczeniem staje się nieuchronnie dodatkowa kreacja pieniądza, która umożliwia spłatę wcześniej zaciągniętego długu (zob. Turner, tamże, s. 65). Według danych Bank of England w roku 2012 rodzajowa struktura udzielonych przez banki kredytów wyglądała w Wielkiej Brytanii następująco: kredyty na działalność wytwórczą – 14%, na zakup nieruchomości – 14%, kredyty hipoteczne – 65% oraz kredyty konsumenckie – 7% (tamże, s. 63).

Degradacja akumulacji majątkowej oznacza także akumulację niespłacalnego długu (tamże, s. 8) i jego chaotyczny transfer, który czyni gospodarowanie w globalnej skali niepodtrzymywalnym, czyli skazanym i nieodpornym na wstrząsy (szoki gospodarcze).

Uzależnienie gospodarki światowej od „pustego pieniądza” zaszło tak daleko, że powstrzymywanie jego dalszej kreacji zdaje się niemożliwe. Przeciwnie – ta kreacja się wzmaga, co przypomina leczenie kaca metodą „klin klinem”. Gdy dostarczanie rynkom finansowym dodatkowej płynności staje się ostatnią deską ratunku, stabilność gospodarki zostaje ostatecznie podważona. Spekulacyjna gra na aktywach finansowych polega na tym, że indywidualne korzyści jednych graczy wynikają z przerzucania kosztów na innych, a równocześnie narasta systemowe zagrożenie: system finansowy staje się mniej odporny i niestabilny między innymi dlatego, że rozpowszechniona gra spekulacyjna stała się

samonapędzającym się kumulatywnym mechanizmem, wywołując zgubne procykliczne efekty w całej gospodarce (tamże, s. 103).

Aby temu zapobiec w Japonii i Korei polityka gospodarcza państwa przez wiele lat wzmacniała prowytwórcze i proproduktywne ukierunkowanie kredytu, aby przyspieszyć akumulację kapitału wytwórczego. Współcześnie Australia jest przykładem wdrażania strategii produktywności na poziomie krajowym i regionalnym.

Turner (tamże, s. 9) argumentuje, że w warunkach pogłębiającej się finansjalizacji gospodarowania nadmiarowa (w relacji do realnej sfery gospodarki) prywatna kreacja pieniądza nie musi prowadzić do silnego wzrostu inflacji. Tak też się stało: przed wystąpieniem GFC (także po jego wybuchu) ultraniskie stopy procentowe nie spowodowały wysokiego wzrostu cen. A mimo to katastrofalny kryzys finansowy miał miejsce. Dzieje się tak, ponieważ inflacja jest tylko jednym z możliwych „kanałów” przepływu (transferu długu). Innym może być pozbawienie licznej populacji części materialnego dorobku i/lub obniżenie jakości i dostępności usług publicznych; jeszcze innym niekorzystne zmiany środowiskowe. Nie widzimy tego w nominalnym obrazie finansowym, ale realnie to zachodzi. Rosnący dług nie znika, krąży wokół, stopniowo ujawniając swą degeneracyjną siłę. Przypomina to efekt kuli śnieżnej.

Kolejną konsekwencją neoliberalnego modelu gospodarowania jest to, że nie wymiana handlowa, a przepływy kapitału stają się hegemoniczną formą globalizacji. Świat aktywów finansowych i kapitału finansowego nie uznaje żadnych twardych barier, gra trwa, chociaż Titanic tonie. Jeśli zagraniczne banki mogą udostępniać swobodnie swój kapitał na krajowym rynku finansowym, to krajowe środki ograniczania nadmiernej emisji pieniądza kredytowego nie mogą być skuteczne.

Turner (tamże, s. 152-153) podkreśla, że napływ kapitału netto do danego kraju powinien być równoważony długoterminowymi inwestycjami wytwórczymi. W przeciwnym razie staje się źródłem niestabilności systemu finansowego. Jednocześnie przepływy kapitału brutto w skali globalnej są znacząco wyższe niż ich wartość netto, co oznacza, że kapitał finansowy w ogromnej skali przepływa tam i z powrotem w poszukiwaniu spekulacyjnego zysku,

wynikającego z korzystnej wyceny ryzyka lokowania go w danym kraju – wyższe ryzyko, to wyższy zysk.

Zadłużanie nie ma zatem końca i nie ma granic aż do momentu, gdy na rynkach finansowych wystąpi nagły krach, czego przykładem jest właśnie Globalny Kryzys Finansowy. Wyczerpuje się gwałtownie możliwość rolowania długu poprzez zaciąganie kolejnego, a wówczas krach ogarnia wszystkich graczy, rozlewa się jak powódź i multiplikuje straty.

Neoliberalny model gospodarowania w różnych miejscach napotyka na fizyczne, materialne ograniczenia, co wynika stąd, że stymulowany przez ten model wzrost gospodarczy jest entropijny, przez co staje się nieproduktywny: coraz szybciej zużywa nieodnawialne zasoby.

Dalsze podtrzymywanie tego modelu gospodarki rynkowej jest coraz mocniej warunkowane przymusem i przemocą. To przecież jest przewodnią myślą trumpizmu, bazującego na zespoleniu autorytarnej władzy politycznej z wielkim kapitałem. Teraz władza staje się wprost kapitałem, który narzuca wszystkim warunki gospodarowania. Kumulacja władzy napędza akumulację kapitału i odwrotnie.

Są tacy, którzy wierzą, że aby przerwać ten zakłęty krąg, trzeba zrezygnować ze wzrostu gospodarczego. „*Degrowth*” (alternatywnie zerowy wzrost) stał się ich wyznaniem. Z tym konceptem główny problem jest taki, że jest on utopijny: bo jak można spowodować, aby ze wzrostu gospodarczego zrezygnowały kraje najbardziej niebezpieczne i te, które już korzystają z owoców wzrostu, bo przełamały stagnację i są tzw. gospodarkami wschodzącymi? Zerowy wzrost gospodarczy oznaczałby w praktyce skokowe pogorszenie warunków życia wielkich grup społecznych, łącznie z klasą średnią, oraz pogłębienie nierówności. A to musi doprowadzić do społecznego gniewu, który stanie się politycznym paliwem dla władzy autorytarnej. Efekt będzie odwrotny od oczekiwanego przez zwolenników pobożnej wiary w *degrowth*. Sukces trumpizmu w USA tego dobitnie dowodzi. Demokratyczne społeczeństwa potrzebują wzrostu gospodarczego, ale oczywiście wzrostu egalitarnego, a nie entropijnego. Fetyszyzowanie wzrostu gospodarczego to jedno,

a przekreślanie go to drugie. Doprowadzając myśl do absurdalnej skrajności, wystarczyłoby zatem dopuścić do trwałej recesji i problem zostałby rozwiązany!

Zasadnicze pytania brzmią zatem: o jaki wzrost chodzi? jakie są jego korzystne czynniki i rezultaty? co ma dominować po podażowej stronie gospodarowania, a co po stronie popytowej? Odpowiedź generalna zdaje się prosta: po stronie podaży – oszczędne, produktywnie wykorzystywanie dostępnych zasobów, a po stronie popytowej – zaspokajanie społecznie uzasadnionych potrzeb. Póki jednak nie zostanie określony i praktycznie uruchomiony model gospodarowania, który to umożliwia, postulat będzie jedynie zaklęciem. Nadal będziemy tkwili w pułapce bez wyjścia.

Kiedy dług przekroczy punkt krytyczny, tradycyjne środki zaradcze po stronie polityki publicznej są blokowane i wywołują skutki odwrotne od oczekiwanych (tamże, s. 84). Jednocześnie dominacja neoliberalnego modelu gospodarowania wytwarza tak silne pole grawitacyjne, że większość podmiotów gospodarczych nie jest w stanie się z niego wyrwać. Pozostają w polu oddziaływania graczy dominujących na danym rynku, obecnie szczególnie gigantów cyfrowych. Wszystkie zabezpieczenia i ograniczenia w tym polu grawitacyjnym okazują się z czasem iluzoryczne.

W trumpowskim wydaniu sojusz władzy i kapitału przeobraża władzę polityczną i potęgę militarną w drapieżny imperialny biznes. Nie da się uniknąć egzystencjalnego pytania o możliwą reakcję na to drastyczne wyzwanie: kto i jak może to powstrzymać? Z europejskiego punktu widzenia nie może nią być siła imperialna równoważąca amerykańską. Praktycznie alternatywą jest tylko hegemonia Chin. Europa może manewrować między tymi potęgami, ale szanse powodzenia takiej taktyki zależą od tego, czy kraje europejskie będą zdolne podążać własną, odrębną ścieżką rozwoju.

Dlatego konieczne staje się odwołanie do ekonomii wartości jako myślenia alternatywnego wobec ekonomii chciwości. Mogło się wydawać, że wystąpienie GFC i narastająca krytyka neoliberalnego modelu gospodarowania tak właśnie ukierunkuje debatę ekonomiczną, gospodarowanie i politykę gospodarczą. Dziesięć lat temu można było sądzić, że tak się dzieje. Szczególnie w Unii Europejskiej

pojawiały się propozycje rozwiązań stabilizujących funkcjonowanie systemu bankowego oraz nowe koncepcje gospodarowania, jak np. „Zielony Ład” czy „ESG” (*Environmental, Social, Governance*). Ich realizacja była w znacznej mierze deklaratorywna, zostały one przyhamowane szczególnie po wystąpieniu pandemii COVID-19, nasileniu się kryzysu migracyjnego i inwazji Rosji na Ukrainę.

Ekonomicznej i pozaekonomicznej krytyki neoliberalnego modelu gospodarowania nie należy przeciwstawiać. Przeciwnie – należy je łączyć i uspoźnić. To zaś będzie możliwe tylko wtedy, kiedy dla jednej i dla drugiej stworzymy wspólną płaszczyznę aksjologiczną. Ukażemy w ten sposób te cechy mechanizmu wartościowania, które warunkują dobre gospodarowanie – takie, które polegają na produktywnym wytwarzaniu dóbr zaspokajających potrzeby społeczne i przyczynia się do społecznego dobrostanu. To właśnie oznacza rozwój.

Podzielając diagnozę zaproponowaną przez Turnera, nie mogę się zgodzić, że do przełamania precyzyjnie opisanego przez niego syndromu „dominacji kapitału spekulacyjnego” we współczesnej gospodarce wystarczy ustalenie, że „pieniądz” jest i ma być uznany za „dobro” innego rodzaju niż pozostałe „dobra ekonomiczne”, a tym samym nie może podlegać regułom wolnorynkowym, co szczególnie dotyczy „pieniądza kredytowego” (Turner, tamże, s. 190). Przyjęcie tej konkluzji oznaczałoby, że niezbędna zmiana reguł gospodarowania ma dotyczyć niemalże wyłącznie samych rynków i instrumentów finansowych. Podążając tym torem myślenia, należy przykładowo wdrożyć nowe zasady zawierania umowy kredytu hipotecznego tak, aby ryzyko było dzielone przez kredytobiorcę i kredytodawcę (tamże, s. 193). Nie wchodząc w techniczną dyskusję, czy tego rodzaju zmiana kontraktowa rzeczywiście przyniosłaby oczekiwane rezultaty i znacząco obniżyłaby zagrożenie systemowe wywołane przez umasowienie kredytu hipotecznego, chcę stwierdzić, że nawet powodzenie tego rozwiązania miałoby marginalne znaczenie i nie przewyżczyłoby zgubnych następstw neoliberalnego modelu gospodarczego i ekonomii chciwości.

Potrzebne byłoby nowe spojrzenie na szereg innych dóbr, które nie mogłyby być uznawane za towary czysto rynkowe. Dotyczy to

np. mieszkań, ale także wody czy dóbr związanych ze zdrowiem i edukacją. Nie chodzi o to, aby je całkowicie wyłączyć z obrotu rynkowego, nie mogą one jednak podlegać pełnej komercjalizacji. W ich przypadku niezbędne są złożone systemy dostarczania, które mają zapewnić powszechny dostęp do nich.

Potrzebne zmiany muszą dotyczyć celów i reguł gospodarowania. I nie można ich wywołać zmianami czysto regulacyjnymi czy narzędziowymi. Nie podważam przy tym znaczenia polityki gospodarczej. Przeciwnie, jej rola jest kluczowa, ale nie może zostać sprowadzona do oddziaływania na cykl koniunkturalny. Ważniejsze jest to, jak jest dopasowana do cech strukturalnych danej gospodarki i ich ewolucji. Skuteczność polityki strukturalnej wpływa na przebieg cyklu koniunkturalnego i zdolność podmiotów gospodarczych do absorpcji jego zmienności. Trzeba jednak podkreślić, że przestrzeń dla krajowej polityki gospodarczej jest zawężana przez hegemoniczne nastawienie wielkich potęg gospodarczych i kapitałową dominację gigantycznych organizacji gospodarczych. Globalnego autorytaryzmu nie można powstrzymać bez utrzymania ładu demokratycznego i społecznej kontroli.

Trumpizm jest nową, kolejną odsłoną tego, co już było, co zawsze wraca, w radykalniejszej wersji. Ekonomia chciwości będzie dominować zawsze, jeśli gospodarowanie nie zostanie odniesione do wartości. Brak tego odniesienia jest zasadniczym źródłem globalnego polikryzysu. Potrzebujemy ekonomii wartości.

Wiarygodność państwa jako fundament ekonomii wartości

Wiarygodności nie da się ująć zero–jedyńkowo (jest lub jej nie ma): można ją stopniować. Może dotyczyć każdej sfery społecznej, w tym państwa, ale także gospodarki. Żeby w teorii ekonomii opisać kategorię „wiarygodność ekonomiczna państwa”, trzeba przeprowadzić wywód: wiarygodność – zaufanie – przewidywalność – kalkulacja – współdziałanie. Ponieważ odnosimy ją do gospodarki, to kalkulacja przyjmuje postać rachunku ekonomicznego, a współdziałanie staje się gospodarowaniem.

By mówić o wiarygodności ekonomicznej, trzeba pamiętać o konkretnych podmiotach gospodarczych. To one – podejmując decyzje i działania – oceniają wiarygodność ekonomiczną państwa. Podmioty gospodarcze kalkulują związane z tym ryzyko (gospodarcze, polityczne, regulacyjne czy administracyjne). Równolegle niska czy wysoka wiarygodność państwa oddziałuje także bezpośrednio lub pośrednio na warunki (w tym różne parametry) prowadzenia działalności gospodarczej. Wiarygodność jest zatem istotną wartością ekonomiczną, ale także kategorią regulatywną: jej oddziaływanie wpływa na formowanie korzystnego lub niekorzystnego pola działalności gospodarczej.

Wiarygodność ma wiele odniesień podmiotowych (dotyczy różnych aktorów) i przedmiotowych (różne są jej rodzaje). Oba tych wymiarów nie da się od siebie oderwać choćby dlatego, że część warunków gospodarowania jest określana (ustalana) bezpośrednio (np. stawki opodatkowania). Większość jednak jest rezultatem

wielu oddziaływań, w tym społecznych wyobrażeń i oczekiwań (np. poziom inflacji jako następstwo oczekiwań inflacyjnych). Wiarygodność państwa wpływa na parametry ekonomiczne za pośrednictwem takich zmiennych jak zaufanie, informacja czy wiedza.

Składową wiarygodności jest zobowiązanie. To, które zostaje dotrzymane, a nie tylko obiecane. Wiarygodność ma więc naturę relacyjną, gdyż jej podstawą jest ufność między stronami społecznej relacji. W przypadku władzy istotnym jej odniesieniem jest uznanie przez obywateli działań rządzących za prawomocne.

Prawomocność rodzi się z uznania państwa przez obywateli za swoje, z gotowości do jego obrony i respektowania formułowanych przez państwo reguł. Jej przeciwieństwem jest nieposłuszeństwo obywatelskie, które objawia się też jako obywatelska anarchia: lekceważenie swojego państwa, swego rodzaju autarkia, wycofanie się, zdystansowanie względem kraju i jego spraw. W rezultacie, kiedy jednak pojawia się sytuacja kryzysowa, widać wyraźnie, jak deficyt prawomocności przejawia się w niezdolności państwa do rozwiązywania problemów, w podejmowaniu decyzji nieskutecznych, kosztownych, nietrafnych, opóźnionych. Błędem jest utożsamianie nieposłuszeństwa obywatelskiego tylko z protestami.

Sprowadzenie prawomocności do praworządności jest przejawem „samodomykania się” systemu prawnego i jego obywatelskiego wyobcowania. Wtedy określona prawnie procedura wypiera i zastępuje porządek aksjologiczny. Sama staje się normatywnym fundamentem. Formalistyczny legalizm powoduje, że prawomocność zanika i państwo traci swą społeczną legitymizację. Porządek konstytucyjny staje się porządkiem prawniczej, kazuistycznej poprawności.

Gdy słabnie prawomocność, pozornie rośnie moc nieograniczonego politycznego decydowania. Jednakże bez reguł osadzonych w prawomocności wybór polityczny prowadzi tylko do jednego – utrzymywania władzy. I to odróżnia politykę reguł od polityki wydarzeń, politykę zasad od polityki faktów.

Kiedy władza publiczna traci wiarygodność ekonomiczną, sięga po propagandę i przekupywanie różnych grup ważnych dla interesu politycznego. Prowadzi to m.in. do ograniczenia zaufania do

krajowego pieniądza oraz do inflacji. Bezpośrednie konsekwencje niskiej wiarygodności ekonomicznej państwa to: wyższy poziom ryzyka i kosztów z nim związanych, niższa efektywność gospodarowania, niższa produktywność zasobów własnych, wyższe koszty obsługi długu oraz niższa odporność na szoki.

Wartość pieniądza fiducjarnego opiera się na zaufaniu do emitenta, a to zaufanie zależy od jego wiarygodności ekonomicznej. Trudno sobie wyobrazić skuteczną walkę z inflacją bez zaufania do instytucji, która pieniądza emituje.

Mówi się, że kredyt jest posadowiony na zaufaniu. Zgoda. Ale czy chodzi tylko o zaufanie pomiędzy udzielającym kredytu i jego biorcą? To nigdy nie jest relacja jeden na jeden, relacja wierzyciel–dłużnik. Zawsze jest ktoś pośredniczący, np. notariusz lub świadek. Istota tej umowy opiera się na tym, że państwo gwarantuje stabilność pieniądza. Wiarygodność ekonomiczna państwa jest funkcją wiarygodności tej podstawowej ekonomicznej gwarancji. Jej osłabienie wynika m.in. ze wzrostu inflacji. Gwarancja podstawowa przestaje działać w sytuacji hiperinflacji.

W warunkach galopującej inflacji nikt nie pożyczałby pieniędzy. Zaufanie w takich sytuacjach musi być wsparte przez państwo jako porządek normatywny, system reguł, które pozwalają nam bezpiecznie wchodzić w relacje oparte na zaufaniu. Aby zaufanie mogło się rozwijać, państwo musi być wobec obywateli wiarygodne, tworząc porządek i infrastrukturę wspierającą relacje społeczne.

Podstawowe dla zrozumienia wiarygodności ekonomicznej państwa jest dostrzeżenie zależności między krótkookresowymi (bieżącymi) i długookresowymi (przyszłymi) następstwami działań i zjawisk gospodarczych. Spróbujmy się temu przyjrzeć poprzez interpretację teorii Keynesa (2011). Jeżeli w działalności gospodarczej kierujemy się przede wszystkim stopą procentową (która, co Keynes podkreśla, jest zjawiskiem bieżącym) oraz krańcową efektywnością kapitału, to w gospodarowaniu znaczenie przyszłości znika, a utrwala się terażniejszość. Inaczej jest, kiedy terażniejszość wiąże się z przyszłością poprzez kapitał produkcyjny (Keynes 2011, s. 128). To inwestycje wytwórcze

(rozwojowe) otwierają drogę do przyszłości i tworzą podstawę do sprostanía wyzwaniom.

Łatwo dostrzec, że odporność się traci, „osadzając się” w teraźniejszości i eksploatując te zasoby, które przynoszą doraźny sukces. Każdy sukces staje się wówczas problemem, prowadzi bowiem do zachowań schematycznych, a te – do rutyny. Władza, koncentrując się na tym, aby obecnie wygrać, zapomina o wytworzeniu zdolności do przestawienia się na nowe reguły lub sytuacje. Wzrost wynika z wykorzystania czynników aktualnych, dzieje się w teraźniejszości. Rozwój jest możliwy, gdy stworzymy pomost między przeszłością (dziedzictwem) i przyszłością. Wzrost daje siłę, ale nie przysparza odporności.

Ten pomost stanowią m.in. inwestycje wytwórcze, szczególnie innowacyjne. I na to właśnie zwrócił uwagę Keynes. Fundamentalne znaczenie ma komplementarność inwestycji prywatnych i publicznych. Inwestycje publiczne nie mają wypierać czy zastępować prywatnych. Są niezbędne w formowaniu infrastruktury gospodarowania, ale jednocześnie stanowią ograniczenia przestrzenne, bez których doraźny interes prywatny dominowałby nad długofalowym rozwojowym interesem publicznym.

W schumpeterowskim modelu gospodarki rynkowej pieniądź jest ściśle związany z kredytem, nigdy nie jest od niego oddzielony (Minsky 1990, s. 12). We współczesnej gospodarce pieniądź został znacząco oderwany od kredytu i przedsiębiorczej działalności wytwórczej. Stał się samoistnym bytem, czego krańcowym przejawem są kryptowaluty. Światy produkcji i finansów nie są już autonomiczne względem siebie. Dzisiaj tworzą konglomerat, którego uczestnicy – inaczej niż schumpeterowscy przedsiębiorcy – unikają ryzyka i usilnie starają się je przerzucić na kogoś innego, co dobrze opisuje keynesowski koncept „*animal spirit*” (tamże, s. 15). Współczesny kapitalizm jest o wiele bardziej rentierski niż przedsiębiorczy, w czym znacząco przypomina feudalizm. Dochody generowane przez przedsiębiorczość są redukowane kosztem dochodów z posiadania kapitału finansowego i jego ekonomicznej siły. W rezultacie obserwujemy postępujący spadek inwestycji wytwórczych i osłabienie produktywnościowej orientacji przedsiębiorstw (tamże, s. 17).

Minsky (1988, s. 31-32) przeciwstawia kapitalizm finansowy oraz menedżerski, podkreślając, że ten drugi, który rozwinął się po Wielkim Kryzysie przełomu lat 20. i 30. XX w., nie doznał głębokiej recesji i depresji, co charakteryzuje kapitalizm finansowy. Kombinacja kapitalizmu menedżerskiego i państwa opiekuńczego przez szereg dekad po II wojnie światowej chroniła społeczeństwo przed gwałtowną pauperyzacją i utratą znaczącej części materialnego dorobku pokoleń (*wealth*). W przypadku kapitalizmu finansowego społeczno-materialna zapaść okresowo pojawia się i to – w następstwie neoliberalnej rewolucji – w coraz ostrzejszej i coraz trudniej przezwyciężalnej postaci. Przełamanie tej tendencji wymagałoby strukturalnej interwencji ze strony państwa. Przykłady USA i Wielkiej Brytanii, a obecnie także Francji i Niemiec pokazują, jak słabe i mało wiarygodne w tym względzie stały się państwa penetrowane przez globalne korporacje finansowe, a także w coraz większym stopniu przez wielkie platformy technologiczne.

Niska wiarygodność ekonomiczna państwa osłabia orientację długookresową i produktywnościową, sprzyja zaś wzmacnianiu orientacji krótkookresowej, spekulacyjnej i transakcyjnej.

Stopień funkcjonowania państwa jako wielkiej instytucji finansowej ma fundamentalne znaczenie dla wszystkich jego obywateli. Każdy – chcąc nie chcąc – jest uczestnikiem systemu finansowego państwa tak po stronie przychodów (szeroko rozumianego systemu podatkowego), jak i po stronie wydatkowej. Tym samym obywatele są swego rodzaju „akcjonariuszami” państwa, które utrzymują ze swoich podatków, a jednocześnie są jego „wierzycielami”. Nieuchronnie bowiem dług państwa w taki czy inny sposób (np. w następstwie inflacji) staje się obciążeniem jego obywateli. To, w jaki sposób państwo finansuje swoje funkcjonowanie, w tym dług publiczny, ma więc ogromny wpływ na redystrybucję zasobów w gospodarce i sytuację ekonomiczną obywateli (Biga, Hausner i Możdżeń 2021, s. 88).

System finansowy państwa jest układem wielu naczyń połączonych. To, czy sprawnie działa, zależy ściśle od ekonomicznej wiarygodności jego wszystkich uczestników, ale przede wszystkim od wiarygodności samego państwa. Bazuje na niej gospodarka rynkowa.

Oslabienie wiarygodności państwa powoduje, że gospodarka staje się bardziej wrażliwa, mniej odporna na różnego rodzaju szoki gospodarcze. Kamil Pruchnik podkreśla, iż niska wiarygodność sprawia, że państwo nie jest w stanie zapobiec kryzysowi bankowemu (Pruchnik 2021, s. 51–52). Jego wybuch powoduje, że skokowo rośnie cena finansowania aktywności gospodarczej. Wzrastają ryzyko kredytowe i koszt kredytu, co prowadzi do recesji i fali upadłości. Proces się zapętla i działanie spirali gospodarczej zapaści się wzmacnia (tamże, s. 129).

Przerwać ją może interwencja państwa. Ale ta nie będzie możliwa i skuteczna, jeśli państwo nie ma odpowiednio wysokiej wiarygodności. Dla utrzymywania wysokiej wiarygodności ekonomicznej państwa wielkie znaczenie ma ustanawianie i przestrzeganie reguł, które można określić jako korzystne społecznie ograniczenia (*beneficial constraints*). Ich wprowadzanie i respektowanie (np. tych związanych z ochroną środowiska) stanowi fundament ekonomicznej wiarygodności państwa.

Występowanie zjawiska „transferu długu” oznacza, że bałamutna jest argumentacja uzasadniająca wzrost długu publicznego jako ekonomicznie tańszego niż dług prywatny. Obecnie tańszy dług publiczny stanie w się nieodległej przyszłości długiem prywatnym, który wywoła kolejną falę wzrostu długu publicznego. Trzeba też pamiętać, że destrukcyjna polityka finansowa w jednym państwie wywołuje negatywne skutki także w skali międzynarodowej. Dotyczy to w szczególności jego partnerów gospodarczych.

Zjawisko „transferu długu” wynika stąd, że zadłużenie inaczej wiąże teraźniejszość z przyszłością, niż dzieje się to w przypadku pracy i wynagrodzenia. Ma inną społeczną czasoprzestrzenną naturę, którą określa relacja dłużnika i wierzyciela oraz wynikające z niej oczekiwania i zobowiązania. Istotną zmienną tej więzi jest pieniądź, który wyraża i mierzy wielkość zadłużenia. Sam pieniądź jest formą długu. W przypadku inflacji traci wartość, co rzutuje na wielkość zadłużenia. W tym sensie dwustronna relacja dłużnik–wierzyciel staje się szerszą relacją społeczną. Jej czasoprzestrzenność się poszerza, a inflacja (także wiele innych zmiennych) może być tego czynnikiem.

Na transfer i redystrybucję długu oddziałują również: różnicowana i zmienna fiskalizacja różnego rodzaju działalności gospodarczych oraz zmienność kursu walutowego. Przepływy pieniężne nie odzwierciedlają tylko bieżących transakcji, ale wpływają też na kształtowanie długofalowych relacji między uczestnikami rynku. Takie oddziaływanie jest tym silniejsze, im bardziej pieniądź w gospodarce jest endogenizowany, co jest następstwem osłabienia reguł fiskalnych oraz faktycznej utraty niezależności banku centralnego.

Negowanie znaczenia i obchodzenie społecznie korzystnych ograniczeń prowadzą do deformacji struktury gospodarczej. Niektóre jej elementy stopniowo zyskują dominującą pozycję i wchodzą w rolę hegemonu. Przykładem jest np. kartelizacja gospodarki przemysłowej. Współcześnie taką pozycję uzyskują wielkie platformy technologiczne (GAFA).

Deformacja strukturalna może przyjmować formę etatystyczną, w której nadrzędna pozycja przypada podmiotom państwowym, podporządkowującym sobie rynkowych graczy, narzucając korzystne dla siebie reguły gry ekonomicznej. Tak się dzieje aktualnie na Węgrzech czy w Polsce. Jeszcze bardziej oczywisty jest przypadek Chin czy Rosji. Mamy w tych i wielu innych krajach do czynienia z formowaniem państwowo-narodowej gospodarki rynkowej.

Nieskuteczność czy niska skuteczność reguł, w tym reguł fiskalnych, nie wynika zazwyczaj z tego, jak są skonstruowane, ale z tego, kto i jak się nimi posługuje lub do nich odnosi. Reguły są ograniczeniami swobody decyzyjnej. Nie eliminują jej, ale ograniczają: można wiele, ale nie wszystko. Decydenci mają naturalną skłonność do ich omijania. Często wybierają ścieżki na skróty. Dlatego muszą być wprowadzone rozwiązania im to uniemożliwiające. Jednym z nich jest konstytucyjna zasada praworządności. Jeśli jest podważana, to pomniejszany jest cały porządek normatywny. Wiadomo niestety, że w ostateczności nie ma takich umocowań formalnoprawnych, których zdeterminowani decydenci nie zdołają osłabić lub nawet usunąć.

Porządek normatywny istnieje w społeczeństwie nie za sprawą samych sankcji, ale w następstwie kulturowego (aksjonormatywnego)

społecznego wyboru i umocowania, co stanowi podstawę jego umocowania formalnoprawnego. Jeśli zatem ktoś się domaga zniesienia reguł – w tym fiskalnych – ponieważ są mało skuteczne, to winien pamiętać, że taka argumentacja doprowadzi do osłabienia całego porządku normatywnego i wszelkich wpisanych do niego reguł. Stopniowo przestają one obowiązywać, a tym samym cofane są wynikające z nich ograniczenia, ale także społeczne korzyści. Nie ma wiarygodności państwa bez przestrzegania ustanowionych przez nie reguł. Ich przestrzeganie daje przewidywalność, a bez niej nie można osiągnąć stabilizacji warunków gospodarowania niezbędnej do funkcjonowania gospodarki.

Istotne znaczenie dla wiarygodności ekonomicznej państwa ma respektowanie zobowiązań międzynarodowych, czyli umów bilateralnych zawartych z innymi państwami, a nawet w większym stopniu multilateralnych traktatów powiązanych często z członkostwem w organizacjach międzynarodowych. Definiują one funkcjonowanie podmiotów krajowych na arenie międzynarodowej oraz zaangażowanie zagranicznych podmiotów indywidualnych i instytucjonalnych w życie gospodarcze kraju.

Wiarygodność ekonomiczna państwa jest swoistego rodzaju dobrem publicznym, które jest i musi być instrumentalizowane, aby z niego korzystać. Rzecz w tym, aby sposoby instrumentalizowania tego dobra podtrzymywały je i wytwarzały, a nie niszczyły. Podstawowe znaczenie ma jakość informacji gospodarczej wytwarzanej przez państwo i jego agendy. Odwrotnością jest manipulacja danymi statystycznymi czy rządowa propaganda zamiast rzetelnego informowania. Taka instrumentalna eksploatacja wiarygodności prowadzi do jej podważenia i obniżenia zaufania wobec państwa.

Jakiej globalizacji (internacjonalizacji gospodarowania) potrzebujemy

„Globalne łańcuchy wartości” to jedno z kluczowych pojęć odnoszących się do globalizacji. W UNCTAD World Investment Report (2013, s. 125) zaproponowano ich następującą roboczą definicję: „(...) sfragmentaryzowane łańcuchy dostaw, w ramach których działania i poszczególne zadania cechują się rozproszeniem międzynarodowym i są koordynowane przez firmę wiodącą (*lead firm*) – przedsiębiorstwo transnarodowe”. Zastanawia mnie, dlaczego „łańcuchy dostaw” są nazywane „łańcuchami wartości”. Ważniejsze jest jednak pytanie, czy łańcuch jest właściwą metaforą w odniesieniu do wartości? Oczywiście łańcuch jako linearne połączenie ogniw ma swoją specyficzną wartość użytkową. Tak też jest w przypadku łańcuchów dostaw, które warunkują ciągłość działań gospodarczych, ich efektywność i generowanie wynikającego z nich zysku. Przyczyniają się zatem do wytwarzania wartości dodanej. I na tym zasadniczo koncentruje się uwaga badaczy globalnych łańcuchów wartości, którzy uważają, że dla poszczególnych gospodarek, szczególnie zaś „wschodzących”, udział w globalnych łańcuchach wartości wiąże się z następującymi wyzwaniami (zob. Geodecki 2025, mimeo):

- dołączenie do globalnych łańcuchów wartości w celu unowocześnienia struktury i zwiększenia konkurencyjności gospodarki;
- zwiększenie udziału krajowej wartości dodanej w łańcuchach wartości;

- zwiększenie siły rynkowej lokalnych przedsiębiorstw w łańcuchach wartości;
- awans przemysłowy firm lokalnych w kooperacji z inwestorami zagranicznymi;
- odejście od konkutowania niskimi kosztami pracy.

Jednak przy tak szerokim ujęciu zagadnienia, tym bardziej wątpliwe staje się używanie metafory „łańcucha”. Adekwatne byłoby użycie określenia „sieci”. To prowadzi mnie do zaproponowania pojęcia „sieci wytwarzania wartości”, które otwiera możliwość włączenia w obszar rozważań i analizy nie tylko wartości użytkowych związanych z dostawami, wąsko rozumianą kooperacją, ale także tych, które są możliwe do „uzyskania” – wytworzenia – poprzez partnerstwo gospodarcze. A przecież wyraźnie do tego odnosi się powyższe zestawienie wyzwań. W rachubę wchodziłyby nie tylko wartości ekonomiczne (komercyjne), ale także inne, w tym pozamaterialne, ściśle z nimi powiązane. Takie podejście przesunęło rozumowanie w kierunku „ekonomii wartości”, w której „sieci wytwarzania wartości” – rozumiane jako sieci wytwórcze, a nie tylko dostawcze – są jedną z podstawowych kategorii. W rozpatrywaniu korzyści tzw. „globalnych sieci wartości” nie wystarczy powtarzać jak mantrę frazy o „wartości dodanej” bez precyzyjnego wskazania „do czego?” i „komu?”.

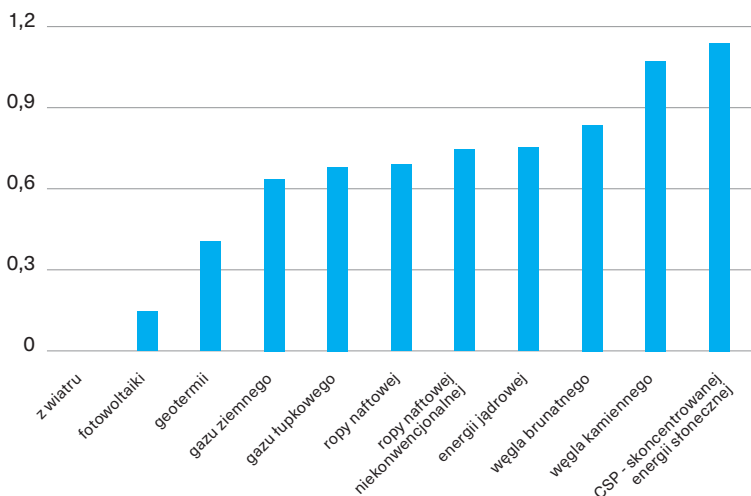
Podtrzymywanie globalnych łańcuchów dostaw niewątpliwie stabilizuje gospodarkę światową. Z drugiej strony ich gwałtowne zrywanie wywołuje gospodarczy szok, co obserwowaliśmy w następstwie pandemii COVID-19. W tym sensie są one przejawem globalizacji i jej warunkiem. Jednakże dla rozwoju kluczowe znaczenie mają sieci wytwarzania wartości. Szczególnie takie, które wzmacniają społeczno-gospodarcze siły regeneracyjne.

Jedną z nowszych koncepcji pożytecznych w interpretacji „zrównoważonego rozwoju” stał się Water-Energy-Food-Ecosystems (WEFE) Nexus (Kundzewicz 2024). Autorzy popularyzujący tę koncepcję różnie interpretują pojęcie Nexus. Ogólnie oznacza ono sieć powiązań lub połączeń, a jego użycie wskazuje na powiązanie różnych zmiennych czy zjawisk i/lub przenikanie się różnych idei. Koncepcja WEFE Nexus umożliwia uchwycenie relacji zachodzących między różnymi wymiarami bezpieczeństwa: bezpieczeństwem wodnym, energetycznym, żywnościowym i środowiskowym.

To podejście stanowi konceptualną (interpretacyjną) ramę dla zintegrowanego, kompleksowego podejścia do zarządzania zasobami i dobrami, które współcześnie stały się krytyczne – stanowią kluczowe wyzwanie rozwojowe dlatego, że z jednej strony są deficytowe i/lub kosztochłonne, a z drugiej dostęp do nich warunkuje utrzymanie jakości życia populacji, a zatem zaspokojenie potrzeb z nimi związanych ma egzystencjalną wartość dla społeczeństwa. Ujęcie tych kluczowych kwestii w połączeniu ma umożliwić przezwycięzenie podejścia sektorowego (silosowego), które w warunkach zmian zachodzących w skali globalnej i związanych z nimi szoków jest nieskuteczne, a nawet przeciwnie skuteczne (syndrom krótkiej kołdry). Częściowe pozytywne efekty działań sektorowych okazują się niewystarczające i niepodtrzymywalne. Nie zapewniają bezpieczeństwa na satysfakcjonującym poziomie również

dlatego, że umacniają wpływ grup interesu związanych z danym sektorem, co blokuje konieczne dostosowania.

Koncept WEFE Nexus został pomyślany przede wszystkim jako narzędzie analityczne, które pozwala na uchwycenie wzajemnych zależności, synergii i konfliktów zachodzących między gospodarowaniem wodą, energią i żywnością z kontekście wymogu ochrony ekosystemów – ograniczenia presji środowiskowej i związanych z tym ryzyk. Przykładem analitycznego zastosowania tego podejścia może być analiza śladu wodnego wytwarzania energii elektrycznej z różnych źródeł, a konkretnie zużycia wody na jednostkę energii (Gerbens-Leenes i in. 2020).



Rysunek 1.

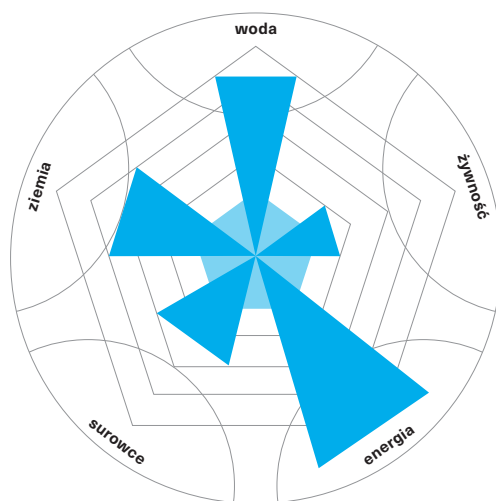
Niebieskie ślady wodne (zużycie wody słodkiej) wytwarzania energii elektrycznej.

Źródło: Gerbens-Leenes i in. (2020, s. 8).

Badacze rozwijający omawianą koncepcję są jednak przekonani, że ma ona także walory zarządcze, a w szczególności umożliwia zintegrowane planowanie i formułowanie alternatywnych scenariuszy i strategii rozwojowych, przez co może się przyczynić do wyższej efektywności polityki publicznej.

Nexus jest także prezentowany w innych, szerszych niż WEFE, wersjach. Bleischwitz i in. (2018) zaproponowali włączenie w jego ramy analityczne także gruntów i surowców materialnych, starając się w ten sposób powiązać tę koncepcję z zestawem Sustainable Development Goals ONZ. Swoją propozycję autorzy ci określili jako Resource Nexus Perspective. W ich rozumieniu oznacza ona układ kontekstowych wzajemnych zależności między dwoma lub więcej rodzajami naturalnych zasobów w łańcuchu dostaw i systemie zaopatrzenia (tamże, s. 3). W swoim artykule przywołują liczne przykłady opracowań badawczych wykonanych w różnych krajach w układzie krajowym oraz regionalnym.

W tym ujęciu zwraca uwagę podkreślenie, że opracowania analityczne umożliwiają uchwycenie tych zależności (*interlinkages*), które są krytyczne. To ważna sugestia, aczkolwiek jej przydatność wymaga jeszcze zdefiniowania tego, jak się rozumie „krytyczność”. W omawianym tekście jest ona wyraźnie odniesiona do bezpieczeństwa. Narzędziem pomocnym w analitycznym „wychwyceniu” takich zależności jest strumieniowy wykres Sankeya, który służy ich wizualizacji.

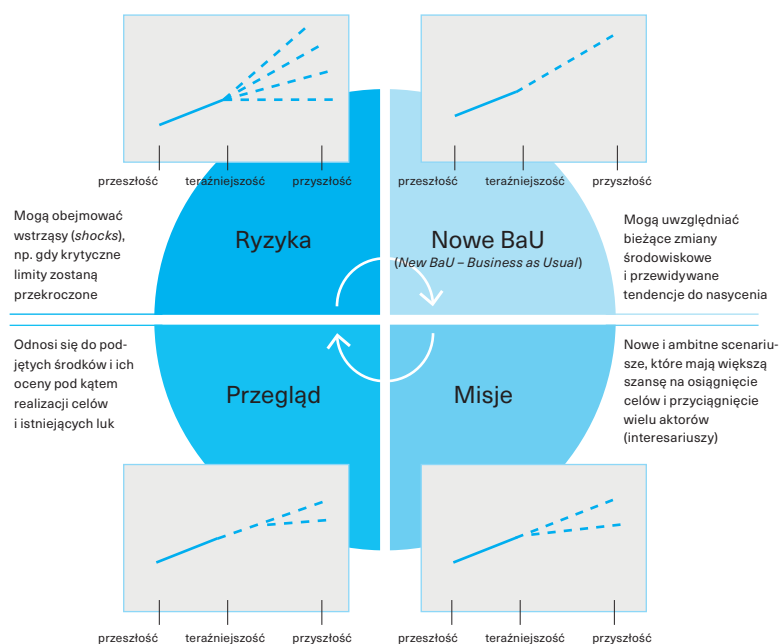


Rysunek 2.

Krytyczne powiązania wewnętrzne wykorzystania zasobów dla konkretnych systemów

Źródło: Bleischwitz i in. (2018, s. 8).

Powyższy wykres radarowy – zdaniem cytowanych autorów – pozwala uchwycić krytyczne zależności pomiędzy różnego rodzaju sposobami zaopatrzenia, także z uwzględnieniem ich konsekwencji w różnych skalach terytorialnych. To następnie umożliwia tworzenie różnego rodzaju scenariuszy interwencji publicznej, w czym pomocny jest poniższy schemat interpretacyjny.



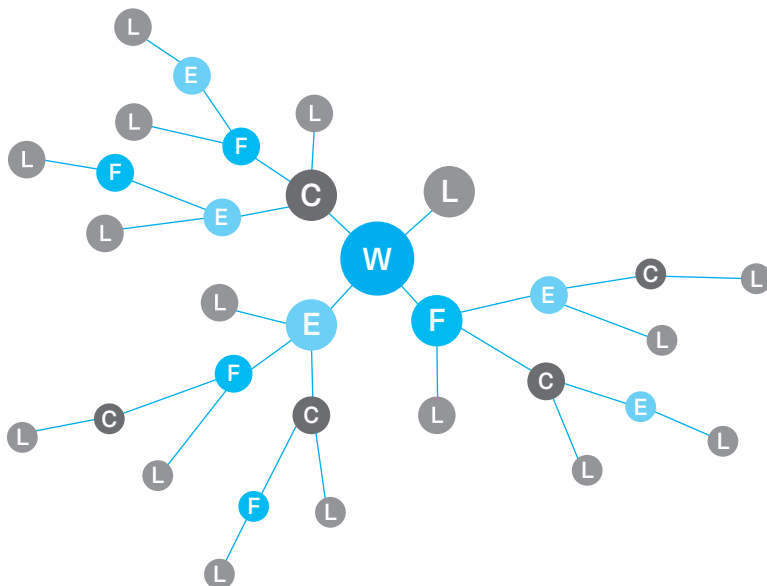
Rysunek 3.

Zestaw scenariuszy wspierających procesy decyzyjne.

Źródło: Bleischwitz i in. (2018, s. 11).

Jeden z ciekawych przykładów nexusowych zależności, w tym przypadku degeneracyjnych, przedstawiony został w artykule Bi-doglio i in. (2019, s. 459). Chodzi o ślad wodny produkcji migdałów w Kalifornii, która pochłania więcej wody niż potrzebuje cała populacja trzech wielkich miast – Los Angeles, San Diego i San Francisco. Równocześnie Kalifornia od lat jest narażona na dotkliwie,

O tym, jak trudne w zastosowaniu może to być narzędzie, niech świadczy poniższy schemat.



W to L	=	WL	+											1szy rząd
		WEL	+	WFL	+	WCL	+							2gi rząd
		WEFL	+	WECL	+	WFEL	+	WFCL	+	WCEL	+	WCFL	+	3ci rząd
		WFLCE	+	WFCLE	+	WFLCE	+	WLCFE	+	WCLFE	+	WCFLE		4ty rząd

Drzewo powiązań (*nexus tree*): woda do użytkowania gruntów (*land use*), pokazujące tworzenie się wszystkich 16 bezpośrednich i pośrednich ścieżek, za pomocą których zmiana w wodzie może wywołać zmianę w użytkowaniu gruntów.

Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości... 249

Ukazuje on możliwe powiązania czwartego rzędu między wodą i gruntami dla Nexusa pięciowymiarowego (W – woda, E – energia, F – żywność, C – klimat, L – grunty). Przy czym w tym układzie odniesienia analizowane są powiązania od pierwszego (bezpośrednie) do czwartego rzędu (pośrednie) – łącznie jest ich 120, a jednocześnie autorzy tej propozycji (Laspidou i in. 2018, s. 6) podkreślają, że zaproponowana przez nich architektura modelowania nie uwzględnia pętli sprzężeń, które dynamizują i komplikują analizowany układ, czyniąc go jeszcze bardziej nieuporządkowanym i nieregularnie zmiennym.

Z tego powodu nie sądzę, aby Nexus mógł dobrze (skutecznie) przysłużyć się całościowemu modelowaniu optymalizującemu, choć „modelarze” głęboko w to wierzą. Jego przydatność dostrzegam natomiast w rozpoznaniu „punktów krytycznych”, które interpretuję jako węzły, najsilniej oddziałujących na cały analizowany obszar rzeczywistości. Do tych węzłów powinna się w pierwszej kolejności odnosić interwencja publiczna. Takie podejście pozwoliłoby neutralizować linearne, łańcuchowo ujmowane zależności zmiennych zobrazowanych w danej wersji Nexusa. Dzięki temu łatwiej byłoby rozpoznać powiązania dynamizujące badany układ – w tym sensie są to powiązania krytyczne. Ich oddziaływanie nie jest linearne, ale w istocie dysypatywne.

Ponadto w przywołanych ujęciach Nexus jest ukierunkowany (*biased*) na zapewnienie bezpieczeństwa interpretowanego także jako odporność (*resilience*). To jest implikowane przez rozumienie Nexusa jako narzędzia umożliwiającego określenie „punktów równowagi” systemowej (*steady state*). Takie podejście przesłania dynamikę i uniemożliwia postrzeganie analizowanych powiązań w perspektywie rozwojowej, a konkretnie przez pryzmat oddziaływań regeneracyjnych, które nieuchronnie prowadzą nie tylko do odtwarzania, ale także zmiany układu.

Uchwycenie i wzmacnianie współzależności regeneracyjnych są w moim przekonaniu możliwe pod pewnymi warunkami, które ujmę następująco:

1. rozpoznanie i działanie muszą odnosić się do określonego terytorium, które zawiera specyficzny układ analizowanych zjawisk;

2. niezbędny jest układ instytucjonalny zdolny do działań rozpoznawczych (w tym analitycznych) oraz praktyczno-interwencyjnych;
3. taki układ instytucjonalny musi obejmować aktywność wielu różnych autonomicznych aktorów, nie może być monocentryczny;
4. dzięki temu może zapewnić danemu terytorium suwerenność rozwojową, w tym wyznaczyć strategiczne oddziaływania rozwojowe (regeneracyjne);
5. to warunkowane zaś jest wypracowaniem wspólnej płaszczyzny aksjologicznej, czyli odniesienia rozwoju do określonych wartości.

Dodam w tym kontekście, że w cytowanym wyżej artykule Bleischwitz i in. (2018, s. 6) autorzy przypominają teksty Elinor Ostrom, podkreślając przekonująco, że ta wybitna ekonomistka wykazała, iż dobre narzędzia analityczne są społecznie przydatne wtedy, kiedy przyczyniają się do generowania lokalnej wiedzy wynikającej z wzajemnego uczenia się i wspólnego doświadczenia.

Dostrzegam szczególną przydatność podejścia nexusowego w odniesieniu do rozpoznawania regeneracyjnych sił lokalności. W takim przypadku Nexus nie powinien być danym i właściwym dla każdej lokalności schematem analitycznym, lecz odpowiednio dostosowaną do danej lokalności metodą poznawczo-analityczną. Ma ona umożliwić uchwycenie krytycznych współzależności dla danego terytorium i ukształtowanej na nim społecznej czasoprzestrzeni.

W uchwyceniu lokalnych punktów krytycznych pomaga „analityczne przepracowanie” wszelkich kryzysowych doświadczeń (wstrząsów) danej lokalnej społeczności. Przykładem takiego wstrząsu jest niewątpliwie powódź, która katastrofalnie dotknęła szereg obszarów i gmin województw dolnośląskiego i opolskiego we wrześniu 2024 roku. Z dystansu widać, że nie ma takich rozwiązań, które mogą zapobiec „wielkiej fali”, a jednocześnie podejmowane w przeszłości działania antypowodziowe były nie tylko niewystarczające (bo wystarczające być nie mogły), ale i w znacznej

mierze nieadekwatne, projektowane bowiem były dla zapobieżenia powodziom, które już na tym terenie wystąpiły. Tymczasem postępujące nieuchronnie zmiany klimatu i wiele innych okoliczności powoduje występowanie nowych rodzajów powodzi (np. miejskie powodzie błyskawiczne, tragiczny przypadek zalania Walencji określany jest jako „deszczowa rzeka”).

Nexusowe podejście do zagrożenia powodziowego nie może bazować na ekstrapolacji. Niezbędne staje się projektowanie kreatywne, uwzględniające co najmniej trzy wymiary reagowania: ekspercki, zarządczy, społeczny. Żaden układ instytucjonalny nie może być skuteczny, jeśli jest uformowany tylko w jednym z tych wymiarów. Jego skuteczność jest warunkowana dostępem do informacji, tyle że są to informacje różnego rodzaju i różne są obieg ich generowania, przekazywania oraz przetwarzania. Każdy z wyróżnionych wymiarów odgrywa istotną rolę w tych obiegach informacyjnych. Wszystkie bazują na edukacji i zaufaniu.

Taka konstrukcja pozwala przezwyciężyć ograniczenia ekstrapolacyjnego myślenia zarządczego i rozwinąć podejście regeneracyjno-transformacyjne, w którym działania prewencyjne są inteligentnie powiązane z tymi ukierunkowanymi na wykształcenie zdolności wszechstronnego kryzysowego reagowania oraz regeneracyjnego dostosowania.

Sama prewencja nie jest wystarczająca. Konieczne staje się przekształcanie przestrzeni fizycznej i społecznej. W ten sposób może się dokonać przejście od wąsko rozumianego użytkowania i bezpieczeństwa do nexusowego gospodarowania, regeneracji i rozwoju.

Bezpieczeństwo wodne można uzyskać tylko wtedy, kiedy je aktywnie, rozwojowo zbiorowo wytwarzamy. Rozwiązaniom technicznym, infrastrukturalnym muszą towarzyszyć społeczno-organizacyjne. Okrężność techniczną (recykling) wzmacnia społecznie zakorzeniona regeneracja (okrężność rozwojowa). Sama kanalizacja bez odpowiedzialnego zagospodarowania przestrzennego, bazującego na podejściu nexusowym, będzie generowała nadmierne koszty.

Woda (jak też inne zasoby krytyczne) winna znaleźć się w centrum społecznego myślenia i projektowania. A jak wskazuje doświadczenie wielu obszarów powodziowych, temat ten znika ze

zbiorowej refleksji i działania, kiedy znika z mediów, co jest już regułą. Ścięte drzewa widać, a niszczenia życia w rzekach na ogół nie, aż do pojawienia się ławic śniętych ryb. Stąd między innymi postulat nadawania rzekom osobowości prawnej oraz ustawowego ustanowienia społecznej roli adwokatów rzek. Uzasadnieniem jest i to, że naturalna „logika” zlewni nie pokrywa się z formalną „logiką” administracyjną. Tylko zdrowa rzeka jest zdolna do regeneracji.

Wysoką przydatność podejścia nexusowego widać wyraźnie w odniesieniu do organizacji użyteczności publicznej sektora wodnego, szczególnie lokalnych wodociągów. Nie mogą one dłużej być traktowane jako organizacja od wytwarzania i dostarczania czystej wody, nastawiona na redukcję kosztów i pobieranie opłat, co warunkuje jej efektywność. Mają stawać się zaawansowanym centrum wiedzy o gospodarowaniu wodą oraz dostarczycielem szeregu usług użyteczności publicznej.

Wartość sektora wodnego nie może być określana przez wartość aktywów, wielkość obrotów i zysku. Tak liczona, w porównaniu np. z przemysłem kosmetycznym czy farmaceutycznym, w pełni uzasadnia opłacalność zanieczyszczania wody.

Woda jako dobro egzystencjalne nie może być towarem. Musi być uznana za cenne medium, warunkujące możliwość wytwarzania innych dóbr, zarówno rynkowych, jak i użyteczności publicznej. Dlatego wartość organizacji sektora wodnego powinna być oceniana poprzez wartość i niezbędność szeregu dóbr przez niego dostarczanych. Część tych dóbr jest wytwarzana bezpośrednio, część dostarczana w postaci dóbr pośrednich.

Organizacje sektora wodnego jako organizacje użyteczności publicznej powinny być traktowane w danej lokalności jako kluczowe węzły współpracy różnego rodzaju podmiotów, w tym także inwestorów z innych sektorów, np. energii, żywności czy zdrowia. Pozwoliłoby to wspólnie wypracować w omawianym obszarze definicję celu publicznego oraz adekwatną strategię inwestycyjną, ukierunkowaną na kogeneracyjne wytwarzanie dóbr i podtrzymywanie procesów regeneracyjnych.

Dawniej w Polsce mieliśmy 60 dni z pokrywą śnieżną, obecnie jest ich przeciętnie 40. Pojawiło się zjawisko „suszy zimowej”.

Rocznie zanika 1% oczek wodnych. Obserwujemy więc drastyczne obniżenie poziomu wód gruntowych. Nie pomoże tego przezwyciężyć retencja korytowa. Pogłębianie rzek pogłębia suszę. Fundamentalnie ważna staje się retencja glebowa.

Gleba musi być zatem uznana za podstawowe urządzenie hydrologiczne.

Rolnicy uprawiający ziemię wypełniają nie tylko funkcje produkcyjne, ale także środowiskowe. Są kluczowymi aktorami podejścia nexusowego (środowiskowo-węzłowego), w którym dostrzegamy powiązanie kwestii wody i żywności, ale także energii. Zamiast zatem myśleć działowo o rolnictwie i obszarach miejskich, zasadne byłoby wypracowanie ujęcia osiowego: woda – żywność – środowisko – rozwój terytorialny.

Podobnie kwestii „energii” nie da się już sprowadzać do energetyki, czyli mocy wytwórczych i produkcji energii elektrycznej. Dzisiaj takie myślenie to ślepa uliczka, droga do systemowej nieprzewidywalności. Nie możemy dalej koncentrować się na tym, jak wytwarzać najwięcej energii, ale na tym, jak jej najlepiej użyć. To odmienna rama poznawcza, która warunkuje wypracowanie strategii transformacji energetycznej i jej faktyczne wdrożenie, w tym także zaprojektowanie i uformowanie adekwatnego układu instytucjonalnego. Jego składowe to: podział kompetencji, zdolność koordynowania działań, spójność rozwiązań prawnych, sprawny system monitoringu i kontroli, odpowiednie budżetowanie, które pozwala zrealizować przekrojowe (nie silosowe) projekty, skuteczna komunikacja społeczna i edukacyjna.

Podejście nexusowe dobrze się sprawdzi w odniesieniu do zdrowia. Odporności zdrowotnej populacji i zdolności reakcji na kryzys zdrowotny nie można wbudować tylko w system opieki zdrowotnej. Myśląc inaczej, postępujemy tak, jakbyśmy wierzyli, że przed wielką katastrofalną powodzią zabezpieczy nas system hydrologiczny i służby hydrologiczne.

Zdrowie to nie brak choroby. Musi być rozumiane znacznie szerzej, jako dobrostan, i być uznane za najważniejszą potrzebę i wartość egzystencjalną. Pomimo wysokiej dynamiki PKB w Polsce, w wielu obszarach dotyczących zdrowia jesteśmy wyraźnie poniżej

średniej w Unii Europejskiej. Postępuje pogorszenie zdrowia populacji. Głównym czynnikiem nadumieralności są nierówności w dostępie do świadczeń prozdrowotnych, w tym medycznych. Nakłada się na to kryzys zdrowia psychicznego. System ochrony zdrowia w Polsce jest chorobocentryczny, lekocentryczny i szpitalocentryczny, co znaczy, że jest drogi i niewydolny. Zwiększenie skali finansowania tego nie przełamie.

Podstawowa perspektywa spojrzenia na zdrowie to perspektywa ryzyk zdrowotnych. Ma sens wtedy, gdy mamy dobre rozpoznanie tych ryzyk, czyli istnieje zaplecze eksperckie, które dostarcza rzetelnej wiedzy. Zapobieganiu i przeciwdziałaniu ryzykom powinny służyć dobrze skonstruowane programy zdrowotne – nie tworzone *ad hoc*, pod wpływem jakiegoś wydarzenia, ale w oparciu o regularne analizy stanu zdrowia społeczeństwa i ich wyniki.

Dodatkowo trzeba brać pod uwagę, że układ czynników ryzyka się zmienia. Pandemia COVID-19 jest przykładem zasadniczej, szokowej zmiany warunków zdrowotnych. Żaden system zdrowia nie może być wystarczająco zabezpieczony, ani mieć wystarczających rezerw na pojawienie się takiego wstrząsu zdrowotnego. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że jest on niezwykle kosztowny, słowem – nie do utrzymania. Wynika stąd, że bezpieczeństwo zdrowotne musi być wielowymiarowe. Zależy od postępowania i zachowania wielu różnych aktorów. Zawsze będzie istniał problem, na ile ci aktorzy mają być autonomiczni i niezależni od siebie, a na ile partnerstwo zintegrowani. I jedno, i drugie jest niezbędne. Poziom zdrowia zależy bardziej od tego, jak działają szkoła, media, instytucje kultury, kluby sportowe, miasta i zakłady pracy niż lekarze i szpitale. Kluczowym aktorem profilaktyki zdrowotnej są też zdrowe firmy.

Bezpieczeństwo zdrowotne należy postrzegać w szerokim planie osiowym, czyli przekrojowym, transwersalnym, przechodzącym przez sektory, nieodnoszonym do jednego układu resorowego. Musi ono łączyć odpowiedzialność i działanie różnych podmiotów. Tak nie jest. Zdrowie to kluczowa oś rozwojowa.

Nasze zasoby pracy kurczą się i nadal będą się kurczyć. To wielkie wyzwanie. Jak więc utrzymać dynamikę wzrostu gospodarczego w sytuacji zmniejszających się zasobów pracy i pogarszającej się

kondycji zdrowotnej? Niezbędna jest wyższa produktywność wykorzystywania własnych zasobów, rozumiana nie tylko w czysto ekonomicznym sensie, ale także w szerszym znaczeniu społecznym, w tym odniesiona do profilaktyki zdrowia, poziomu zdrowotności. Będziemy produktywniejszym społeczeństwem, jeśli będziemy bardziej innowacyjni, ale również jeśli będziemy zdrowsi.

Miasto nie jest medium zajmującym się medycyną naprawczą, jednak nikt go nie zwolni od tego, by było centrum zdrowia publicznego i to nie takim, które zajmuje się wyłącznie leczniczym aspektem medycyny, ale takim, które troszczy się o jakość życia mieszkańców.

Doświadczenie określonego szoku nie pozwala przewidzieć każdego następnego, ale umożliwia wzmacnianie tych elementów systemu, które w znanej sytuacji krytycznej okazały się najsłabsze. To oznacza z jednej strony zdolność do szybkiego reagowania, a z drugiej do strategicznego, perspektywicznego myślenia.

Często akcentowana jest potrzeba horyzontalnego i holistycznego podejścia w tej dziedzinie. Proponuję, aby zamiast pojęcia „horyzontalne”, które implikuje płaską perspektywę, użyć sformułowania „podejście krajobrazowe”, czyli takie, które nie jest dwuwymiarowe, lecz w pełni uwzględnia zróżnicowanie stanu faktycznego, ponieważ rozważane składowe nie mogą być traktowane jako równoważne i nie są one powiązane wszystkie ze wszystkimi w ten sam sposób. Spojrzenie krajobrazowe pozwala odejść od myślenia i działania punktowego, a jednocześnie zobaczyć, jaki jest ten krajobraz, jakie jest jego „zagospodarowanie”, jakie wyzwania i problemy przed nami stają, a także – w jaki sposób omijać pułapki czy zagrożenia i osiągać cele. W tym upatruję istotę i przydatność podejścia nexusowego.

Jednym z podstawowych założeń „ekonomii wartości” jest uznanie rozwojowej (regeneracyjnej) siły lokalności.

Przeciwieństwem regeneracji jest degeneracja, oznaczająca trwałe osłabienie potencjału rozwojowego lokalności. Tak jak degenerację, regenerację możemy zwizualizować w formie spirali (odpowiednio degeneracyjnej lub regeneracyjnej). Spirala regeneracyjna działa na zasadzie samoczynnego wyzwalania kolejnych dźwigni, spirala degeneracyjna – na zasadzie uruchamiania się kolejnych blokad.

Pojęcie „regeneracji” ma dwa człony – „generację” oraz „re”. Dlatego nie należy go definiować jako odtworzenie. Człon podstawowy to generacja, czyli tworzenie, wytwarzanie. Połączony z „re” implikuje bardziej odnowienie niż odtworzenie – bardziej pojawienie się czegoś nowego niż podtrzymywanie starego. Regeneracja to korzystna społecznie przemiana – rozwój. W przeciwieństwie do degeneracji – regresu. W przyrodzie i w społeczeństwie procesy niszczenia i tworzenia występują spontanicznie. Nie da się ich zablokować. Ale można i należy pobudzać regenerację i powstrzymywać degenerację.

Regeneracja jest procesem wielowymiarowym. Ma więc kogeneracyjną naturę. Istotne są także inne jej atrybuty, do których zaliczam: kompleksowość, czasowo-przestrzenność, spiralność – kumulatywne występowanie sprzężeń synchronicznych i diachronicznych zarazem.

Równie ważny jak przestrzenny jest temporalny aspekt lokalności. Bez uwzględnienia obu nie da się uchwycić znaczenia regeneracji.

Potrzebujemy więc połączenia synchronicznego (funkcjonalno-dysfunkcjonalnego) i diachronicznego (rozwojowo-regeneracyjnego) spojrzenia na lokalność (Hausner 2023, s. 103-104).

Choć lokalność nie istnieje bez samorządności, to nie wolno rozumieć lokalności i jej siły rozwojowej wyłącznie przez pryzmat funkcjonowania jednostek samorządu terytorialnego. Jeśli pominiemy inne podmioty, które występują w strukturze lokalnej – obywatele, mieszkańców i ich energię społeczną, biznes, przedsiębiorczość czy innych aktorów, to tej siły nie odkrywamy.

Rozwój z punktu widzenia jednostek samorządu terytorialnego długo oznaczał przede wszystkim inwestycje w szeroko rozumianą infrastrukturę, zwłaszcza w infrastrukturę komunikacyjną. Dziś wiemy, jak wielkie błędy popełniły miasta – szczególnie duże – myśląc, że poprawa układu komunikacyjnego da im siłę rozwojową. Faktycznie stanowi to w coraz większym stopniu obciążenie. Rozwój wymaga infrastruktury, ale ona sama rozwoju nie czyni.

Lokalność z perspektywy jednostki należy interpretować jako „moje miejsce na ziemi”. Wtedy staje się ona dla jednostki centrum świata. To ta jego część, którą może realistycznie tworzyć i zmieniać. Prawo do miejsca – jego współtworzenia i współodczuwania – to fundament. Dla jednostki tworzyć historię to opowiedzieć swoje miejsce, co znaczy ożywić je i tworzyć. Jednostka nie może jednak tego czynić w izolacji, w osamotnieniu. To jest możliwe tylko we współdziałaniu z innymi – współzamieszkującymi dane miejsce, daną lokalność. Przedrostek „współ” oznacza „razem”, wspólnota rodzi się z tego, z kim i jak współdziałamy. A do tego potrzebna jest nadzieja wynikająca z przekonania, że razem damy radę. To jedyna droga, aby zagrożenia nie paraliżowały a mobilizowały, aby móc je „przerabiać” w społeczne wyzwania.

Lokalność umacnia się w miejscach, w których ludzie spotykają się – widzą i rozmawiają. Mogą wtedy współtworzyć swoje opowiadanie, którym – jak to celnie sformułował Italo Calvino (1975, s. 104) – rządzą nie usta, lecz ucho.

Każdy mieszkaniec ma jakąś historię. Pytanie, czy ją przyjmuje, uznaje za swoją. Aby tak było, trzeba mieć komu ją opowiedzieć, trzeba mieć kogoś, kto się w nią wsłucha i nią przejmie, uwierzy nie

tylko opowiadającemu, ale też uwierzy w historię, czyli okaże, iż nie jest mu ona obojętna. Bez tego nie ma więzi. Ona rodzi się z tego, że ktoś mnie wysłuchał, ktoś mi uwierzył, ktoś we mnie wierzy, komuś na mnie zależy. Wiąż to współzależność, która wyznacza ścieżkę od uzależnienia do usamodzielnienia. To nie może być zależność pasywna, jednostronna.

Lokalność zamiera, gdy zbyt wielu jej mieszkańców to uchodźcy w życiu, osoby schowane w kryjówce. Znajdują się pomiędzy czymś, czego nie ma, nawet jeśli było, a czymś, co nie jest możliwe, bo niewyobrażone (życiowa niemoc). Człowiek, aby być osobą, musi mieć miejsce, które jest jego, musi być z kimś i dla kogoś.

Punktem wyjścia społecznej mobilizacji jest dialog, który zaczyna się od spotkania i rozmowy, ale waży tyle, ile wspólnych działań z tego wynika. Tak rozumiany dialog łączy rozproszone zasoby energii społecznej, w tym zasoby lokalnej wiedzy, które w ten sposób są pomnażane. W konsekwencji uruchamiana jest zbiorowa wyobraźnia umożliwiająca przełamywanie uprzedzeń i wychodzenie poza zastale schematy. Wyobraźnia jest formą twórczej ekspresji. Bez niej społeczność lokalna nie jest w stanie określić swych rozwojowych wyzwań i właściwie na nie reagować.

Przeciwieństwem twórczej wyobraźni jest rutyna, która utrwalą reguły, ale odsuwa wartości. Rutyna daje złudne poczucie bezpieczeństwa. Zamyka społeczność w przekonaniu, że ma być tak jak było, bo inaczej być nie może. Wartości odnoszące się do rozwoju aktywizują się wraz z przemianą, podjęciem rozwojowego wyzwania. Zdolność do współtuczenia się i aktywowania lokalnej wyobraźni ma regeneracyjną siłę. „Nie potrafię sobie tego wyobrazić” znaczy „zgadzam się na to, jak jest”.

Lokalność wytwarzają wydarzenia, które zachodzą na jej terytorium i kształtują jej czasoprzestrzeń. W literacki sposób ukazał to następująco Italo Calvino [1975, s. 9]:

Nie z tego składa się miasto, lecz ze stosunków między wymiarami jego przestrzeni a wydarzeniami z jego przeszłości: między odległością na latarni od bruku a kołyszącymi się stopami powieszonego samozwańca; sznurem przeciągniętym między latarnią

i przeciwległą balustradą a festonami zdobiącymi trasę orszaku ślubnego królowej; wysokością tej balustrady a skokiem cudzołócy, który przesadza ją o świcie; nachyleniem rynny a kotem, który posuwa się po niej, aby wślizgnąć się przez to samo okno; linią ognia kanonierki, która wypływa niespodzianie zza cypla, a kulą druzgocącą rynnę; dziurami w sieciach rybackich a trzema starcami siedzącymi na przystani, zajętymi naprawą i opowiadającymi sobie po raz setny historię kanonierki samozwańca, o którym mówi, że był nieprawym synem królowej porzuconym w pieluszkach właśnie tu na przystani.

W żadnej mierze nie jest to opis chaotycznej przypadkowości miasta (lokalności). Calvino podpowiada, że miasto jest jak drzewo, którego uschłe gałęzie ukazują, co mogło, ale się nie rozwinęło, ujawniają przeszłość, która jest odgałęzieniem przeszłości, która po części stała a po części nie stała się przyszłością (tamże, s. 23). Tak patrząc, autor dzieli miasta na dwa rodzaje: jedne przez lata i przemiany nadal narzucają pragnieniom własną formę, w innych albo pragnienia zdołały zatrzeć kształt miasta, albo kształt miasta je zaciera (tamże, s. 29).

Lokalną czasoprzestrzeń formuje zbiorowe imaginarium mieszkańców, otwierając i domykając ją odpowiednio. W następstwie jedne lokalności podtrzymują i wyzwalają swoje regeneracyjne potencjały (siły), w innych one słabną, ulegają degeneracji, co nieuchronnie prowadzi do zastoju i upadku. Samoistność lokalności, rozumiana jako autonomia, i samodzielność rozwojowa są zawsze ograniczone. W skrajności – stopniowo redukowane – bezpowrotnie zanikają.

Wyzwaniem dla każdej lokalności jest wytyczenie granic akceptowalnej różnorodności. Tolerancja oznacza jakiś rodzaj akceptacji. To akceptacja pasywna – uznaję, nie ruguję. Jeśli jednak te granice są ostre, sztywne, to mocno ograniczają różnorodność. Stopniowo prowadzą do jednorodności – wymuszają ją. Do tego prowadzi przeciwstawianie się migracji. Jednak jakieś ograniczenia różnorodności są potrzebne, aby spójność społeczna mogła w ogóle zachodzić. Obrona własnej odmienności to obrona

różnorodności. Postępowanie, a nie sama deklaracja określa, co to oznacza po stronie tych, którzy różnorodność akceptują, oraz po stronie tych, którzy oczekują zapewnienia różnorodności (wewnętrzni inni) (zob. Braidotti 2014, s. 61). Różnorodność nie ma być celem, ale jest warunkiem rozwoju.

Odpowiedzią na złożoność świata nie może być ani autorytarna symplifikacja ani postmodernistyczna równoważność wszystkich racji. Oba te podejścia prowadzą do tej samej pułapki. Właściwa odpowiedź to różnorodność uspołeczniona – różnorodność, która tworzy przestrzeń komunikacji i współdziałania.

Společną czasoprzestrzeń lokalności wypełniają napięcia i konflikty. Są one źródłem lokalnej energii. Mogą odzwierciedlać twórczą różnorodność lokalnej społeczności, ale też mogą tą społeczność rozsadzać i paraliżować zdolność zbiorowego komunikowania i działania. Dzieje się tak zwłaszcza w sytuacji słabnięcia potencjałów regeneracyjnych, do czego w szczególności mogą się przyczyniać zmiany klimatyczne, do których społeczność nie potrafi się adaptować.

W takim przypadku kluczowe staje się generowanie praktycznej wiedzy lokalnej, która staje się niezwykle przydatnym dobrem wspólnym (*creative commons*). Potrzeba do tego przezwyciężenia hierarchicznego podziału na tych, którzy wiedzą, i tych, którzy z zasady nie wiedzą, zatem muszą być przyuczani i pouczeni.

Wiedza nie jest stanem, ale procesem polegającym na umiejętności tworzenia i podtrzymywania relacji między ludźmi. Jest ona oczywiście przechowywana także w umysłach jednostek, ale ich zdolności jej przechowywania i możliwości jej przekazywania zależą od ich usytuowania w społecznych sieciach i węzłach tych sieci (zob. Hodgson 2010, s. 301). Społeczności są zbiornikami retencyjnymi wiedzy.

Występowanie kryzysów społecznych powoduje osłabienie aktywności i często zrywanie sieci społecznych (komunikacji społecznej). To zaś prowadzi do osłabienia procesu generowania wiedzy i stopniowego jej zanikania. Podtrzymywanie działania sieci komunikacji społecznej w okresie kryzysu ma duże znaczenie, dzięki nim bowiem łatwiej będzie odbudować strukturę materialną, która uległa zniszczeniu w czasie głębokiego kryzysu.

Do osłabienia regeneracyjnych potencjałów mogą prowadzić kolonizujące daną lokalność inwestycje, czego świadectwem jest wiele miast, których atrakcyjna przestrzeń została skomercjalizowana w następstwie masowego napływu turystów, prowadzącego do turystycznego przeciążenia (*overtourism*). Komercyjne inwestycje rugują z miast przestrzeń publiczną, co jest równoznaczne z ograbianiem mieszkańców z dobra wspólnego. Likwidowane są materialne fundamenty formowania miejskiego imaginarium. Bez infrastruktury publicznej miasto zostaje wystawione na potężną presję komercyjną. Kapitał rządzi. Pogoń za wysokim zwrotem z zainwestowanego kapitału blokuje zbiorowe myślenie i uruchamia dystopijne scenariusze.

Spółeczna czasoprzestrzeń jest kształtowana za sprawą społecznego imaginarium mieszkańców danego terytorium. Jej formowanie wymaga aksjologicznych odniesień. Odniesienia ilościowe tu nie wystarczą. Społeczna czasoprzestrzeń nie jest logiczna, zero-jedynkowa. Opanowywanie jej za pomocą narzędzi cyfrowych, służących jej władcemu kontrolowaniu, grodzeniu i zawłaszczaniu, redukuje ją do fizycznie ujętego terytorium.

Kluczowym kryterium przy wdrażaniu narzędzi cyfrowych do przestrzeni miejskiej nie powinno być to, że są nowe czy innowacyjne, lecz to, czy realnie przyczyniają się do poprawy jakości życia mieszkańców.

Potrzebujemy słownika cyfrowej regeneracji miasta. Tradycyjny słownik opiera się na takich pojęciach jak: budynki, ulice, infrastruktura, wartość nieruchomości, własność, zwrot z kapitału. Natomiast nowy zawiera terminy takie jak: zaufanie, wiarygodność, relacje międzyludzkie, infrastruktura społeczna, wartość usług ekosystemowych i publicznych.

Adaptacja lokalności do świata cyfrowego wymaga tworzenia lokalnych środowisk komunikacji społecznej — wspólnej przestrzeni znaczeniowej. Dlatego warto zwracać uwagę nie tylko na bierną, ale i aktywną stronę cyfrowości. Włączanie obywateli do usług cyfrowych – to ważne. Ale kluczowa jest zdolność tworzenia narzędzi i środowisk cyfrowych zdolnych do ich samodzielnego i twórczego wykorzystywania i rozwijania. To wymaga stworzenia

lokalnej miejskiej przestrzeni komunikacyjnej — wspólnoty konkretnych ludzi w konkretnym miejscu, współdziałającej także instytucjonalnie.

Regeneracja jest często utożsamiana z odpornością (czy, jak ktoś woli – „rezyliencją”). To zbyt wąskie jej rozumienie. Regeneracja to znacznie więcej – to przekształcenie, przemiana, wyjście poza samą adaptację. Wymaga nie tylko nowych narzędzi, ale i nowych ról społecznych i instytucjonalnych. Potrzebujemy takiego imaginariusium społecznego, które pozwoli rozpoznać, jakimi potencjałami regeneracyjnymi dysponujemy i jak możemy je wzmacniać.

Czynnikiem, który może istotnie osłabiać zdolności rozwojowe lokalnych społeczności jest polityczny autorytarny natywizm, polegający na faworyzowaniu ludności rodzimej kosztem imigrantów. Prowadzi on do szerzenia nieufności i niechęci wobec wszystkiego, co odmienne i obce, a co za tym idzie – do eskalowania napięcia i zaostrzania konfliktów. Społeczna polaryzacja jest nieuniknionym następstwem przewagi politycznego populizmu, który eksploatuje poczucie zagrożenia i pokłady lęku wywołanego m.in. przez pandemię, inflację czy wojnę. Populiści pobudzają i politycznie obsługują zbiorową niepewność i wszelkiego rodzaju społecznie odczuwany strach, propagując plemienne, spolaryzowane objaśnianie świata (Amin 2023, s. 146). Plemienna identyfikacja staje się tarczą i instrumentem mobilizacji, a jednocześnie usztywnia grupową tożsamość i niweluje różnorodność. Społeczności są podzielone i niepodzielone być nie potrafią.

W takiej sytuacji demokratyczna deliberacja jest nonsensem, a nawoływanie do niej – zakłamywaniem rzeczywistości. Pytanie, co ostanie się wówczas z demokratycznego porządku, poza wyborczym plebiscytem. Widać wyraźnie, że demokratycznych wartości ustrojowych nie da się obronić, jeśli zostaną oderwane od wytwarzania wartości społecznych. Te z kolei powinny mieć szczególne miejsce w społecznościach lokalnych.

Ciekawie przedstawia tę kwestię Ash Amin (2023). Podkreśla, że kluczem jest „mediacja lokalności” (*mediation of place*), która musi wypełnić lukę (*vacuity*) między zakorzenionym „gdzieś” i wykorzenionym „gdziekolwiek”. To możliwe, jeśli dana społeczność

lokalna potrafi przekształcić przynależne, zamieszkowane terytorium we wspólną przestrzeń działania. Współobecność przekształca się wówczas we wspólnotę doświadczenia i losu, który przyszłościowo określa gotowość na zmianę. Umożliwia to infrastruktura publiczna oraz sprawny system usług publicznych. A pomocna jest ożywiona aktywność kulturalna, w tym włączająca edukacja artystyczna.

Wnikliwe etnograficzne studium Amina dowodzi, że spójność społeczna tylko po części zależy od szeroko rozumianej polityki antydyskryminacyjnej. Nie będzie ona skuteczna, jeśli w polityce publicznej nie będzie drugiego wektora ukierunkowanego na zapewnienie jednostkom i społecznościom dostępu do różnych form kapitału społecznego (np. edukacja, kultura, zdrowie, komunikacja). Tylko wtedy zamiast opowiedzieć się za populistycznym hasłem „nam się należy”, ludzie mogą podjąć wyzwanie dobrowolnej i aktywnej przynależności do społeczności lokalnej, co warunkuje jej samodzielność rozwojową.

Zygmunt Bauman (1995, s. 14-15) uważa, że wolność oznacza społeczną relację asymetrii stanów społecznych. Bycie wolnym rozumiane jako działanie bez ograniczeń oznacza bowiem, że ograniczeniom podlegają działania innych. To rozumowanie prowadzi do wniosku, że ograniczenia narzucone i obowiązujące jednych warunkują wolność innych. Ta interpretacja jest dla mnie uproszczona, jednostronna. Pomija to, że z drugiej strony znoszenie ograniczeń dla innych warunkuje naszą wolność. Im bardziej zniewaleni są jedni, tym bardziej zniewoleni będziemy i my. Prędzej czy później wolność selektywna, dla wybranych, kończy się tyranią, w której mówienie o wolności nie ma sensu.

Nie uważam, że wolność wymaga zniesienia wszelkich ograniczeń. Niektóre warunkują jej występowanie i istotność. Ale ograniczenia dla niektórych nie przyczyniają się do wolności wybranych. Potrzebne ograniczenia muszą być normatywnie i prawnie umocowane a nie uznaniowe. Wolność nie ma być przywilejem tylko prawem. W tyranii wolność jest aktem władzy, w demokracji stanem obywatelskim.

Uważam, że mocniejszym fundamentem wolności jest ład społeczny, określony m.in. przez porządek konstytucyjny, niż indywidualizm. Bauman mocno eksponuje znaczenie dla wolności indywidualizmu wyrastającego z takiego rozczłonkowania sił społecznych, które stwarzają zarazem konieczność i możliwość indywidualnej subiektywnej motywacji i osobistej odpowiedzialności

(tamże, s. 51). Indywidualizm napędza, zasila wolność, ale jej nie zapewnia w skali społecznej.

Tym, co wydaje mi się szczególnie wątpliwe w rozumowaniu Baumana, jest powiązanie współczesnego indywidualizmu z konsumpcją w przeciwieństwie do sfery produkcji oraz dystrybucji dóbr i władzy. Świat konsumpcji ma być wolny od klątwy „rozgrywki eliminującej” i „funkcji monopolistycznej” (tamże, s. 71). Moim zdaniem indywidualizm skoncentrowany na konsumpcji, a nie na tworzeniu pozbawia go wolnościowej siły. Szczególnie, kiedy konsumpcja coraz bardziej przesuwana się w kierunku świata wirtualnego.

Jeśli zatem Bauman uważa, że wolność jest dziedzictwem nieco kłopotliwym, ponieważ bycie sobą zaledwie na mocy własnej woli oznacza życie pełne wątpliwości i lęku przed błędem (tamże, s. 76), to skoncentrowanie się jednostki na konsumpcji i wirtualnym uczestnictwie ten problem zasadniczo zaostrza. Również dlatego, że – co Bauman dostrzega – praca utraciła swą centralną pozycję również w społeczeństwie, a jej miejsce zajęła konsumpcja (tamże, s. 91). Cytując Clausa Offe, Bauman podkreśla (tamże, s. 93), że system kapitalistyczny w swej fazie konsumenckiej nie tylko nie tłumi ludzkiego dążenia do przyjemności, ale we własnym interesie jeszcze je wzmacnia, widząc w nim warunek własnego przetrwania.

Bauman celnie punktuje negatywne konsekwencje tego przedstawienia, ale w moim przekonaniu nie proponuje niczego, co mogłoby je osłabiać i im zapobiec. Podkreśla między innymi, że współczesny świat społeczny jest podzielony na mnóstwo minidramatów. Działania w nim są tylko kolejnymi epizodami, ich skutki są chwilowe i odwracalne, co prowadzi do zaniku odpowiedzialności moralnej (tamże, s. 96), a także odpowiedzialności obywatelskiej – świat prywatnej konsumpcji oddziela jednostki od polityki (tamże, s. 103).

Jacek Dukaj (2021) w niezwykle interesującym zbiorze esejów „Po piśmie” ukazuje konsekwencje przejścia od kultury pisma do kultury po-piśmiennej. Podsumowuje je następująco:

1. Znajdujemy się w okresie przejściowym między kulturą pisma i kulturą postpiśmienną.

2. Dominancje kolejnych metod transferu przeżyć ustanawiają w dziejach człowieczeństwa trzy epoki: epokę oralną, epokę pisma, epokę bezpośredniego transferu przeżyć.
3. Siła i głębokość wpływu dominującej metody transferu przeżyć na umysł Homo sapiens są tak duże, że uczciwiej byłoby mówić o trzech człowieczeństwach warunkowanych przez różnice w tych nawykach i mocach umysłu. (...) Nazywam ów charakterystyczny zbiór nawyków i zdolności *m y ś l u n k i e m*.
4. Każdy myślunek wprost oraz poprzez związane z nim technologie (bądź ich brak) wpływa lub wręcz determinuje kształt społeczeństwa, kultury, porządku ekonomicznego, politycznego, aż do moralności, estetyki i najintymniejszych doświadczeń człowieka.
5. Im doskonalsza metoda transferu przeżyć, tym większą niepodległość one zyskują wobec tych, co je przeżywają (przeżywaczy).
6. Wartości postpiśmiennego przeżywacza nie są wartościami dziecka kultury pisma. Nie da się z wnętrza jednego myślunku oceniać ani planować innego myślunku. Co „dobre”, co „złe”, co „piękne”, co „brzydkie” – nie daje się przeszczepiać z jednego kontynentu myśli na drugi (tamże, s. 186-187).

Kulturę postpiśmienną Dukaj (tamże, s. 222) określa jako kulturę przeżywaczy, którzy nie mogą/potrafią/chcą stwierdzić, czy źródło przeżywanych przeżyć jest prawdziwe. Ich to nie obchodzi i nie wpływa na intensywność przeżyć. Jednocześnie Dukaj podkreśla, że wraz ze zmierzchem kultury pisma i rozrostem kultury transferu przeżyć, ludzie i społeczeństwa wykazują większą bezbronność wobec manipulacji postnarracyjnych: nieopartych na ciągach przy czynowo-skutkowych, natomiast lekceważących spójność i następstwo w czasie (tamże, s. 303).

„Przeżywacza” Dukaj opisuje w sposób przejmujący:

(...) wkładasz smartfon do kieszeni koszuli na piersi, i tak – z obiektywem na sercu, z obiektywem zamiast serca – idziesz przez świat, żyty przez tysiące, miliony: gwiazda zapadnięta w punktową pustkę pod nieskończoną masą recyklowanych przeżyć (tamże, s. 381).

(...) Nie ma „domu”, jest jakość „domowości”, którą daje ci tak samo bajka o domu, gra w dom, jakiś materialny konstrukt domu i tym podobne pakiety przeżyć – wszystkie prezentujące się równie intensywnie, równie „prawdziwie” (tamże, s. 389).

W hierarchiach władzy świata cyfrowego (w social media) osiowym przeżyciem jest satysfakcja z poniżenia. Skuteczne poniżenie wynosi poniżającego na szczyt piramidy prestiżu i zwiększa władzę poniżania w kolejnych cyklach legitymizacji (tamże, s. 364).

W przypadku cywilizacji Internetu empatia jest płytsza. Próg wrażliwości dużo niższy niż w cywilizacji książki. Łatwo wywołać „święte” oburzenie, gwałtowną reakcję na sytuacyjny konkret, ponieważ szybkiemu przełączaniu uwagi sprzyja nieustające dopaminowe wzmożenie.

Dukaj utrzymuje, że żyjemy już w środowisku prymatu informacji nad materią, stało się ono dla nas naturalne. W mojej ocenie ta przesadna teza przesłania rolę materialności jako podstawy i ograniczenia świata cyfrowego. Bez wątplenia technologie cyfrowe służą „opanowaniu”, uzależnieniu ich użytkowników. Służą też przechwytywaniu możliwie dużej puli zasobów, przekształcając dane i uwagę w kluczowy zasób, kapitał. Celnie wyraża to następująca teza (tamże, s. 325–326): „Granice, za którą to raczej owe «narzędzia» posługują się ludźmi, trudno dostrzec, a wykrycie jej, zanim ją przekroczymy, jest prawie niemożliwe”.

„Wirtualizacja” rzeczywistości nieuchronnie objęła podstawowe domeny materialności, w tym pieniądź. Papiery wartościowe rynku nieruchomości lokują się już w większości poza zasięgiem kryteriów prawdy i fałszu. Zgoda. Mimo to twierdzę, że materialność twardo przypomni o swojej realności, między innymi dlatego, że świat cyfrowy pożera coraz większą pulę dostępnej energii i innych zasobów naturalnych. Masowa ucieczka od testu „prawdziwości” nie usunie testu „realności”. Im dłużej ta ucieczka potrwa, tym dotkliwszy będzie upadek. Niewspółmierność między rozwojem technologii cyfrowych i produktywnością materialno-energetyczną (techniczną) pogłębi globalny kryzys termodynamiczny i wzmoże termodynamiczną entropię.

Ciekawe są przemyślenia Jacka Dukaja w kwestii „świata bez pracy”. Píše: „Rozrywka jest artykułem pierwszej potrzeby, gwarantem zdrowia psychicznego miliardów prawie-bezrobotnych (...)” (Dukaj 2021, s. 77). To celne określenie „prawie-bezrobotni” oznacza dla mnie tych, którzy mają pracę, ale faktycznie nie pracują – wykonują czynności, ale nie spełniają się w tym. Rozrywkę cenimy masowo, bo daje wyzwolenie z grozy przebywania sam na sam z „ja”. Jednocześnie Dukaj przewiduje, że „dostarczanie społeczeństwu zajętości na tyle skutecznych, by utrzymały je ponad poziomem dekadencji i degradacji (jak owe hrabstwa w USA przeżarte przez bezrobocie, beznadzieję i opioidy), stanowić będzie główne zadanie państwa; wręcz rację jego bytu” (tamże, s. 81).

Ku temu, być może, zmierza testowanie koncepcji powszechnego gwarantowanego dochodu, pensji obywatelskiej, która ma się należeć każdemu za to tylko, że żyje. Co Dukaj tak komentuje: „Nie musisz pracować, by przetrwać. Nie musisz chcieć, żeby mieć. Nic nie musisz” (tamże, s. 178).

Swoją dystopijny opis świata Dukaj konkluduje następująco:

Masz prawo i powinność uczynić się, kim chcesz, czym chcesz. Nie potrzebujesz społeczeństwa, żeby żyć, żeby być bezpiecznym, żeby się rozwijać. Nie potrzebujesz rodziny, żeby się rozmnażać. Nie potrzebujesz drugiej osoby, żeby zaspokajać potrzeby emocjonalne, seksualne, religijne. Możesz zmienić swoją emocjonalność, seksualność, wartości. Raz, drugi, trzeci, dowolną ilość razy; ty i ty zmieniony, i ty zmieniony przez ciebie zmienionego. Jesteś władcą absolutnym swego wszechświata. I są was miliardy (tamże, s. 179).

Pisarz podkreśla, że, być może, jakimś rozwiązaniem byłoby wprowadzenie „obowiązkowej służby państwowej”, której koncepcja przeżywa się coraz częściej w rozważaniach teoretyków i polityków o diametralnie różnych poglądach, lecz podobnie zatroskanych gniciem tkanki obywatelskiej w społeczeństwach Zachodu i załamaniem relacji powinności łączących jednostkę z państwem (tamże, s. 85).

Uważam, że przeciwstawienie się dystopijnej rezygnacji i społecznej katastrofie musi polegać na innym spojrzeniu na pracę, która

nie może być pojmowana wyłącznie przez pryzmat zatrudnienia jako źródła utrzymania. Praca to twórcza aktywność człowieka, która go buduje. To przeciwieństwo sprowadzania jednostki do roli konsumenta. Aby jednostka mogła być obywatelem, musi być (współ)wytwórcą. Kimś, kogo nie trzeba czymś zajmować, bo sam się czymś zajmuje, aby być kimś. To ktoś, kto nieustannie czegoś poszukuje i coś nowego odkrywa, którego przestrzeń hermeneutyczna nie zamyka się do końca istnienia.

Co potrafi jednostka, do czego jest potrzebna, kim jest i jaką rolę pełni w gospodarowaniu zależy od systemu gospodarczego i modelu konsumpcji. Neoliberalny model gospodarki rynkowej konsekwentnie sprowadza rolę jednostki do podporządkowanego pracownika, konsumenta i użytkownika.

Kolejne przełomowe technologie stanowią nieuchronne zagrożenie. Obecnie dotyczy to zwłaszcza AI. Jej algorytmy stanowią instruktaż wspierający bezmyślność, uwalniają nas od korzystania z własnych zdolności poznawczych, co prowadzi do powszechnej niewiedzy. Dokonuje się przekształcanie społeczności w inercyjne zbiorowości, zanik współdziałania i spójności społecznej. W takich zbiorowościach ludzie przynależą, ale nie współdziałają – często nie znają nawet członków swoich grup, identyfikując się jedynie z awatarami. Lajkowanie i hejtowanie wypiera zaufanie. Bez uczestnictwa w organicznej społeczności zagubienie jednostki w świecie cyfrowym jest nieuniknione.

Technologie cyfrowe oddzielają nas od korzeni, od więzi, od miejsc, w których funkcjonujemy. Media działają wszędzie i nigdzie, a to sprzyja zanikaniu odpowiedzialności. Platformy cyfrowe, które dziś rządzą, są potężne jak kiedyś koncerny przemysłowe. Relacje między nimi a państwem są silne i trudne do zerwania. Nie możemy oczekiwać, że państwo samo rozwiąże ten problem, podobnie jak nie uczyni tego rynek.

Istotne jest rozróżnienie wyobrażenia i wyobraźni. Wyobrażenie ma odniesienie przyczynowo-skutkowe, racjonalizujące. Natomiast wyobraźnia rozumiana jako społeczne imaginarium ma odniesienie aksjologiczne – kulturowo-społeczne. Wyobrażenie jest przejawem myślenia analityczno-ilościowego, wyobraźnia zaś

myślenia krytycznego. Społeczne imaginariusium obejmuje wypracowany w danej społeczności zbiór idei i praktyk spiętych ramą etyczną. Stanowi dla tej społeczności fundament krytycznej refleksji, niezbędnej dla kształtowania otwartej społecznej czasoprzestrzeni. Krytyczna refleksja pozwala społeczności utrzymywać rozwójową samodzielność.

To szczególnie ważne w erze cyfrowej, kiedy poprzez technologie cyfrowe masowo wszczepiane są zachowania mentalnie uzależniające. Produkty (aplikacje) cyfrowe kształtują określony profil behawioralny ich użytkowników, promujący założone wzorce zachowania. Modele AI nie są etycznie neutralne, ich upowszechnianie stępią wrażliwość etyczną. Dlatego społeczności rozumiane jako lokalności powinny zadbać o swoje usytuowanie w architekturze świata cyfrowego przede wszystkim po to, aby zapobiegać kolonizacji „swojego” segmentu danych. Pomocne będzie zwłaszcza wytwarzanie lokalnych cyfrowych dóbr wspólnych (*commons*), umożliwiających ich użytkownikom bycie także współtwórcą danych i narzędzi. Konieczne do tego będzie tworzenie lokalnych małych modeli językowych, treściowo zakorzenionych i odnoszonych do rzeczywistych problemów lokalnych, np. reakcji na zagrożenia powodziowe. Byłaby to cyfrowa baza lokalnego aktywizmu społecznego, cyfrowy generator społecznej energii. Znacząco przyczyniłoby się to do formowania rozproszonej architektury cyfrowej i zapobiegania zewnętrznej algorytmizacji świata, a także neutralizowałoby skutecznie systemowe ryzyka cyfryzacji.

Nie zniszczymy systemów masowego ogłupiania, ale możemy budować alternatywę. W demokracji technologie mogą służyć ludziom, ale w dyktaturach zawsze zostaną użyte przeciw nim. Gdy gniew narasta, trudniej bronić demokracji, niż ją atakować i narzucać antydemokratyczne rozwiązania. Dlatego potrzebujemy demokracji zaangażowanej, nowych form aktywizacji obywateli i innowacji społecznych, które będą równoważyć siłę hegemonicznych technologii. Demokracja proceduralna jest demokracją bierną – upasymnia obywateli. Dlatego jest łatwa do atakowania i podważania przez tych, u których łatwość kłamstwa odsuwa na bok jakiegokolwiek skrupuły i moralne ograniczenia (zob. Potocka 2020).

Negatywne konsekwencje cyfrowej rewolucji technologicznej są globalne i wymagają odpowiedzi, które będą dotyczyły jakości życia, praw obywatelskich, a przede wszystkim przynależności do autentycznych społeczności. Tylko wtedy będziemy mogli reagować na presję zewnętrzne i formować nowoczesne środowisko gospodarcze, które służy ludziom.

Formacje demokratyczne powinny zmienić adresata – ma to być nie wyborca, klient i konsument, ale obywatel chcący nie tylko wiedzieć, rozumieć, przeżywać, ale także działać, przyjmować odpowiedzialność, a jednocześnie autentyczny wytwórca lokalnego środowiska swojej egzystencji. Formacje autorytarne zawsze wskazują wroga i dopasowują go do okoliczności, poglądy są sytuacyjnie dopasowywane i zmienne, a metoda zawsze ta sama: wyrachowana, bezwzględna eksploatacja lęku, gniewu i uprzedzeń.

Chiara Bottici (2014, s. 3) spostrzega – jako paradoks – że świat społeczny jest wypełniony wyobrażeniami (*images*), a jednocześnie pozbawiony wyobraźni (*imagination*), co wynika z tego, że w społecznej recepcji spektakl góruje nad treścią przekazu, stając się towarem szczególnie pożądanym (tamże, s. 2). To blokuje odróżnienie inscenizacji od życia. Jednocześnie globalność współczesnego medialnego spektaklu rozpowszechnia związane z nim wyobrażenia. Uwolnienie się od nich staje się dla większości problematyczne (tamże, s. 118).

Bottici nie ma racji, sądząc, że spektakl odrywa publiczność od „tu i teraz” (tamże, s. 119). Uważam przeciwnie – kultura spektaklu zamyka nas w teraźniejszości. W wyzwoleniu z niej pomaga zaś otwierająca i poszerzająca społeczną czasoprzestrzeń wyobraźnia. Społeczna wyobraźnia ma naturę modalną. Wyłania się tylko we wspólnej przestrzeni znaczeniowej. W społeczeństwie jednostek odosobnionych i wyobcowanych nie ma dla niej miejsca. Wypierają ją wyobrażenia jednostkowe. Społeczną wyobraźnię generują jednostki pozostające w osobowych relacjach z innymi. Kiedy zanikają więzi osobowe, ich miejsce zajmują bezosobowe atomistyczne interakcje i nie ma społecznej przestrzeni dla wspólnotowego imaginarium.

Botticci (tamże, s. 5) stara się połączyć to, co indywidualne, i to, co społeczne, wprowadzając termin *imaginacja* (*imaginal*).

Nie przekonuje mnie ta terminologiczna propozycja. Wprowadza w moim przekonaniu nadmiarowe – interpretacyjnie zbędne – pojęcie. To, co autorka chce wyrazić, wystarczająco ujmując ujęte modalnie pojęcie (społecznej) wyobraźni (wspólnotowe imaginarium).

Rozumiem zarazem potrzebę wykazania, że społeczna wyobraźnia (imaginarium) jest realnością: stanowi pole znaczeniowe, w którym pozostające i współtworzące je jednostki się poruszają. Dzięki temu indywidualność i wspólnotowość uzupełniają się, generując dobrowolną (nienarzuconą) i spontaniczną (niezaprogramowaną) wspólność. Tak wykreowana jest ona wyrazem indywidualnej wolności i społecznej współzależności. Warunkuje wyzwolenie indywidualnej wyobraźni z myślowych schematów i jej odniesienie do wspólnych (zbiorowych) praktycznych działań.

Społeczne imaginarium jest formą uwspólnionej wiedzy. Nie należy jej przeciwstawiać i odrywać od wiedzy obiektywnej (analitycznej) i systemowej (konceptualnej). Działa w innym – modalnym porządku. Społeczne imaginarium jako wiedza modalna odnosi się do tego, co ideowo wyobrażone, ale jednocześnie realne. Wspólne wyobrażenie tego, co dobre i słuszne, ma moc sprawczą. Pociąga za sobą działania indywidualne i zbiorowe.

Takie podejście umożliwia wydostanie się poza absolutystyczne dychotomie: podmiotowe – przedmiotowe, subiektywne – obiektywne, rzeczywiste – idealne, teoretyczne – praktyczne, których dominacja blokuje, wyłącza wiele możliwych i nowych perspektyw poznawczych. I, co wydaje mi się bardzo ważne, ich aktywizacja i pojawianie się jest zależne od wiedzy modalnej – społecznego imaginarium, które jest koniecznym trybem uruchamiania indywidualnej wyobraźni.

Moje rozumienie społecznego imaginarium dobrze oddaje definicja zaproponowana przez Charlesa Taylora, według którego oznacza ono:

(...) sposoby wyobrażania sobie przez ludzi ich społecznej egzystencji, tego jak są dopasowani do innych, co ich z nimi łączy, jakie są ich oczekiwania, co stanowi głębsze normatywne uzasadnienie tych oczekiwań i ich wyobrażeniową podstawę (2004, s. 23).

Istotną kwestią jest ta, czy społeczne imaginarium ujmować tylko w jego wymiarze poznawczym, czy także działaniowym. Zdecydowanie uważam, że łączy ono oba te wymiary, co nadaje mu sprawczą siłę, urealnia. Nie działa jako neurologiczny bodziec, który wywołuje określone reakcje, ale jako ideowa, mentalna, znaczeniowa rama ludzkich działań – pasywnych i aktywnych. Określa ona, czego nie należy i co należy czynić. Normatywnie ogranicza swobodę działania, ale zarazem ją uzasadnia i umożliwia. Stanowi ograniczone pole możliwości (Bottici, tamże, s. 61). Idee wyłaniają się w tym polu. Społeczne imaginarium normatywnie konstytuuje społeczność. Bez niego jest ona zbiorowością a nie wspólnotą, w konsekwencji czego traci cechy podmiotowości.

Bottici (tamże, s. 51, 146), cytując Castoriadis (1987, s. 101-107), podkreśla radykalny aspekt imaginarium. Nie jest ono opisem społecznej rzeczywistości, ale jej wspólnotową interpretacją, krytycznym ujęciem świata. Traci swoją sprawczą moc, gdy kostnieje i przestaje być twórcze. Radykalny wektor imaginarium otwiera nowe pola i perspektywy poznawcze, pozostające dotychczas poza społeczną percepcją. Umożliwia twórcze włączenie do wyobraźni nowych składowych i krytyczne przewartościowanie dotychczasowych. Proces ten jest aktywizowany przez nowatorskie – twórcze – indywidualności. Dzięki nim to, co indywidualnie uświadomione, jest stopniowo uwspólniane. W rezultacie indywidualna wyobraźnia podlega transcendowaniu – jej kreatywna subiektywność podlega społecznej obiektywizacji. Wyobraźnia twórczej jednostki, osobowości w pewnym sensie rozsądza zbiorowe imaginarium, ale jednocześnie je zasila i wyposaża, a przez to podtrzymuje.

Propagując ekonomię wartości 10 lat temu postrzegany byłem jako utopista, jako ktoś, kto mówi być może rzeczy słuszne, tylko niewykonalne, które można wysłuchać, ale nie można brać sobie ich do głowy. Odczuwam, że – choć powoli i z zawirowaniami – myślenie kategoriami ekonomii wartości się przebija.

Ekonomia wartości jest nam potrzebna, aby móc przywrócić korzystną współzależność między gospodarką rynkową, z jej cechami szczególnymi, do których zaliczam przedsiębiorczość, innowacyjność i konkurencyjność a demokracją przedstawicielską oraz spójnością społeczną. W drugiej połowie XX wieku porządek demokratyczny umożliwiał odnajdywanie skutecznych odpowiedzi na gospodarcze, społeczne i polityczne wyzwania. Dzisiaj najwyraźniej siła demokracji słabnie i tych nowych odpowiedzi nam brakuje.

Narastającym problemem jest to, że oligarchiczny autorytaryzm prowadzi do faktycznej utraty samodzielności ekonomicznej coraz większej części społeczeństwa. Bez samodzielności ekonomicznej ludzie nie mogą funkcjonować jako obywatele – członkowie zbiorowości zdolnej do samoorganizacji oraz wyrażania i obrony swojego stanowiska. Tym samym nie ma przestrzeni dla demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. Zdolni do samoorganizacji współwytwórcy mogą być obywatelami, natomiast konsumenci nie – pozostają co najwyżej petentami i klientami rządzących oligarchów.

Bibliografia

- Amin Ash [2023]: *After Nativism. Belonging in an Age of Intolerance*, Polity Press: Cambridge.
- Bauman Zygmunt [1995]: *Wolność*, Znak: Kraków, Fundacja im. Stefana Batoryego: Warszawa.
- Beckert Jens, Aspers Patrik [2011]: *The Worth of Goods. Valuation & Pricing in the Economy*, Oxford University Press: Oxford.
- Bidoglio Giovanni, Vanham Davy, Bouraoui Faycal, Barchiesi Stefano [2019]: *The Water-Energy-Food-Ecosystems (WEFE) Nexus*, European Commission, Joint Research Centre, 21027, Ispra (VA), Italy.
- Biga Bartłomiej, Hausner Jerzy, Możdżeń Michał (red.) [2021]: *Uwspólnianie zasobów i dobra wspólne. III Seminarium świeradowskie*, Wydawnictwo Małopolskiej Szkoły Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie: Kraków.
- Bleischwitz Raimund i in. [2018]: Resource Nexus Perspectives towards the UN Sustainable Development Goals, *Nature Sustainability*, 1, s. 737–743. <https://doi.org/10.1038/s41893-018-0173-2>
- Bottici Chiara [2014]: *Imaginal Politics: Images Beyond Imagination and the Imaginery*, Columbia University Press.
- Boulding Kenneth E. [1985]: *Ponad ekonomią*, PIW: Warszawa.
- Braidotti Rosi [2014]: *Po człowieku*, PWN: Warszawa.
- Calvino Italo [1975]: *Niewidzialne miasta*, Czytelnik: Warszawa.
- Castoriadis Cornelius [1987]: *The Imaginary Institution of Society*. Cambridge: Polity.
- Dewey John [1939]: *Theory of Valuation*, *International Encyclopedia of Unified*

- Science*, Volume II, Number 4, The University of Chicago Press: Chicago.
- Durkheim Emile [2004]: *Determination du fait moral*, [w:] *Sociologie et philosophie* [1924]. Paris, s. 49–90.
- Dukaj Jacek [2021]: *Po piśmie*, Wydawnictwo Literackie: Kraków.
- Fourcade Marion [2011]: Price and Prejudice: On Economics and Enchantment (and Disenchantment) of Nature, [w:] Jens Beckert, Patrik Aspers: *The Worth of Goods. Valuation & Pricing in the Economy*, Oxford University Press: Oxford, s. 41–62.
- Geodecki Tomasz [2025]: mimeo.
- Gerbens-Leenes Winnie, Vaca-Jiménez Santiago, Mekonnen Mesfin [2020]: Burning Water, Overview of the Contribution of Arjen Hoekstra to the Water Energy Nexus, *Water*, 12(10). <https://doi.org/10.3390/w12102844>
- Hausner Jerzy [2023]: *Ekonomia wartości. Nowe trendy*. Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej: Kraków.
- Hodgson Geoffrey M. [2010]: Limits of transaction cost analysis, [w:] Peter Klein, Michael Sykuta (red.): *The Elgar Companion to Transaction Cost Economics*, s. 297–306, Edward Elgar: Cheltenham/Northampton.
- Hutter Michael [2011]: Infinite Surprises: On the Stabilization of Value in the Creative Industries, [w:] Jens Beckert, Patrik Aspers: *The Worth of Goods. Valuation & Pricing in the Economy*, s. 201–220, Oxford University Press: Oxford.
- Ingarden Roman [1966]: Czego nie wiemy o wartościach, [w:] tenże, *Przeżycie – dzieło – wartość*, s. 83–127, Wydawnictwo Literackie: Kraków.
- Joas Hans [2009]: *Powstawanie wartości*, Oficyna Naukowa: Warszawa.
- Karpik Lucien [2011]: What is the Price of a Scientific Paper?, [w:] Jens Beckert, Patrik Aspers: *The Worth of Goods. Valuation & Pricing in the Economy*, s. 63–85, Oxford University Press: Oxford.
- Keynes John M. [2011]. *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza*. PWN: Warszawa.
- Kępiński Antoni [1977]: *Psychopatie*. Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich: Warszawa.
- Kundzewicz Zbigniew [2024]: *Water – Energy – Food – Ecosystems Nexus*, wykład wygłoszony w Nanjing University of Information Science and Technology.
- Laspidou Chrysi S., Kofinas Dimitrios T., Mellios Nikolaos K., Witmer Maria [2018]: Modelling the Water-Energy-Food-Land Use-Climate Nexus: The

- Nexus Tree Approach, *Proceedings*, 2(11). <https://doi.org/10.3390/proceedings2110617>
- Meadows Donella H., Meadows Dennis L., Randers Jørgen, Behrens William III W. [1973]: *Granice wzrostu*, tłum. Wiesława Rączkowska, Stanisław Rączkowski, PWE: Warszawa.
- Minsky Hyman [1988]: Schumpeter: Finance and Evolution, *Hyman P. Minsky Archive*, Paper 314, http://digitalcommons.bard.edu/hm_archive/314 (dostęp: 5.10.2025).
- Minsky Hyman [1990]: Schumpeter: Finance and evolution, [w:] Arnold Heertje, Mark Perlman (red.): *Evolving Market Technology and Market Structure: Studies in Schumpeterian Economics*. The University of Michigan Press: Ann Arbor.
- Potocka Anna Maria [2020]: *Skuteczność prawicy*, Austeria: Kraków.
- Pruchnik Kamil [2021]: *Analiza przyczyn częstego występowania kryzysów bankowych. Badania empiryczne a teoria*, rozprawa doktorska, obroniona w Kolegium Analiz Ekonomicznych Szkoły Głównej Handlowej: Warszawa.
- Scheler Max [1954]: *Der Formalismus in der Ethik und die materiale Wert-ethik. Neuer Versuch Der Grundlegung Eines Ethischen Personalismus*, [w:] tenże, *Werke*, t. 2: Bern.
- Simmel Georg [2007]: *Filozofia życia. Cztery rozdziały metafizyczne*, tł. Monika Tokarzewska, Wydawnictwo IFiS PAN: Warszawa.
- Stark David [2011]: What's Valuable?, [w:] Jens Beckert, Patrik Aspers: *The Worth of Goods. Valuation & Pricing in the Economy*, s. 319–338, Oxford University Press: Oxford.
- Streeck Wolfgang [2016]: *How Will Capitalism End? Essays on a Failing System*, Verso: London–New York.
- Taylor Charles [2001]: *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, WN PWN: Warszawa.
- Taylor Charles [2004]: What Is a “Social Imaginary”?, [w:] *Modern Social Imaginaries*, s. 23–30. Duke University Press. <https://doi.org/10.2307/j.ctv11hpgvt.6>
- Tischner Józef [2002]: *Myślenie według wartości*, Wydawnictwo Znak: Kraków.
- Turner Adair [2016]: *Between Debt and Devil. Money, Credit, And Fixing Global Finance*, Princeton University Press: Princeton.
- UNCTAD, World Investment Report [2013]: *Global Value Chains: Investment*

and Trade for Development. https://unctad.org/system/files/official-document/wir2013_en.pdf

Walicki Andrzej [2011]: *Stanisław Brzozowski – drogi myśli*. Universitas: Kraków.

Znaniecki Florian [1988]: *Wstęp do socjologii*. Wydawnictwo Naukowe PWN: Warszawa.

Czy w ekonomii, która wielu osobom przywodzi na myśl zysk i powodzenie finansowe, jest miejsce dla wartości? Czy to, że wytwarzamy i konsumujemy tak wiele dóbr, czyni nas szczęśliwymi? Publikacja wydana z okazji 10-lecia Open Eyes Economy Summit zaprasza do refleksji nad aktualnością ekonomii wartości, zachęcając do otwarcia oczu i dostrzeżenia zjawisk, które dotąd były pomijane jako nieistotne. To poszukiwanie warunków sprzyjających odpowiedzialności, przedsiębiorczości i zaspokajaniu społecznie uzasadnionych potrzeb. Wydanie składa się z dwóch części: dziesięciu rozmów Zbigniewa Bartusia z Jerzym Hausnerem wokół ekonomii wartości oraz eseju prof. Hausnera „Od ekonomii chciwości do ekonomii wartości – w poszukiwaniu idei i nadziei”. Daj się zaprosić do refleksji i twórczego myślenia o przyszłości.